

nr 5 jesień 87

DWADZIEŚCIA JEDEN PIŚMO  
SPOŁECZNIE POLITYCZNE • PO  
GLADY • GOSPODARKA • IDEE •  
SPRAWY SPOŁECZNE • ROZMO  
WY • POLEMIKI • DOKUMENTY

WARSZAWA 1987




## SPIS TREŚCI

	str.
Halina Bortnowska - Orędzie .....	3
<b>KSIAŻKI</b>	
Lech Wałęsa - Droga nadziei/fragmenty/ .....	7
<b>Z INNEJ PERSPEKTYWY</b>	
Amerykańska polityka, Europa, Polska	
- rozmowa ze Zbigniewem Brzezińskim .....	29
Nowa formuła odprężenia?	
- rozmowa z Janem Nowakiem-Jeziorańskim .....	34
Kazimierz Wóycicki - Mieszane odczucia .....	43
<b>GOSPODARKA I POLITYKA</b>	
Włodzimierz Brus - Demokratyzacja a afektywność gospodarcza /spojrzenie po dziesięciu latach/ .....	51
Stanisław Gomułka - Demokratyzacja a reforma gospodarcza /spojrzenie po dziesięciu latach/ .....	56
<b>SZKICE</b>	
Janusz Jankowiak - Dekret .....	61
<b>REPORTAŻ</b>	
Stanisława Domagalska, Jaroław Szczepański - Bardzo czarny Śląsk .....	74
<b>POGLĄDY, ANALIZY</b>	
Jacek Szymanderski - Polacy '84 i '85 - próba interpretacji ..	94
Jacek Kurczewski - Co to jest klasa średnia w Polsce .....	107
<b>WŁADZA, SPOŁECZEŃSTWO, OPOZYCJA</b>	
Maj - sierpień '87 .....	119

---

numer zamknięto w sierpniu '87

---

Copyright by  NFTM

## Ozędzie

1. Według Ewangelii jedno z najdonioślejszych słów o Chrystusie wypowiedział człowiek skądinąd marny, o ile wiemy, dość paskudny kolaborant, ale piastujący ważny urząd - Kaifasz, arcykapłan owego roku: "lepiej jest dla nas, gdy jeden człowiek umrze za naród" /J 11, 45-52/. Te słowa były wyrazem pogardy. "Jeden człowiek", to brzmi prawie jak sławne "jednostka zerem". A przecież Ewangelista widzi w tych słowach mimowolne proroctwo, że Jezus umrze, aby "rozproszone dzieci Boże zgromadzić w jedno".

Z zachowaniem wszelkich proporcji podobnie odczytuję pierwszy komentarz do trzeciej pielgrzymki Jana Pawła II, rzucony na odjeźdźnym Papieża przez Generała tych lat: "Jego Świętobliwość wróci do Rzymu, a my tu w Ojczyźnie będziemy rozwiązywać problemy Polaków..." Był to wyraz przekonania, że wydarzenia i treści pielgrzymki zostaną natychmiast odłożone ad acta. Wizyta papieża stanowiła tylko interludium, może pamiętne, ale w gruncie rzeczy bez związku z dalszym biegiem polskiego losu.

Nasza rzecz, by tak się nie stało. Ale, literalnie wzięte, słowa, których użył generał mogą znaczyć co innego: los Polaków, tu w Polsce się tworzy i nikt - nawet papież - nie może nas wyręczyć w odpowiedzialności. To jest prawda. I w tym sensie - historyczne znaczenie pielgrzymki papieża teraz się rozstrzyga. Papież zresztą nie zamierzał bynajmniej nas trwale wyręczać, choć przez chwilę mógł wobec Boga i świata mówić za nas. Mógł, bo przywołał nas do siebie imieniem Solidarności, potwierdził tę nadzieję i tożsamość, starając się ją pogłębić, czyniąc ją moralnym zobowiązaniem w skali ogólnoludzkiej.

Cała pielgrzymka jako orzędzie słów i faktów wymaga analizy i nismało bogactw będzie można z niej jeszcze wydobyć - zrazu nie zauważonych. Coś jednak zostało już wyraźnie w nas wpisane, głębiej niż tylko w pamięć, w samą zdolność odczuwania. Ten ukryty zapis znów odezwie się w krytycznej chwili, ukierunkuje nasze spontaniczne reakcje. Jest on ważniejszy, niż wszystko, co ujawni analiza przemówień. Papież wrócił do Rzymu. My zostaliśmy z jego orzędziem. Jako dziedzice i wykonawcy. Wiedząc o sile ukrytego zapisu powinniśmy dzielić się tym, co bardziej uchwytne, interpretacjami, wnioskami, doświadczeniem, echem słów i powracaniem gestów. To, co partia ma czym prędzej upchnąć ad acta, my powinniśmy czynić agendą - sprawą aktualną, związaną z nowymi

---

Do rozważań łączących się z trzecią wizytą Jana Pawła II w Polsce wrócimy na naszych łamach w najbliższym czasie - redakcja.

---

problemami, pojawiającymi się dopiero na horyzoncie. Powinno być na to miejsce w całej prasie niezależnej - bo tylko ta prasa może rzeczywiście wyrażać, dopowiadać, rozwijać wszystkie wątki pielgrzymki i łączyć je z nieokrojonym rejestrem spraw obchodzących Polaków. Dwa takie wątki chcę tu podjąć, zaczynając od sprawy centralnej.

2. Praktycznym celem sowietyzacji nie jest pozbawienie ludzi ich wiary i własnych, niezależnych przekonań. Chodzi głównie o to, by przybrały one formę możliwie bezobjawową. Religia i przekonania odbiegające od oficjalnej ideologii mają stać się sprawą "prywatną". Zakres tego, co uchodzi za prywatne bywał różnie wytyczany. Dziś jest stosunkowo szeroki, obejmując nawet kwestię praktyk religijnych w przypadku członków partii dość wysoko nomenklaturowych. Przez dziesiątki lat narzucano Polakom równanie: "religijny" = "prywatny" = "bez żadnych konsekwencji społecznych". W tym sensie funkcjonowała np. cenzura na łamach pism katolickich; konfiskowane były teksty, zdania i wyrazy, świadczące o istnieniu społecznego, publicznego aspektu chrześcijaństwa.

Ta strategia sowietyzacji załamała się już z wyborem i pierwszą pielgrzymką Jana Pawła II. Definitywnym przekreśleniem jej osiągnięć była cała funkcja tak symboliki, jak i etyki chrześcijańskiej w formowaniu się Solidarności. Wydawałoby się, że nie sposób do tej strategii wracać i stan wojenny będzie musiał się bez niej obyć. Ale szybko wynaleziona została wersja pozornie nowa, z wielką energią zastosowana w okresie poprzedzającym Trzecią Pielgrzymkę. Prywatyzacja religii przedstawiana jest mianowicie jako ochrona jej czystości, ochrona przed uwikłaniem w politykę, którego Kościół przecież sobie nie życzy...

Smutno to stwierdzić, ale sporo ludzi dobrej woli daje się nabierać na ten sowietyzacyjny manewr. Zapomnieli niestety o ważnym rozróżnieniu, które Jan Paweł II przypomina w encyklice *Laborem Exercens*; słowo "polityka" ma dwa znaczenia: "polityka" to gra interesów partyjnych w walce o władzę - ale również "rozumna troska o dobro wspólne". Od polityki w tym drugim znaczeniu Kościół nie może się nigdy oderwać. Duchowni członkowie Kościoła mają także pracować dla dobra wspólnego, choć w innych formach niż świeccy. Ale dla jednych i drugich dobro wspólne, a więc polityka, jest sprawą sumienia. Chrześcijanin to człowiek w sumieniu odpowiedzialny nie tylko za swe życie wewnętrzne, lecz za wkład w dobro wspólne.

To co religijne dotyka i ogarnia człowieka w sposób do głębi osobisty. Jest więc sprawą najpierw wnętrza - lecz religijnym jest człowiek cały i zawsze, także w swym politycznym działaniu dla dobra ogólnego. Szczególnie w sytuacjach granicznych - gdy chodzi o społeczne być albo nie być - doświadczenie religijne i zaangażowanie polityczne silniej uwidaczniają swe powiązania. Przestrzeń religijna staje się wtedy miejscem prawdy o zagrożeniu i krzywdzie człowieka i społeczności ludzkiej. Tu możliwa jest proklamacja nadziej jednocześnie religijnej i politycznej. Tak było i tak jest - w uniwersalnym wymiarze historii religii i w naszych polskich doznaniach.

Dlatego szczególnie wymowne i długo tępione były wydarzenia religijne rozszerzające sakralny azyl prawdy na miejsca zwykle świeckie. Ileż lat kardynał Wojtyła ubiegał się o procesję Bożego Ciała królewskimi szlakami Krakowa... A teraz Jan Paweł II wyniósł Ciało Chrystusa na ołtarz zbudowany tuż obok najwyższego, choć może nie najgroźniejszego, symbolu zamierzonej sowietyzacji. Powinniśmy byli pielgrzymować na kolanach na ten plac Obecności, a nie przepychać się kułakami, jak niestety było. Ale wielkie chwile zawsze mają w sobie szekspirowski element sąsiedztwa tego,

co wzniosłe i tego co trywialne. Nie ma więc co ubolewać tak bardzo nad postawą tych i owych w zgromadzonym tłumie.

Lziwniejsze jest to, że po wszystkim, co widzieliśmy i słyszeliśmy, jeszcze są ludzie, którzy dają wiare relacjom, że pielgrzymka była "czysto religijna" - czytaj: "prywatna", czytaj: "bez społecznych konsekwencji". Według tej koncepcji Plac Bełlad może ostatecznie służyć także katolikom do ich prywatnych nabożnych celów - jako gigantyczna zakrystia. To nie jest groźne.

Nie wolno tylko dopuścić do tego, by Polacy uwierzyli własnym oczom i uszom: bo to, co się na tym i na innych miejscach działo i, zostało odczytane i uznane jako ponawiana historyczna opcja, jako wyraz woli, dążeń, tęsknot i prawdy o Narodziu.

A przecież taki sens polityczny - taki sens dla naszej polis, czyli społeczności, niczego nie ujmuje religijnemu znaczeniu wydarzenia. Przeciwnie: religia jest tu sprzężona z życiem. Nie jest natomiast wplątana w żadną partycularną grę stronnictw, frakcji i ugrupowań. Przerasta, przekracza, rozbią te wszystkie szalunki, w których usiłowano ją pomieścić i zamknąć. Nikogo nie wynosi do władzy, nie ustanawia żadnej teokracji. W żadnym też razie nie usypia. Zdecydowanie budzi. Choć wielu usnie znowu.

3. Ta intuicja przebudzenia prowadzi wprost do drugiego wątku, który musi być podjęty.

W sprawie kontynuacji Sierpnia, w sprawie Solidarności. Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego, ruchu społecznego w obronie praw człowieka i praw pracowniczych, głos Papieża musi się bardzo poważnie liczyć. Jest doniosły dla wszystkich, niezależnie od ich stosunku do chrześcijaństwa i Kościoła Kzmysko-Katolickiego. Jest to przecież także głos i świadectwo mądrego, doświadczonego Polaka, męża stanu, niestrudzenie szukającego drogi do dobra Ojczyzny. Katolicy mogą temu głosowi przyznać jeszcze osoby, szczególnie, religijny autorytet.

Co Papież w tej sprawie powiedział? Wszystkie wzmianki o Solidarności zapisały się w sercach. Trzeba je jeszcze dokładniej przeanalizować. Cały kontekst pielgrzymki wskazuje, moim zdaniem, że Papież nie dopuszcza myśli, by Solidarność miała być sprawą przebrzmiałą, jak cncą niektórzy, zamkniętym rozdziałem. Wartość jaką Papież w Solidarności widzi, nie tylko dla Polski lecz dla świata, domaga się utrzymania ciągłości ruchu. Cała postawa Papieża podczas Trzeciej Pielgrzymki pozwala przypisać mu przekonanie, iż w sprzyjających okolicznościach Polska może wyprowadzić z impasu właśnie ruch społeczny o takich cechach, jakie wyróżniały Solidarność na tle innych prób i poczynań opozycyjnych.

Proszę uważać: nie twierdzą, że jest to jakis proponowany program papieski czy bezpośrednio jego sugestia. Papież nie proponował społeczeństwu żadnych programów, poza programem moralnego oporu, trwania przy wybranych podstawowych wartościach i gotowości do ofiary... Tak widzi rolę duszpasterza i tego dystansu od "polityki" się trzyma. Program, to sprawa świeckich. My mamy zaaplikować świadectwo Jana Pawła II do sytuacji polskiej, takiej jak ją widzimy. On wraca do Rzymu, my zostajemy z tym zadaniem.

Dyskusja o błędach i niedostatkach "Pierwszej Solidarności" może nasuwać różne wnioski na temat szans i programu "Drugiej S". Pewne jest jednak, że tak druga, jak Trzecia, i któraś wreszcie zwycięska, normalna, legalna i ustabilizowana, będzie potrzebować przede wszystkim ludzi większych, dojrzałych, bardziej doświadczonych i wyrobionych niż ci, co stanęli do dyspozycji Pierwszej. Kościół polski - o ile będzie naprawdę taki, jak chce Papież - będzie takich ludzi wychowywać, bo musi wychowywać ludzi

sumienia. Oby to czynił coraz szerzej i skuteczniej. Musimy tego chcieć, nie tylko dla Kościoła, lecz także specjalnie dla Związku

Dlatego niezwykle ważne jest dla wszystkich nie tylko to, co Papież mówił do Solidarności, o niej, czy od niej. Istotne jest również nakreślenie programu pracy duszpasterskiej, wizja polskiego biskupa, kapłana i świeckiego apostoła. Wszyscy oni mają być sługami podmiotowości społeczeństwa. Nadaje to owej podmiotowości niezwykle wysoką rangę moralną. Nic nie może jej przesłonić jako celu działań, także czysto świeckich, politycznych właśnie. W oczach papieża podmiotowość społeczeństwa jest warunkiem, poniekąd gwarancją, dla ewangelizacyjnej pracy Kościoła. Nie grozi więc sojusz ołtarza z tronem. Papież przypomina, że Bóg "ubogiego na krześle posadzi". Skoro tak, to można na Kościół liczyć. Byle był papieski jak papież. Nie więcej, nie mniej.

Halina Bortnowska

LECH WAŁĘSA

# Droga nadziei

"PAN TO MA DOBRZE, PANIE WAŁĘSA".

Jest taka chwila przed snem, kiedy w moim domu nastaje spokój. Zamykają się drzwi za ostatnimi gośćmi, którzy przeważnie nie opuszczają mnie ani na chwilę w ciągu dnia. Żona ukiada się do snu z dziewczynkami, a chłopcy padają wreszcie do łóżek. Zostaje pusta scena. I wtedy słyszę dochodzące mnie kwestie z udzielonych w ciągu dnia wywiadów, fragmenty czyichś opinii, słowa przygany i pochwał, z których ja tylko wiem naprawdę ile są warte, słyszę słowa przestrogi i ponaglenia, dociekliwe pytania: czy on nie jest przypadkiem z tych bezbronnych proroków, za którymi nic nie stoi, żadna siła... albo: czy byłby zdolny raz jeszcze wszystko położyć na szalę, łącznie z sobą... Nauczyłem się w życiu wierzyć w przeznaczenie. Nauczyła mnie tego matka. W pierwszym etapie samodzielnego życia trochę odszedłem od tego źródła. Zdałem się bardziej na własną gwiazdę. A potem, pod wpływem doświadczeń życia, odkryłem jeszcze sens słowa - Zawierzenie. Jego zrozumienie zawdzięczam Kościołowi. Te dwa słowa oraz mój instykt życiowy prowadzą mnie, jak dotychczas bez większych katastrof przez życie.

Przeznaczenia nie pojmuję w sposób fatalistyczny, czy bierny. Przeciwnie - zrozumienie sensu rozmaitych przeznaczeń wymaga niemalej odwagi i aktywnego stosunku do życia, ludzi, wydarzeń. Stałego analizowania i rozumienia swojej roli na tym tle. Jeśli do tego dodać bardziej prostą filozofię: zawsze maksymalnie starać się robić coś dobrze, maksymalnie uczciwie, mając dane parametry sytuacji do wykorzystania. Owszem - nie rezygnując nawet z pewnej wygody, jeśli jest taka możliwość. Życie jest jedno, warto poznać jego smak.

Kiedys spytano mnie - czy przeznaczeniem Polski i Polaków jest stały dramat? - Uważam, że mija jakaś epoka. Świat, a wraz z nim Polska ulega głębokim zmianom. Systemy rakietowe dokonały nowej rewizji granic, położenie geograficzne nie jest już tak bardzo istotne i wkrótce pewnie przestaniemy być aż tak bardzo zauważalni. Wiszące nad nami strachy odejdą...

Jest w świecie wiele zgiełku, ale kiedy się przyjrzeć sprawom, widać, że interpretacje z obu stron są mylne. Zachód jest świetnie uzbrojony, bogaty - ale nie chce walki. Wschód - pewno

---

Lech Wałęsa - Un chemin despoir, Paris 1987, Fayard. Zanim książka ukaże się po polsku w całości - maszynopis został złożony w wydawnictwie ZNAK - przedstawiamy obszernie fragmenty przedmowy oraz rozdziałów: Stan wojenny i Prywatna Osoba - redakcja.

---



i chciał rozprzestrzenienia idei, którą proponuje - ale go nie stać. Spotykają się więc dwie "niemożliwości", jedni mogą, a nie chcą, drugich nie stać. Czasy są ciekawe. Solidarność jest właśnie dowodem na to, że nadchodzi nowa epoka. Od wieków warunki zmuszały nas do szukania nowych, nieznanych rozwiązań, poruszania się w zagadnieniach "kwadratury koła" i rozwiązywania jej. Zawsze tutaj w ciśnieniu różnych sił - żeby żyć i przeżyć trzeba było wybierać, sprawdzać, również siebie, potwierdzać, protestować, szukać w sobie sił moralnych. Naród ten, mimo oficjalnie głoszonego ateizmu, wydał papieża-Polaka, a tkwiąc w samym źródle skostniałego układu będącego wynikiem przestarzałego politycznego podziału świata, proklamował w sierpniu 1980 roku nadejście nowej epoki, w której polityczne "tabu" w ogóle stają na dalszym miejscu. Dokonał tego na oczach całego świata w sposób bezkrawy, nie zagrażając nikomu. W centrum uwagi postawił nie ideologię, system gospodarczy czy polityczny - ale człowieka. Obie strony uznały ten program za rewolucyjny. Dla nas nie miało to nic wspólnego z rewolucją. Mieliśmy odczucie, że po wielu latach stania na głowie - wracamy do normalnej pozycji.

Zrozumienie przeznaczeń uwalnia człowieka od jałowego buntu. Kiedyś rozmawiałem ze starym polskim generałem, jednym z tych, którzy byli czynni w wydarzeniach politycznych okresu formowania się niepodległości Polski w 1916 roku, a później, po latach II wojny światowej odbyli cały szlak żołnierza-tułacza, po wyjściu polskiej armii generała Andersa z ZSRR, poprzez Daleki Wschód, Monte Cassino we Włoszech, udział w rządzie londyńskim - do Polski. Do Polski takiej, jaką stworzył układ jałtański. Jako wysokiej rangi sztabowiec, miał on możliwość bezpośrednich kontaktów z ludźmi, którzy stworzyli nową mapę Europy w tym czasie: ze Stalinem, jego funkcjonariuszami, którzy na długo wycisnęli piętno nowego stylu rządzenia - Beria i innymi, a także z generałem Eisenhowerem, głównodowodzącym wojsk alianckich zachodniego frontu, późniejszym prezydentem USA, no i całą plejadą polityków londyńskich. Jednak stary żołnierz do końca życia nie mógł się pogodzić z tą zmianą, uważał, że Polska została zdradzona... Za jego życia z kraju związanego tradycyjnie z zachodnią Europą weszła w krąg wpływów Związku Radzieckiego. Przytoczyłem wtedy hipotetyczną wizję Polski, bez Jałty. Cóż mogłoby się stać z krajem, który wyszedł tak osłabiony z wojny - przy tak potężnym sąsiedztwie? Nawet trzeźwy Zachód fascynował się rewolucyjnymi ideami płynącymi ze Wschodu. A więc taki byłby los Polski... Powolna nieuchronna ewolucja w stronę Wschodu, nieuchronne wchłanianie, proces postępujący. Akt jałtański uchronił nas od przejścia całej tej długiej drogi, na końcu której czekałoby nas bolesne rozczarowanie - co gorsza - za cenę utraty własnej tożsamości narodowej. Szok pojałtański wytworzył skuteczne przeciwciała, przyspieszył lekcję historii, dał nam możliwość uczestniczenia z bliska w pewnym jej rozdziale, zamiast fascynacji nim na odległość. Lekcja została zakończona, a jej rezultat Polska obwieściła światu. Polska lekcja została włączona do współczesnego podręcznika wiedzy o świecie. Staram się widzieć wydarzenia, jak zadanie, które mam rozwiązać. Tak widzę sens życia człowieka.

Nigdy nie tragizuję. Wiem, że w życiu nic tak do końca nie zależy od nas. Ale trzeba się starać. Z godnością szukać rozwiązań sytuacji, maksymalnie dobrych, maksymalnie uczciwych. Widziałem już wielu ludzi zgorzkniałych, przegranych polityków, związanych kurczowo z jakąś jedną, własną koncepcją, idea-sztandarem, poza którym nie mieli już nic więcej swojego w życiu. Jestem w największym kłopotcie, kiedy pytają mnie o tę jedną, jedyną nadrzędną ideę, która określałaby mnie do końca. Kłopot z tym, że

tak naprawdę nie utożsamiam się z żadną z nich. Nie dlatego, żebym był sceptykiem, ale dlatego, że jestem praktykiem. I czuję, że to jest raczej moją mocną stroną. Przecież za parę lat może się okazać, że sytuacja się zmieniła i wcześniej podjęte decyzje okazują się nietrafne... Dam przykład: Fomnik Stoczniovców w Gdańsku. Jestem człowiekiem, który spędził niejeden dzień w areszcie, dążąc do jego wybudowania. Ale wcześniej, w pierwszej wersji, miał to być kopiec kamieni, albo płyta pamiątkowa. Nie pozwolili... Ale właśnie dlatego, dzięki temu powstał pomnik, stanowiący wartość społeczną i chrześcijańską, a przy tym o wielkiej wymowie politycznej, do którego odwołuje się całe pokolenie w myśleniu o Polsce.

Tak więc wydarzenia naprawdę mają wewnętrzną głęboką logikę i warto akceptować życie, takim jakim ono jest. Jeśli ma tylko pomóc - przyjdą rozwiązania lepsze i bogatsze od tych wymyślonych teoretycznie, z próbowki, zrodzonych z czystych idei: te potrafią być naprawdę niebezpieczne.

W działaniach praktycznych kierował mną szczęśliwie instynkt człowieka obdarzonego liczną rodziną. Taką była zresztą odwieczna tradycja w mojej rodzinie - wielodzietność i rozgałęzienie. Widać tkwi w tym prostym biologicznym fakcie jakaś wartość, dzięki której trzymam się ziemi, mimo zmiennych kolei losu.

Wszystko co w życiu osiągnąłem, traktuję jako rodzaj życiowej dzierżawy. Z punktu widzenia chrześcijaństwa wszystko zresztą jest taką dzierżawą: uroda, szczęście, pieniądze. Jeśli przyjąć ten punkt widzenia, uznać się za chwilowego dzierżawcę rozmaitych życiowych skarbów - łatwiej uchronić się od zawrotów głowy czy rozpaczań.

Zdaję sobie sprawę z tego, że te najlepsze rzeczy - momenty w moim życiu już mam za sobą. Teraz codziennie zbliżam się do niewiadomej, codziennie będę miał większe problemy i właściwie nie mogę liczyć na coś łatwiejszego, ale na trudniejsze, gorsze. Myślę, że tak właśnie będzie i staram się być gotowy na nadchodzące trudne momenty. Nigdy zresztą nie chciałem być pierwszym. Ale właśnie dlatego, że nie chciałem, że byłem pochłonięty sprawami, rozwiązywałem problemy - wszystko to wypychało mnie na czoło. Ja o tym mówię - na czoło stada...

Dzisiaj znalazłem się w punkcie, w którym nie mam wyboru: nie mogę nie wytrwać. Muszę przyjąć miejsce, na którym jestem, bo mnie wymięją, wyszydzą, bo moim wnukom nie dadzą spokoju. Że pozwoliłem się zepchnąć, że nie rozwiązałem problemów tak jak powinienem. W bilansie życiowych rozliczeń liczy się także głos mojej żony, Danuty: może los nas ukarze za ten publiczny rozgłos, może to co zyskałem - stracę w dzieciach, dla których mam tak mało czasu, pochłonięty stale publicznymi sprawami...

A więc jest temat do rozmyślań, czy nie nadszedł czas, korzystając z tego, że byłem pierwszym - wycofać się. Z twarzą. Jak oceni ten krok ktoś za pięćdziesiąt, za sto lat?

Dlatego jestem i rozwiązuję problemy, ale tak bardzo się nie pcham, bo do końca nie jestem przekonany, czy nie powinienem czasem "zejść po drabinie" i umożliwić komuś innemu zajęcie mego miejsca. Nie wiem. Odkładam tę decyzję do momentu, gdy wszyscy tutaj poczują, że stoimy na twardym gruncie. A swoją drogą - kiedy już będzie lekko - chciałbym zobaczyć, ilu zjawi się chętnych kandydatów na "pierwszeństwo". Na razie tak bardzo się nie pchają.

W sierpniu 1980 roku w momencie takiego załamania, mówiłem tym, którzy mnie krytykowali - panowie, proszę bardzo - bierzcie! Ja dociągnąłem do pierwszego etapu, podpisaliśmy Porozumienia, teraz bierzcie! Nie chcieli. Potem znów walczyli ze mną. Ale taka

jest kolej rzeczy: jak jest dramatycznie - nikt nie chce prowadzić, jak jest trochę "z górki" - każdy by chciał. A ja brałem wszystko jak szio, negatywy i pozytywy. I nie pchałem się. A teraz jest ciężko i dlatego każdy uznaje - dobrze jest tak jak jest, że jest taki Wałęsa.

Dostałem kiedyś taki list: "pan to ma dobrze, panie Wałęsa, stan wojenny właściwie nie dotknął pana, nawet Ojciec Święty znalazł dla pana czas na rozmowę. Ja całe życie przeżyłem uczucie, niewiele z tego mam, a w czasie pielgrzymki, papieża widziałem z bardzo daleka. Czy to jest sprawiedliwe, czy pan uważa, że panu się wszystko należy?" - No tak, człowieku, masz rację.

Moja matka całe życie pragnęła być na Jasnej Górze. W końcu pojechała do Stanów Zjednoczonych i tam umarła, nie zdążyła zrealizować tego marzenia, tej potrzeby. Popatrz jak los ułożył: ja podchodzę pod sam Obraz, nocuję w klasztorze na Jasnej Górze. Los mi dał bez moich starań to, co było największym pragnieniem matki. Czy zaskoczyłem? Wydaje mi się, że nie. Jak patrzę na poczciwość mojej matki, wielu innych ludzi, to uważam, że im by się to bardziej należało. Więc kiedy mnie zapraszają, to mam nie jechać? Nawet tak myślałem: czy nie zabieram komuś miejsca tam, czy przez to, że z papieżem godzinę rozmawiałem - może w tym czasie stu ludzi mogłoby mieć z Nim kontakt i pożytek z tego byłoby większy... Zadają sobie takie pytanie.

Los mi daje same dobre rzeczy od jakiegoś czasu; kiedyś dawał mi niedobre. Jeszcze wszystko może się odmienić. Nie wiem, kiedy mi strzelą w łeb, kiedy mnie uduszą, jaki będzie mój los. Może być jeszcze nie taki dobry. Zgoda - wielu ludzi mi pomogło, ale i ja sam coś zrobiłem...

x x x

No i teraz to podsumowanie... Żeby było pełniejsze i zawierało rozmaite punkty widzenia, posłużę się niemałym już moim archiwum. Są w nim te czki z korespondencją, teksty wywiadów, projekty wystąpień, sporo taśm magnetofonowych, wreszcie "dziennik czynności" założony po powrocie do domu z internowania, na początku 1983 roku. Oczywiście, w tak pomyślanej pracy muszę się odwołać do zespołu moich współpracowników, którzy w ciągu paru ładnych lat wspólnej drogi, mając nieskrępowany dostęp do tych materiałów, a także do mojego domu - zdołali zebrać sporo uwag na mój temat na własną rękę. Myślę, że poznaliśmy się na tyle dobrze, że w końcu ich wiedza o mnie stała się moją wiedzą o sobie. Mamy wiele wspólnych poglądów, spotkaliśmy się wszyscy dążąc do tego samego celu; łączą nas jedns i ta sama sprawa, wspólna dla całego naszego pokolenia: SOLIDARNOSC.

## Z rozdziału: STAN WOJENNY.

W czasie, gdy wojskowi kurierzy dostarczali w Warszawie zawiadomienia o nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Państwa - w Gdańsku kończyły się dwudniowe obrady Komisji Krajowej "Solidarności".

Dochodziła północ. Nie zabierałem głosu. Tylko w przerwie obrad, w obecności dziennikarzy tłumaczyłem po raz kolejny znaczenie słów o konfrontacji, których użyłem w Radomiu. Polemizowałem w ten sposób z interpretacją, którą przyjęła propaganda oficjalna ostatnich dni:

Kiedy my mówimy o konfrontacji - mamy na myśli siłę argumentów - mówięm. Nie dysponujemy i nie chcemy stosować siły fizycznej, nie mamy czołgów i nie chcemy ich. Nasze słowa są proste i choć brzmią brutalnie, niech ta władza patrzy na nasze intencje, a nie łapie za słowa - to chyba widać z całego naszego

postępowania.

Wcześniej, około 18.00 zadzwoniłem do wojewody pytając, co znaczą ruchy wojsk w kierunku Gdańska i przemieszczanie się oddziałów milicji ze Słupska, Szczytna i ze Szczecina. Ale ten też nic nie wiedział. Interwującemu wojewódzie powiedziano, że jest wielka operacja dotycząca aglomeracji trójmiejskiej pod nazwą "Pierścień". Oficjalnie operacja "Pierścień" miała polegać na przeczesaniu melin, kontroli półświatka przestępczego itp., jako jedną z wielu akcji porządkowych. Taką samą informację otrzymał od wojewódzkiego komendanta milicji, płk Jerzego Andrzejewskiego, późno w nocy mój zastępca w Gdańsku - Konrad Karuszczuk. Wtedy zapytał: który pierścień jest dla "Solidarności"? Ale odpowiedzi nie otrzymał...

Przed północą dostarczono mi informację: "Przerwane są już wszystkie połączenia telefoniczne i teleksowe". Oświadczyłem: To jest koniec naszego spotkania, zamykam obrady...

Ruszyłem do wyjścia, a za mną inni. W ciągu pięciu minut sala była pusta.

Na dworze padał śnieg, widoczny w żółtym świetle stoczniowych lamp, oświetlających drogę w stronę drugiej bramy. Za chwilę zniknęły w niej ostatnie samochody rozwożące delegatów. Śnieg zgęstniał, zaległa kompletna cisza. Jechałem do domu...

Kozumiałem, że w tym momencie na razie kończył się nasz ruch. I trzeba było to przyjąć, podobnie jak przyjmuje się reguły gry. Kiedy naprawdę jest czas na ruch partnera, należy wyłączyć się i dobrze przygotować późniejszy własny ruch. Innej rady nie ma. Trzeba mieć świeżą głowę, dobre samopoczucie i zebrane siły przed następną rundą. Parfika, szamotanie się nic nie dają.

Przez cały okres legalnego istnienia Solidarności podstawowym moim celem było zyskać na czasie: jeszcze tydzień, jeszcze miesiąc. Było to jedyną szansą na dojście do porozumienia. Ale czy było ono w ogóle możliwe. Czy od początku nie chciano zniszczyć naszego ruchu.

Jeszcze w sierpniu, w dniu, w którym napięcie w stoczni doszło do zenitu i spodziewano się desantu od strony morza, przed podpisaniem porozumienia do jednego z dziennikarzy zgłosił się przebywający w stoczni wyższy rangą funkcjonariusz SB. Mówił, że zajmuje się polityką profesjonalnie, a szerzej od 1967 roku by zrozumieć, komu i czemu ma służyć. - Chciałbym robić wyłącznie to, co powinno do mnie należeć. Tak zwana dywersja polityczna jest sprawą poglądów. To sprawa dziennikarzy, literatów, propagandy, a nie milicji. Wymaga się ode mnie działań w tym stylu - mówił - a ja jestem członkiem partii przede wszystkim i poszedłem do tej pracy z myślą, że będę walczył ze szpiegami, dywersantami. W dalszej rozmowie zarysował z grubsza rozwój sytuacji w przyszłości. "Podpisaniem porozumienia zainteresowane są wszystkie siły polityczne w kraju oprócz jednej, tej będącej u władzy. Problem powstanie dopiero po podpisaniu porozumienia. Siły, którym nie jest potrzebna autentyczna demokracja traktują porozumienie jako manewr taktyczny. Później postarają się doprowadzić do rozhuśtania nastrojów społecznych do tego stopnia, by społeczeństwo zaczęło domagać się silnej władzy. Wtedy zjawia się silna władza, czyli polski generał de Gaulle."

Zastanawialiśmy się wtedy, kto jest polskim generałem de Gaulle? Wkrótce pierwszym sekretarzem KC partii został Stanisław Kania... A to się nie kleiło.

Na zakończenie cytowanej rozmowy w stoczni człowiek z SB wręczył dziennikarzowi zarejestrowany cały jej przebieg. Zostało ono spisane i jest jednym z materialnych dowodów na to, że nikt

z "nawiedzonych" tych przyszłych scenariuszy nie wymyślał, że zostały one przygotowane na długo przed 13-tym grudnia.

Około pierwszej zaczęła się seria wizyt w moim domu. Dzwonek dzwonił tej nocy prawie bez przerwy. Najpierw zgłosili się młodzi ludzie z RMP z informacjami o zatrzymaniach ludzi z ich kręgu. Byli u mnie jeszcze raz informując, co dzieje się w mieście, oczekiwali że im coś doradzę. Powiedziałem to samo, co w domu: czekać do rana, nie wpadać w panikę, teraz trudno ocenić zaistniałą sytuację.

Dostałem też wiadomość o aresztowaniu mojego kierowcy. Przyjechała jego żona w towarzystwie aktora - dziennikarza "Tygodnika Solidarność". Danuta pocieszała ją po swojemu: "nie bój się Marzenko, Lecha tyle razy zabierali, że mnie nie jest w stanie nic zaskoczyć. Zobacz, żyjemy i wam też nic się nie stanie..."

Stan wojenny był również zaskoczeniem dla władz w Gdańsku. Sztab przygotowując operację na noc z dwunastego na trzynastego nie dopuścił do przecieków. Wojewoda Kołodziejski został obudzony około pierwszej w nocy i poinformowany o obowiązywaniu dekretu. Zawieziono go do mieszkania I sekretarza - Fiszbacha, który od kilkunastu minut był na nogach. Obaj mieli wyłączzone telefony, tak jak cały kraj. W mieszkaniu Fiszbacha działał jednak aparat linii specjalnej, bezpośrednio łączący się z KC. Połączyli się z Warszawą. Przy telefonie był Barcikowski, potem także Kąkowski. Uszyśleli, że obowiązuje stan wojenny i przekazano im wynikające z tego dyrektywy działania. Pierwszym zadaniem miało być skłonienie mnie, bym bez oporów udał się na rozmowy do Warszawy. Z telefonu wynikało, że generał osobiście czeka na rozmowę ze mną.

Fiszbach i Kołodziejski zostali zawiezieni do mnie na Zaspę. Blok mieszkalny przy ulicy Pilotów i wejście do klatki szczerze obstawione milicją. Zaczęli rozmowę przez zamknięte drzwi, potem weszli do środka i przekazali mi polecenie udania się natychmiast do Warszawy. Odrzuciłem tę propozycję, gdyż warunkiem wstępnym powinno być uwolnienie wszystkich zatrzymanych. Z tym żądaniem obaj przedstawiciele władzy odjechali, aby je przekazać dalej.

Przez "we-cze" dzięki specjalnemu połączeniu z komitetem partii przekazali moje warunki.

W międzyczasie pod drzwi mieszkania przybyła specjalna grupa "bojowa", wyposażona w łomy, która zażądała wpuszczenia do mieszkania. W wyniku pertraktacji ustalono, że zostaną oni wpuszczeni dopiero po powrocie Fiszbacha i Kołodziejskiego. Po godzinie trzeciej przybyli ponownie Fiszbach i Kołodziejski i major dowodzący grupą specjalną. Kołodziejski argumentował, że dobrowolne udanie się na rozmowę będzie lepszym rozwiązaniem niż gdyby mnie tam mieli zawieźć. Nie miałem wyboru; zszedłem do oczekującego samochodu. Wojewoda dorzucił: Panie Lechu, to nie zabierze dużo czasu. Jeśli moja obecność może być dla pana gwarancją, że powróci pan zdrów do domu, mogę jechać z panem.

- Niech pan, panie wojewodo lepiej wraca do domu - powiedziałem. Wręcz przeciwnie, to może się bardzo przeciągnąć. Mam wrażenie, że pan również zostanie przeniesiony. Nie ogłasza się stanu wojennego na 48 godzin ani na miesiąc. To poważna sprawa, to może trwać długo. Niech pan spokojnie wraca do domu. Będę gotów, jak tylko żona spakuje mnie.

Tadeusz Fiszbach musiał być lepiej zorientowany w sytuacji bo mało się odzywał. Pierwszy sekretarz stał jak skamieniały wobec obrotu wydarzeń. Pożegnałem się z nimi mówiąc:

- Panowie pojedą sam. Niech pan idzie panie sekretarzu i pan panie wojewodo do domu. Ta sprawa panów także nie ominie...

Jestem człowiekiem, który łatwiej rejestruje słowa niż zwraca uwagę na zachowania ludzi, ton, ogólny zarys sytuacji. Moja żona,

Danuta, częściej zauważa szczegóły, często charakterystyczny. Z jej opowieści o wydarzeniach z tej nocy można odtworzyć więcej elementów:

- Około kwadrans na trzecią w nocy wstałam otworzyć drzwi po kolejnym dzwonku, Lech nie wstawał z łóżka. Przyjechali Fiszbach i Kołodziejwski mówiąc, że chcą porozmawiać z mężem, że pan Jaruzelski ma przyjemność zaprosić męża na rozmowę. Lech się zdenerwował i odpowiedział, że za późno na rozmowy, żadnych rozmów nie będzie. Wtedy wnieśliam się i powiedziałam: a czy panowie wiedzą, że już są zamykani ludzie? Fiszbach odpowiedział, że nic mu o tym nie wiadomo. Wtedy mąż powiedział: no właśnie, jak będą wypuszczeni ci ludzie, to ja pojedę na rozmowę. Odjechali mówiąc, że przekażą ten warunek za pośrednictwem "gorącej linii" do Warszawy. Za pięć minut znowu dzwonek do drzwi. W wizjerze zobaczyłam pięciu milicjantów i trzech cywilów. Byli wyposażeni w metalowe łomy do wyważania drzwi. Kazali otwierać, bo przyszli po męża. Powiedziałam, że nie otworzę, dopóki nie wrócą Fiszbach z wojewodą. Czekali pod drzwiami z godzinę. Wreszcie ściągnęli sekretarza i wojewodę. Otworzyłam i wraz z nimi wszedł jeden z milicjantów. Lech już się ubierał. Milicjant został w przedpokoju wraz ze mną, a tamci poszli do kuchni po Lecha, gdzie powiedzieli mu o wprowadzeniu stanu wojennego. Myślałam, że mąż wiedział co się dzieje, ale do tej pory zachowywał się tak, jak-gdyby nigdy nic aby mnie nie przestraszyć. Byłam w ciąży. Mnie nie powiedzieli nic poza tym, że zabierają Lecha na rozmowę. Była 5.25, gdy schodził z nimi na dół do samochodu. O dziewiątej rano wrócili jeszcze raz, żeby mi przekazać, że Lech jest w Warszawie na rozmowach z Ciosek, a potem ma być spotkanie z Jaruzelskim. Oferowali mi pomoc, gdyby była potrzebna. Wydali mi się bardzo zdenerwowani, napięci. Fiszbach w kuchni położył czapkę, na niej płaszcz, a potem zapomniał zabrać tę czapkę. Kołodziejwski miał dwa różne buty na nogach: czarny i brązowy. Wszystko razem wskazywało na to, że naprawdę mocno przeżywali to, co się działo. Niemożliwe, aby wcześniej o tych sprawach wiedzieli. Uważam, że mąż potrafił się z nimi porozumiewać, nawet w trudnych sprawach. Już w niedzielę, z telefonu wojewody rozmawiałam z mężem, około godziny osiemnastej. Lech powiedział: No, stało się i może to potrwać rok. - I tak długo będą cię trzymać? - spytałam. - No, nie wiem, ale ten stan będzie trwać co najmniej rok..."

Jakie były reakcje na świecie? Gdy je z grubsza poznałem, okazało się, że wprowadzenie stanu wojennego w Polsce było zaskoczeniem dla czołowych polityków świata. Aż nie chce się wierzyć, że w dobie sztucznych satelitów szpiegowskich, rozwiniętych systemów informacyjnych można w środku Europy zaplanować, przygotować i wreszcie przeprowadzić błyskawiczną akcję obezwładnienia wielomilionowego narodu. A jednak tak się stało. Teoretycznie przeprowadzona akcja miała charakter wewnętrzny, tym niemniej duże radzieckie formacje wojskowe były na pozycjach wyjściowych na wypadek gwałtownego i zbyt silnego oporu społeczeństwa polskiego. Musiano sobie stawiać pytanie, czy rząd polski zapanuje nad sytuacją, czy nie dojdzie do krwawego powstania?

Spod domu zawieziono mnie samochodem na lotnisko, skąd awionetką do Chylic pod Warszawą, do dawnej willi byłego sekretarza KC Łukaszewicza.

Pierwsze rozmowy miały charakter wstępny. Był obecny minister Stanisław Ciosek, jakaś generalicja, trudno mi powiedzieć kto.

Jako chrześcijanin już dawniej rozstrzygnałem te podstawowe ludzkie lęki. W gruncie rzeczy uważam, że rok wcześniej, czy parę lat później, to nie takie ważne. Poza tym byłem traktowany dość dobrze...

Uwięzienie jest wyłączeniem z życia, zdjęciem odpowiedzialności, zwolnieniem od konieczności działania... Dobrze znałem gdańskie cele więzienne. W czasie trwania "Solidarności" w okresach największego rozpędu wspominałem nieraz żartem, że coś na co naprawdę mam ochotę, to czterdzieści osiem godzin w celi, na wyspanie się i odpoczynek. Tak też od razu potraktowałem okazję, którą stworzyło internowanie. Spać. Była to reakcja obronna na wielkie zmęczenie i napięcie towarzyszące nieprzerwanie od Sierpnia '80 i na ostatnie wydarzenia. Ucieczka w sen.

W tym stanie, na wpół uśpionego, pilnujący mnie człowiek z Biura Ochrony Kządu /BOK/ poinformował mnie o przyjeździe wicepremiera Rakowskiego, który przybył z propozycją rozmowy. Byłem nie do końca rozbudzony i z całego potrząsania i przemowy BOKowca zrozumiałem tylko nazwisko "Rakowski". Takiego nazwiska nie znałem, nic mi ono nie mówiło. Warknąłem: "weź go i zrzuć ze schodów, nie będę z nim rozmawiał". Nie wiem, czy moja odpowiedź na propozycję spotkania została przekazana Mieczysławowi Rakowskiemu dokładnie w tej formie, w każdym razie po przebudzeniu usłyszałem:

- Panie Lechu, ale Rakowski był wściekły, jak pieprznął drzwiami, to mało futryna nie wyleciała.

Myślę, że los mi w sumie pomógł. Myślę, że Rakowski wyszedłby z tej rozmowy zwycięsko. Powiedzieliby mi zapewne, że tu nie ma wyboru, swoje argumenty rzuciłby mi na stół, chcieliby mnie przynęcić nie wiadomo jaką współodpowiedzialnością.

Incydent z Rakowskim miał jeszcze i ten skutek, że nie doszło do zaplanowanego dołączenia do mnie, do Otwocka, Mieczysława Wachowskiego, mojego kierowcy, który miał mi towarzyszyć w charakterze adiutanta, czy kogós w tym rodzaju. Zwolniono go w tym celu ze Strzebielinka, już po kilkunastu zaledwie godzinach internowania. Wskutek zamieszania pozostał już na wolności i pomagał półoficjalnie mojej żonie.

Potrzebna była im krew, po to, żeby pokazać sobie i wszystkim że się nie cofną. Z moimi argumentami i propozycjami wybrałem się nie w porę. Zresztą powiedziano mi też wtedy: "panie Wałęsa, pan nigdy nie będzie politykiem, bo pan boi się krwi". I ja rzeczywiście przyznałem im rację, rzeczywiście, nic nigdy nie zrobię za cenę krwi...

Koncepcja zachowania Związku w jakiejś formie obowiązywała dość długo. W każdym razie przez cały czas moich początkowych rozmów z Cioskiem. Oczywiście "Solidarność" będzie ograniczona... Byłem nagabywany, żeby poświęcić niektórym ludzi, odsunąć ich. Problem ten istniał od 1981 roku bez przerwy. Mówiłem zresztą o tym ludziom, że w pewnym momencie powiedzą mi: słuchaj, dobra, możemy jechać dalej, ale musisz oddać tych i tych. I tak się stało. Miałem dokonać wyboru. Choć mogło to być i oszustwo, przez które nic bym nie osiągnął, prócz strat moralnych dla Związku i dla siebie jako przywódcy. Nic nie było spisywane, nic nie nagrywano podczas składania tych propozycji. Powiedzmy, że mogłem zaryzykować te cięcia, może bym się z tego jakoś wygrzebał, nie wiem... Jednak nie potrafiłem i nie potrafię nigdy nikogo zostawić. Osobiście mogę rozliczyć, wyrzucić, ale nie dopuściłbym, aby ktoś został wyrzucony za pracę ze mną. Nawet jak mi mówili: ten może zostać, ten - nie, to zdrajca. Wówczas mówiłem: proszę panów, proszę mi dać jego dokumenty, jego samego - i wtedy pogadamy. Sprawdzę to i jeśli rzeczywiście jest tak jak mówicie, to ja sam, a nie wy, go wyrzucę. No i o to się sprawa rozbiła. Czasem mówili mi nawet: "mimo wszystko jest pan politykiem, ale niedobrym politykiem, bo nie poświęca pan pewnych mniejszych rzeczy dla większych". Wtedy odpowiadałem: to nie jest zupełnie

tak, nie w ten sposób rozumiem poświęcenie kogoś dla czegoś ważniejszego. Poświęcenie kogoś musi przez niego samego być zrozumiane. Tak ja rozumiem politykę. Mówię temu komuś: "słuchaj, jest możliwość odzyskania wszystkiego, ale ty musisz się wycofać, a nawet wyjechać. Masz teraz takie możliwości rozegrania sprawy, ważnej sprawy - więc weź to na siebie - ty to rozegrasz..."

- No, to pan nie nadaje się na polityka. Koniec misji.

Jak znosiłem to odosobnienie. Przede wszystkim dzięki wierze i jasnym odczytaniu sytuacji. Rozumiałem, że ona jest mimo wszystko naszym dużym zwycięstwem. Po drugie - ja naprawdę jestem w gruncie rzeczy samotnikiem. To znaczy do wszystkich spraw dochodzę sam. Oczywiście przez rozmowy, obserwacje, sytuacje w jakich uczestniczę... Ale przeżywałem i rozważałem sam.

Miałem wiele do przemyślenia i do przeanalizowania. Od Sierpnia czas pędził nie dając mi szans na przystanek. Dlatego takie przebywanie sam na sam ze sobą było dla mnie dużo lepsze, niż w licznej grupie. Miałem pod dostatkiem rozmów i dyskusji. Byłem tym bardzo zmęczony. Będąc sam, robiłem to, co chciałem, oczywiście w granicach tego aresztu. Bo ja zawsze się przystosowuję do warunków. Wiem, że stąd - dotąd mogę, a dalej nie. Ale to też szczęście, że mogę aż "dotąd". Tak to traktuję. Dlatego ładnie się zagospodarowałem, jednocześnie myślałem nad przyszłymi koncepcjami. Po raz pierwszy od lat miałem na to czas.

W którymś momencie wyłożyli mi swoje stanowisko o związkach i całej reszcie. Ja na to nie odpowiedziałem oficjalnie. Przedstawiłem jedynie własne, prywatne stanowisko w tych wszystkich kwestiach. Stawiając warunek, że oficjalne stanowisko, wiążące, przedstawimy wspólnie w składzie minimum prezydium Związku plus paru doradców. A najlepiej, po przedyskutowaniu w składzie Komisji Krajowej. /.../

Cenię ludzi reprezentujących w każdych warunkach szczerzy, nawet okrutny realizm. Takim też od początku wydał mi się ksiądz Orszulik. Pierwszy kontakt z przedstawicielami Episkopatu miałem już czternastego grudnia. Ulokowano mnie w Chylicach koło Piaseczna pod Warszawą, zaś osobą, która eskortowała biskupa Bronisława Dąbrowskiego na spotkanie ze mną i księdza Orszulika był niejaki pułkownik Matuszko. Dopiero podczas procesu zabójców księdza Jerzego Popiełuszki rozpoznałem tę twarz, która wydała mi się znajoma... Był to pułkownik Adam Pietruszka, dyrektor jednego z departamentów MSW - wtedy występujący widać pod nieco zmienionym nazwiskiem.

W tydzień później, w godzinach wieczornych, ksiądz Orszulik dotarł do mnie po raz drugi. Miał sporo spraw do przekazania. Dramatyczna sytuacja kraju spowodowała podróże wysłanników Episkopatu do Watykanu, równocześnie wizytę wysłannika Ojca Świętego w Warszawie. Prowadzący rozmowy ze strony kościelnej otrzymali na bezpośrednim spotkaniu z sekretarzem KC Barcikowskim i ministrem spraw zagranicznych Czyrkim zapewnienie, które mieli przekazać Papieżowi: "Solidarność" będzie mogła działać, zgodnie ze swoim statutem, ale potrzebne jest prowadzenie rozmów w tej sprawie; że nie będzie więźniów politycznych i procesów politycznych, zaś kto będzie chciał wyjechać za granicę, będzie mógł to zrobić. Następnie rozmówcy ze strony Episkopatu przedstawili propozycję przeniesienia mnie na neutralny grunt, abym mógł, z pozycji człowieka wolnego, spotkać się z doradcami i internowanymi członkami prezydium Komisji Krajowej. Konkretnie w budynku, gdzie przebywał swego czasu Prymas Wyszyński: w Choszczówce. Miałem dać słowo honoru, że miejsca tego nie będę opuszczał. Episkopat



ofiarował swoje pośrednictwo w doprowadzeniu do rozmów z członkami przydiurn "Solidarności" i rządem. Natomiast nie przewidywał własnego udziału w rozmowach...

Przekazane mi informacje były w jaskrawej sprzeczności z istotą wydarzeń spowodowanych stanem wojennym. W kopalni "Wujek" zginęli górnicy występujący w obronie Związku. Miałem świadomość, że na te fakty mam obowiązek zareagować zdecydowanie. Dlatego też pierwszą moją reakcją było, że nie jest to czas rozmów. Są one potrzebne jako alibi tym, którzy wysyłają milicję do starć i strzelaniny z górnikiem. Należy wytrzymać jeszcze dwa tygodnie, a wygramy - rzeczywiście tak wtedy powiedziałem, mając na uwadze słuchających pod drzwiami naszego pokoju...

W gruncie rzeczy wiedziałem, że jako społeczeństwo nie mamy tradycji przeciwstawiania się polskiej władzy siłą, z bronią w rękę i nie tędy prowadzi nasza droga. Podobnie rozumował ksiądz Prymas apelując z ambony, że gotów jest iść na kolanach, by prosić o przystąpienie do rozmów. Tu nie było różnicy zdań. Zadeklarowałem wyraźnie posłuszeństwo w tej sprawie linii Kościoła. Nie zgadzała się z nią władza mająca świadomość, że trzeba pokonać społeczeństwo siłą, zakodować w nim świadomość, że siła ta może być w każdej chwili użyta przeciw niemu...

Realna wydawała się wówczas sprawa udziału doradców Związku we wstępnych rozmowach z rządem. Początkowo stawałem warunków, by w składzie byli ludzie reprezentujący w opinii członków "Solidarności" tę samą linię, którą reprezentowałem ja - tj. Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki. Kościół jednak dawał do zrozumienia, że nie ma ludzi niezastąpionych, a więc należy szukać ludzi z drugiej linii, pozostających na wolności i nie budzących tak gwałtownych sprzeciwów. Przystałem i na to...

Historia naszych wspólnych rozmów jest właściwie historią wyzywania się stopniowo postawionych przeze mnie warunków wstępnych i muszę przyznać, że ustępowałem tak daleko, aż doszedłem w końcu do propozycji wysuwanych przez Kościół. Tyle tylko, że i one nie przyniosły żadnych rezultatów. Widać taki był plan od początku i wykorzystanie także i Kościoła do prowadzenia gry pozorów.

Nieraz się zastanawiałem nad tym dlaczego Kościół mający tak wielkie doświadczenie przystał na tę fikcję? Po jakimś czasie zrozumiałem, że jest to wielka mądrość - przystając na zaproponowane reguły gry - Kościół wypełnia je własną treścią, zdobywa teren, choć początkowo wydaje się, że jest to depresja, nierealny grunt przekazany mu dla świętego spokoju z myślą, że nic tam się nie da zbudować. Tak Kościół w Polsce postępował od czasów powojennych, na tym polegała linia Prymasa. Brał wiarołomne oświadczenia i porozumienia za dobrą monetę i budował. Rozumiałem, że i tym razem sprawy idą podobnym torem, że Kościół także w warunkach stanu wojennego z proponowanej mu fikcji bez pokrycia uczyni rzeczywistość realną.

W pierwszym dniu Świąt Bożego Narodzenia miałem przy sobie żonę i księdza Jankowskiego z Gdańska, przekazano mi list osobisty Ojca Świętego z kopią apelu do generała Jaruzelskiego o zaprzestanie stanu wojennego.

W.P. Lech Wałęsa. Przewodniczący KK NSZZ Solidarność  
ul. Grunwaldzka 103  
20-244 Gdańsk-Wrzeszcz, Polonia  
Szanowny Panie!

Przesyłam tekst apelu, który - w związku z tragiczną sytuacją, jaka powstała ostatnio w Ojczyźnie - skierowałem do Prezesa Rady Ministrów, Generała Armii Wojciecha Jaruzelskiego, Równo-

cześnie zapewniam, że w tym szczególnie trudnym momencie całym sercem jestem z Panem i Jego rodziną, ze wszystkimi, którzy cierpią. Nadzieje ludzi pracy, moich rodaków, gorąco polecam Temu, który dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba i narodził się z Maryi Dziewicy.

Watykan 18.XII.81 r.

JAN PAWEŁ II

Pan Prezes Rady Ministrów Płk.  
Gen.Armii Wojciech Jaruzelski  
Warszawa

Wydarzenia ostatnich dni, wiadomości o zabitych i rannych Rodakach w związku ze stanem wojennym wprowadzonym od 13.XII. nakazują mi zwrócić się do Pana Generała z usilną prośbą i zarazem gorącym wezwaniem o zaprzestanie działań, które przynoszą ze sobą rozlew krwi polskiej.

W ciągu ostatnich zwłaszcza dwu stuleci Naród Polski doznał wielu krzywd, rozlano też wiele polskiej krwi, dążąc do rozciągnięcia władzy nad naszą Ojczyzną. W tej perspektywie dziejowej nie można dalej rozlewać polskiej krwi; nie może ta krew obciążać sumień i płamić rąk Rodaków. Zwracam się więc do Pana, Generale, z usilną prośbą i zarazem gorącym wezwaniem, ażeby sprawy związane z odnową społeczeństwa, które od sierpnia 1980 r. były załatwiane na drodze pokojowego dialogu, wróciły na tę samą drogę. Nawet jeśli jest ona trudna, nie jest to niemożliwe.

Domaga się tego dobro całego narodu. Domaga się również opinia całego świata, wszystkich społeczeństw, które siuszenie wiążą sprawę pokoju i poszanowania praw człowieka i praw narodu. Ogólnoludzkie pragnienie pokoju przemawia za tym, ażeby nie był kontynuowany stan wojenny w Polsce.

Kościół jest rzecznikiem tego pragnienia. Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, które od tyłu pokoleń łączyły wszystkich synów i córki naszego Narodu przy opłatku wigilijnym. Trzeba uczynić wszystko, ażeby tegorocznych Świąt Rodacy nie musieli spędzać pod groźbą śmierci i represji.

Zwracam się do Pańskiego sumienia, Generale, do sumień wszystkich tych ludzi, od których zależy w tej chwili decyzja.  
Watykan, 18.XII.81 r.

JAN PAWEŁ II

Po mszy św. odprawionej przez biskupa Kraszewskiego i księdza Orszulika, rozmowa zeszła na tematy natury moralnej. Biskup Kraszewski wygłosił jakby naukę rekolekcyjną, w której wspominał o kwestiach odpowiedzialności za słowo, o umiejętności milczenia, o realiach jakie towarzyszą stanowi wojennemu. Poruszyliśmy też tematy bardziej przyziemne. Spodziewałem się wdrożenia sankcji gospodarczych i restrykcji ze strony Zachodu, które miałyby przynaglić ekipę generała do wejścia w fazę rozmów. Taka musiała być kolej rzeczy, choć zgodziłem się z moimi rozmówcami, że odmo-  
wa pomocy Zachodu ugodzi ostatecznie w społeczeństwo. Dalsza część rozmowy toczyła się wokół problemu rozwiązania istniejącej sytuacji społecznej. Argumentowałem, że kiedy pozostają uwięzieni, bez możliwości kontaktów, nie mam wpływu na decyzje członków "Solidarności". To spowoduje powstanie, na dziko, niekontrolowanego podziemia, które może przybrać niebezpieczny charakter. Choćby z tych względów powinienem znaleźć się na wolności i pokierować ludźmi tak, by nie zaszły długotrwałe, nieodwracalne zmiany...

W trzy dni później, podczas następnego spotkania w willi Gomułki w Otwocku, przy ulicy Sułkowskiego powtarzałem podobne argumenty. Bez rezultatu. Episkopat nie zdołał przekonać wojsko-

wych o pożyteczności mojej misji, choć przyrzekałem, że jeśli za poręczeniem Kościoła znajduję się na neutralnym gruncie i umożliwi mi to rozmowy z doradcami, podejmę próbę pozytywnego wpływu na bieg wydarzeń, w szczególności zaś pokieruję rozwiązaniem kolejnego groźnego strajku górników w kopalni "Piast".

Spieraliśmy się, na ile błędy popełnione przez Związek zawążyły na powstałym kryzysie. W przekazywanych mi opiniach stawiano na równi kryzys gospodarczy i polityczny powstały wskutek kryzysu partii z błędami popełnionymi przez Związek. Nie mogłem przyjąć takiego stawiania sprawy, uważałem, że nie możemy przyjąć na siebie tak dużej części winy, choć przyznałem, że sporo członków "Solidarności" fantazjowało i nie miało świadomości bezpośredniej siły, jaką dysponowała władza. Nie było jasne od jakiej to wojny domowej miał ustrzec kraj generał Jaruzelski. Wszystko wskazywało na to, że pod parasolem stanu wojennego - dając do zrozumienia, że chodzi także o przemodelowanie partii - zmierzano do likwidacji "Solidarności", do likwidacji posierpniowych aspiracji społeczeństwa. I że zmierzano do tego najkrótszą drogą...

Najdalej idącą deklarację złożyłem w Nowy Rok na ręce księdza Orszulika. Ustalenia, które przekazywałem, miały być zreferowane Barcikowskiemu, a ten miał je przekazać Jaruzelskiemu. W deklaracji mówiłem: nie jestem samobójcą. Nie będę wchodził w głupie układy, nie zamierzam podburzać i organizować strajków, chcę pomóc w wyjściu ze stanu wojennego stopniowo, mając świadomość, że nie można bezkarnie społeczeństwa wsadzać z gorącego w zimne.. Proszę o wypuszczenie członków Komisji Krajowej i umożliwienie mi spotkania z nimi, nawet jeśli by to miało miejsce w warunkach odosobnienia. Chciałbym im przypomnieć to, przed czym ich już wcześniej ostrzegałem - że będę się domagał, aby niektórzy z nich zrezygnowali ze swoich funkcji, jeśli tego nie uczynią - odwołam się w tej sprawie do opinii robotników, środowisk, skąd wyszli. Musimy stanąć na realnym gruncie uświadamiając sobie co mamy i co możemy zrobić przy założeniu, że to co robimy nie jest "wyrzucaniem socjalizmu". Powtórzyłem znany zresztą z innych relacji władzom fakt, że w kadomiu użyłem ostrych sformułowań, ale było to z mojej strony posunięcie taktyczne, mające na celu umożliwienie mi kontrolowania sytuacji we władzach Związku, ulegających radykalizacji wskutek niezająłwienia rozmaitych spraw. Stwierdziłem jasno, że stan wojenny trwający nawet rok może być okresem, który da się wykorzystać na powolne, wspólnie wydyskutowane zmiany modelowe, a także uważam go za rozwiązanie lepsze od zewnętrznej interwencji, że sam miałem w Związku trudności z opanowaniem niektórych tendencji. W istniejącej sytuacji wszystko można naprawić. Pod warunkiem jednak, że zrobimy to sami, bez dyktatu.

Powiedziałem dużo.

W kilka dni później poprzez księdza Orszulika rozmaite myśli z naszych dyskusji wróciły do mnie w formie dokumentu "Pro Memoria" przekazanego przez władze kościelne Barcikowskiemu oraz "Tezy do rozmów" opracowanych przez grono ekspertów "Solidarności" pozostających na wolności i mających ścisłe kontakty z Episkopatem. Trzynastego stycznia Kościół miał otrzymać odpowiedź czy władze przystępują do rozmów. Gdyby odpowiedź była pozytywna, doradcy z pismem sygnowanym przeze mnie mieli dotrzeć do członków prezydium Komisji Krajowej i przygotować ich na realny grunt przed spotkaniem ze mną, które miało się odbyć w miejscowości Fiszor.

Na koniec zaproponowałem, aby strona rządowa przedstawiła własne tezy do porozumienia, do których moglibyśmy się ustosunkować i następnie utworzyć grupy robocze złożone z przedstawicieli

rządu i "Solidarności", które wypracują nową umowę społeczną.

W tym momencie przerywają się kontakty z księciem Orszulikiem władze aż do marca nie dopuszczają go do mnie. Kłopotem powodem tej izolacji ma być stanowisko hierarchii kościelnej odnośnie stanu wojennego. Oczywiście tym samym pośrednictwem kościoła w sprawie nawiązania rozmów z władzami upada. Władza jednym strzałem osiąga dwa cele...

W międzyczasie otrzymuję decyzję o internowaniu. Wszystko jest teraz jasne.

Siódmego marca ksiądz Orszulik po dłuższej przerwie dociera do mnie do Otwocka Wielkiego. W XVIII-wiecznym pałacu, w którym odbywa się spotkanie, podpisany był w roku 1795 ostatni rozbiór Polski. Tym się zapisał w historii. Tutaj też powiedziałem mojemu rozmówcy, że nadal wierzę w zwycięstwo "Solidarności". To idea zbyt wielka, by mogła przegrać. A jeśli by miała przegrać, to bez naszego udziału. W odpowiedzi na relację o tezach dotyczących nowych związków zawodowych przedłożonych przez stronę rządową, wyraziłem się, że jeśli rząd zamierza budować ogólnie związki zawodowe, niech ich przewodniczącym zostanie minister d/s związków - Ciosek. Wtedy sprawy przynajmniej będą jasne. W kłamstwie nie możemy brać udziału. I znowu następują dwa miesiące przerwy w kontaktach.

Decyzja rozwiązania "Solidarności" nie została podjęta od razu. Wszystko mogło być może jeszcze się jakoś ułożyć. Trzeba odczekać jeden dzień, tydzień, miesiąc.

Starałem się czerpać siłę w mojej pełnej żywotności rodzinie a także w sobie samym. Niczym "detektyw życia" - jak sam mawiałem o sobie - traktowałem nadchodzące wydarzenia jako zagadkę do rozwiązania.

Tymczasem wydarzenia odsuwały w przyszłość decyzje polityczne. W momencie gdy zelżał rygor stanu wojennego, w chwili, gdy motywacja propagandy wydawała się bliska załamania, następuje groźna powódź wiosenna. Wylewa Wisła. Tysiące ludzi i gospodarstw zostaje odciętych od światła, odbywa się akcja ewakuacyjna na szeroką skalę. Bierze w niej udział wojsko. Administratorzy stanu wojennego wykorzystują tę szansę na jakiś kontakt między wojskiem a społeczeństwem. Powódź powiększa konto strat: ludzkich, moralnych, materialnych.

Brak połączeń telefonicznych uniemożliwia interwencje lekarskie, ludzie buntowali się. Równocześnie trwały bijatyki uliczne, demonstracje. Sytuacja wydawała się bez wyjścia, pogarszała się, podjęcie decyzji ciągle odkładano na później. Kiedy powstały dziesiątki i setki pism i pisemek podziemnych, kiedy społeczeństwo ze swej strony uruchomiło i zaczęło doskonalić mechanizmy obronne, władzom wydało się, że nie mają odwrotu. To co miało do zrobienia, można było zrobić w krótkim czasie, w miesiąc do trzech, błyskawicznie. Potem było tylko coraz gorzej, wreszcie odwrót stał się niemożliwy. Teraz bali się, że ich zjemy.

Pod koniec pobytu w Otwocku przyjechał do mnie Ciosek, ale nie byłem w nastroju do rozmów, właściwie nie było o co się oprzeć. Byłem w złym humorze i mówię do niego tak: proszę pana, wie pan, tu już siedzę wystarczająco długo, zamek poznałem, nauczyłem się chodzić po wszystkich komnatach. Zamek w Warszawie macie odbudowany - no to raz! Pan jesteście mimo wszystko równy chłop, ministra panu nie dam, ale jakąś tam drobniejszą fuchę. To co, bierzemy tę Warszawę?

Minister uśmiechnął się tak jakoś przez zęby, że robię sobie żarty z niego, no i chyba w dwa dni potem przewieźli mnie...

Tuż przed wyjazdem, w poniedziałek, dziesiątego maja, przed południem przybył do Otwocka znany komentator telewizyjny,

redaktor Ambroziewicz z ekipą telewizyjną, proponując mi udział w dyskusji. Telewizja chciała przygotować program o związkach zawodowych w przeszłości i obecnie. Z przeszłości miał być pokazany Kruczek, Szydłak i inni. Z tego ustawienia mnie w całym ciągu, w całym "poczcie przywódców związkowych" wynikało, że "Solidarność" zakwalifikowano jako pamiętkę historyczną... Mimo tego odpowiedziałem, że owszem, godzę się na wystąpienie w TV pod warunkiem, że wystąpienie to będzie zapowiedziane na dwa dni przed nagraniem dyskusji, a po nagraniu będę miał prawo do dwuminutowego komentarza. Ambroziewicz nie zgłosił się więcej.

Jedenastego maja po wyjeździe żony spakowano moje rzeczy i przewieziono mnie na lotnisko wojskowe, skąd wystartowaliśmy helikopterem, lecąc wzdłuż Wisły i dalej na wschód. Nie wiedziałem dokładnie dokąd lecimy. Helikopter po drodze tankował, a z dalszej obserwacji wnioskowałem, że przelatujemy nad Przemysłem i że możemy znajdować się gdzieś w okolicy Ustrzyk Dolnych.

Tak też było - znalazłem się jako "gość rządu" w ośrodku rządowym, silnie strzeżonym przez wojsko. Gdyby front przeszedł, nikt by nas nie odnalazł. Gęste lasy, dróg nie ma, tylko leśne ścieżyny i trzy strefy ogrodzeń z drutów. Ośrodek rządowy, w którym się znalazłem służył do polowań, przyjęcia zagranicznych gości z żyłką myśliwską. Żałowałem tylko, że skończyło się łowienie ryb. Mieli za to czystą, wspaniałą wodę, tak że czas od śniadania, od godziny dziewiątej rano do południa - spędzałem w wannie z wodą, słuchając radia.

W trzy dni później, czternastego lub piętnastego maja złożył mi tu wizytę wysłannik sekretarza generalnego MOP w Genewie, pana Blancharda. Przybył z własnym tłumaczem, a towarzyszył mu dyrektor gabinetu ministra Cioska, Chochołak. Z toku tej rozmowy mogłem wywnioskować, jak tendycyjnie rząd operuje informacjami. Zwróciłem uwagę, że właśnie "Solidarność" jest za reformą gospodarczą, a władza nie może wszystkiego "brać za pask", bo nie poradzi. Tłumaczyłem, że Związek musi zostać niezależny i samorządny. I że ja sam nie chcę przejęcia władzy, jak to mi się zarzuca. Zwróciłem się do wysłannika Blancharda o przekazanie prośby o mediację między rządem a "Solidarnością", aby móc wyjść z impasu w którym się znaleźliśmy. Trzeba zmusić rząd, aby zaczął rozmawiać ze związkami zawodowymi. Choć jest to bardzo przykre - powiedziałem wtedy Chochołakowi - że Polak z Polakiem musi rozmawiać za pośrednictwem obcych. Omawialiśmy głównie strukturę organizacyjną Związku, chodziło tu o sprawę zbyt silnych, "upolitycznionych", jak twierdziły władze, regionów. Przypomniałem, że w Związku pierwotnie istniała koncepcja, aby zbliżone zawody tworzyły specjalizacje, że później dopiero wykształciła się koncepcja terytorialna, a więc do tych koncepcji pierwotnych możnaby powrócić. - Gdańsk mógłby grupować związkowców o specjalizacji stoczniowej, Śląsk - górniczej i hutniczej itp. Wszystkie łączyłyby się w Krajową Komisję. Jest to i teraz do rozważenia, ale nie mam prawa o tym decydować sam, o tym musi zadecydować Związek. Była także mowa o manifestacjach ulicznych. Powiedziałem, że jestem przeciwny tym metodom walki i akcjom ulicznym, nie chcę ich, ale czy pozostały ludziom inne formy protestu? /.../ Przez formalne upoważnienie Bogdana Cywińskiego do wystąpienia w MOP-ie, które mimo trzech kordonów wyszło jednak z dobrze pilnowanego Arianowa, skomplikowały się również moje kontakty z ministrem Cioskiem. Zrobił się z tego cały personalny ciąg konfliktów. Przeciwił kiedyś z Rakowskim też dobrze żyłem. Rakowski, który grał w rządzie rolę specjalisty od kontaktów ze mną, zaczął później atakować mnie na ślepo. Ale nie skarżę się na złośliwość drugiej strony. Reguły wyjawiano mi jasno, nawet

Jeśli wynikały potem już w wersji propagandowej sprawy nie fair, paskudne. Tam zresztą rozmawia się krótko: czy będę z nimi grał czy nie? Nie będę cytował nazwisk, bo ci ludzie nadal funkcjonują, niemniej mogę powiedzieć, że były propozycje... Musiałem odpowiedzieć krótko: czy będę grał czy nie. Ja mówię, no dobrze, ale o co? Proszę panów, ja naprawdę nie mam do was żadnych pretensji i nie wynika to z moich uraz do was - tylko, że wy nie macie szans. A ja stawiam jednak na szansę, na wygranie i na uczciwe wyjście, a wy naprawdę nie rozumiecie problemów...

Teoretycznie przez cały czas internowania, bo aż do października, mogłem skorzystać z przedstawionych mi ze strony rządowej propozycji. Kim byłbym dzisiaj... Trudno powiedzieć, ale te żarna szybko miały ludzi.

Czwartego października minister Ciosek przedstawił mi projekt ustawy o związkach zawodowych, oznaczający ostateczną likwidację "Solidarności" i propozycję udziału w jej pogrzebie w formie objęcia funkcji w PRON-ie, udziału w Radzie Konsultacyjnej d/s Związków Zawodowych lub objęcia eksponowanego stanowiska państwowego, nie sprecyzowanego do końca... Powiedziano mi, że przyjęcie którejkolwiek z tych propozycji jest równoznaczne z automatycznym zwolnieniem mnie z internowania.

- Klucz do wolności leży w pańskich rękach - usłyszałem.

Poczekam na zniesienie stanu wojennego, nie prosim się tutaj i nie będę prosił o zwolnienie, a PRON za dwa lata będzie tym czym przedtem był Front Jedności Narodu. Nowa ustawa o związkach zawodowych jest największym błędem władz. Wpędzi naród w marazm, odbierze ludziom resztki zapału i chęci do pracy, pozbawi motywacji, to klęska. Nie wezmę udziału w realizacji programów, które są klęską, wolę po zwolnieniu być na powrót elektrykiem stoczniowym, a gdy mi to uniemożliwicie, przyjąć posadę u księdza Jankowskiego - odpowiedziałem.

W sprawie ustawy o związkach zawodowych skierowałem protest: "7 październik 1982 r. Przewodniczący Rady Państwa prof. Henryk Jabłoński. Przewodniczący Zespołu d/s Ustawy o Związkach Zawodowych prof. Sylwester Zawadzki, Marszałek Sejmu PRL Stanisław Gucwa, Prymas Polski Arcybiskup Józef Glemp

#### P r o t e s t

Proszę o przedstawienie mojego protestu w/w osobom i posłom zbierającym się na plenarnym posiedzeniu Sejmu w dniach 8-9 października 1982 roku. Jako członek zespołu powołanego przez Radę Państwa stwierdzam, że zespół ten w drodze kompromisu opracował projekt ustawy. Propozycje nowego projektu ustawy o związkach zawodowych dostarczone mi przez ministra Cioska, projekt tamten całkowicie zmieniają i czynią go niemożliwym do przyjęcia i zaakceptowania. Projekt ten niszczy nadzieje wynikające z podpisanych porozumień społecznych z sierpnia '80. Jestem przekonany, że w perspektywie czasu doprowadzi to do jeszcze większych błędów i wypaczeń na drodze budowy socjalizmu w naszym kraju, wpłynie on także na dalszą demobilizację mas związkowych. Lech Wałęsa, 7.X.1982 r. godzina 10.00"

Oceniam, że byłem szanowany za jasne stawianie sprawy, z tym, że "oczywiście szkoda, że nie wchodzę". Jeden z generałów powiedział mi po takiej rozmowie: "będziemy walczyć". W imię czego, w imię nieprawdy? - spytałem. "Ale my musimy walczyć" - i powiedział mi o paszkwilach na mój temat, które były już wtedy przygotowane, a miały ujawnić się później. Ja go wyśmiałem, a on odpowiedział: "zobaczmy". Wiedziałem więc wcześniej, że będą coś kombinować.

Jednak każdy człowiek, to niepowtarzalna zagadka. Dlatego jestem zdania, że trzeba z ludźmi rozmawiać, że wtedy odsiania

się wiele motywacji, rzeczy zaczynają się tłumaczyć, wyjaśniać. Wielkim zaskoczeniem, jakie przeżyłem w rozmowie z pewnym generałem był fakt, że człowiek ten w trakcie coraz gorętszej, żywszej rozmowy z mną nagle odsłonił mi swoje najściabsze, bolące miejsce. Rozmawialiśmy o kwestii rzekomej chęci przejęcia władzy przez "Solidarność". Argumentował, że ta groźba była realna i zapytał: a co stałoby się wtedy z takimi ludźmi jak ja?

- Jak to - pozostałby pan generałem, jak teraz. Bo nie o przejęcie władzy chodzi, chodzi o kontrolę społeczną, wpływ...

- Nie wierzę - on na to - tacy jak ja zostaliby usunięci. A wie pan, kim byłem przed wstąpieniem do wojska? Byłem chłopakiem pasącym krowy, wiejskim chłopakiem...

I wtedy uświadomiłem sobie rzecz straszną - ci ludzie uwierzyli, że wszystko to, co zdobyli zawdzięczają nie sobie, swoim naturalnym zdolnościom, pracy, normalnym mechanizmom społecznym, że to wszystko nie jest ich - własne, ale nadane od władzy, z którą muszą odtąd być związani i jej służyć bez względu na własne zdanie.

Ujrzałem w oczach tego człowieka strach, że ktoś lub coś pozbawi go tego prawa noszenia munduru i władzy, jaką posiada, strach, że zmiana rzuci go z powrotem na wieś, której nienawidzi, której się boi, że cofnie się do punktu wyjścia... Tak rozumował polski generał. I tak myślało wielu ludzi z kręgu władzy. To jest rodzaj choroby...

I nikt z nich nawet nie pomyślał, że wychodzę może z jeszcze gorszej nędzy, z podobnych upokorzeń czy obaw, których się nie boję, ale szukam sensu w próbie modelowania własnego losu, nie zaś oddania się pod czyjąś kuratelę, kuratelę silniejszego, tego kto ma władzę. Bali się wolności, którą mogli mieć. Woleli pewną rękę trzymającą ich krótko i jasne, proste rozkazy.

Ja nigdy nie kierowałem się złośliwością, nie podchodziłem z kompleksem do jakichkolwiek rozmów, ale jednak utrzymywałem dystans, nie zamazywałem granicy pomiędzy nimi. A były takie zakusy. Po rozmowach z reguły następowała propozycja wspólnego obiadu, stwarzająca pozory, że wszystko między nami jest w porządku. Wtedy dziękowałem: nie, proszę pana, teraz ja sobie odpocznę, a zjem potem. Chyba tylko raz jedliśmy wspólnie obiad, z którymś z wojskowych wysokiej rangi.

W lipcu ksiądz Orszulik poinformował mnie o rozmowach prowadzonych w czasie jego pobytu między 10 a 17-tym w RFN. Podróż miała na celu wysondowanie zarówno w kołach kościelnych jak i politycznych czy możliwy byłby do zrealizowania mały "Plan Marshalla" dla polskiego rolnictwa indywidualnego i rzemiosła. Przedstawił genezę tej idei oraz przebieg rozmów w Gnieźnie przeprowadzonych między delegacją Niemieckiej Konferencji Biskupów i przedstawicielami Episkopatu Polski w dniu czwartego czerwca. Zarysował mi też wypracowany w Bonn szkic projektu tego planu. Opowiedział mi o rozmowach w EWG w Brukseli, o rozmowach z ambasadorem amerykańskim w Bonn i H.D. Genscherem. Poparłem ten projekt, dodając, że "Solidarność" chciała zrealizować podobny plan w porozumieniu z rządem. Uznając sprawę za bardzo interesującą i mogącą rokować na przyszłość - przekazałem księdzu Orszulikowi następujące oświadczenie:

"25 lipca 1982 roku. Niniejszym oświadczam, że w pełni popieram starania Episkopatu Polskiego wespół z Episkopatem RFN o uzyskanie pomocy od krajów zachodnich i USA i Kościołów tych krajów dla polskiego rolnictwa prywatnego, handlu i rzemiosła. W sprawie stosowania sankcji przez kraje zachodnie zachowuję stanowisko jak Episkopat Polski. Ponawiam swoje oświadczenie w sprawie rozmów z przedstawicielami rządu, podtrzymuję stanowisko

wcześniej na piśmie przekazane księdzu Orszulikowi, pragnę, by przy rozmowach był obecny przedstawiciel Kościoła jako świadek, że tok rozmów będzie niejednostronny i prawdziwy. Powyższe potwierdzam własnoręcznym podpisem L. Wałęsa."

Tak zaczęła się długa i burzliwa historia tzw. Kościelnej Fundacji Rolniczej prześlągana przez władze tak długo, aż inicjatywa ta wypaliła się nie przynosząc spodziewanych efektów. Miała być istotnym bodźcem dla indywidualnego rolnictwa, od którego zależy poziom wyżywienia narodu, miała pomóc w wyposażeniu wsi w maszyny, urządzenia rolnicze, dać impuls rozwojowy wielu inicjatywom. To na konto tej właśnie fundacji, uznając ważność jej celu, zadysponowałem przekazanie funduszu około dwustu tysięcy dolarów, przyznanych mi tytułem pokojowej nagrody Nobla.

Nie sądzę, by fundacji zaszkodziło to, że byłem obecny przy jej początkach i że wsparłem ją przekazaniem nagrody. Powodem niepowodzenia była niezgodność doktrynalna, był fakt, że fundacja mogła pomóc w uniezależnieniu się rolnictwa indywidualnego od sterowanej polityki państwa wobec wsi. Ale o tym mieliśmy przekonać się wszyscy później, także Kościół Polski, który gorąco pragnął w kryzysowej sytuacji, podjąć próbę konstruktywnego działania na rzecz poprawy sytuacji polskiego rolnictwa.

Tymczasem w Ariamowie trwał mój najdłuższy urlop. Zdarzało się czasem, że jadałem wspólnie obiady z tymi z obstawy, którzy zresztą wcześniej pytali mnie, czy nie będę obrażony ich towarzystwem. Nie rozmawialiśmy wiele, z początku trochę, potem w ogóle nie. Tylko zawsze się z nimi zamieniałem daniami: O, proszę pana, to danie, to pan zje, bo może mnie chcą otruć, to niech pana otrują. Zamieniałem talerze ciągle. Kuchnia była luksusowa. Stawiali masę dobrych rzeczy i patrzyli, co ja najbardziej lubię i wtedy podawali to tak długo aż znieubiłem... Wątróbka? To codziennie przez miesiąc była wątróbka, oprócz normalnego obfitego jedzenia. Podobnie z rybami, węgorzami. Poza posiłkami, lódówka zawsze była pełna. Był także szampan.

Z początku miałem też radio ze wszystkimi zakresami fal. Po jakimś czasie wymontowali mi wszystkie poza długimi. Ale że miałem trochę czasu i lubiłem się grzebać w tym - po przestrojeniu znowu łąpałem "Wolną". Ale co przestroiliłem, dzień posłuchałem - to podczas śniadania, na które schodziłem na dół - ktoś wymontowywał z powrotem. Albo zastawałem nowe radio. Aż wreszcie z rana przychodzi jeden z obstawy i mówi: proszę pana, to niemożliwe, żeby pan na długich falach łąpał zagraniczne stacje? Jak pan to robi? Prawdę mówiąc, sam nie wiedziałem, jak to się robi, za każdym razem inaczej było wszystko podłączone, podgigane w środku. Majstrowałem aż do skutku. Po pewnym czasie podczas odwiedzin przemyciono mi miniaturowe radio, które mam do tej pory. Odtąd służyłem programu na słuchawce, przeważnie leżąc w łóżku. Nie rozstawałem się z nim z obawy przed utratą. Tak, że nieraz, kiedy tym z obstawy psuł się telewizor w ich pomieszczeniu na dole i przychodzili do mnie pytając, czy mogą obejrzeć program u mnie - oni oglądali telewizję, a ja w łóżku służyłem radia na słuchawkach.

Służyłem też czasem przywiezionych potajemnie przez Danutę nagrań rozmaitych wydarzeń, takich jak np. przebiegu demonstracji pierwszomajowej w Gdańsku. Byłem wtedy zaskoczony ciągle żywą, spontaniczną i pełną poczucia wewnętrznej wolności reakcją ludzi, którzy nie dali się przynęcić stanowi wojennemu. Danuta w tym okresie praktycznie "niosła rodzinny sztandar". W radio słyszałem sporo jej wypowiedzi na różne tematy. Była jedną z tysięcy żon i matek prowadzących dom, opiekujących się rodziną pod nieobec-



ność męża zamkniętego w obozie dla internowanych, w więzieniu, areszcie śledczym. Zapadały pierwsze drekońskie wyroki... Dzieliła z nimi los, wypowiadała się w ich imieniu. Wspólna troska, jaką wtedy wyrażała - o rodzinę, o kraj - czyniła ją jakby nieetykalną dla władz stanu wojennego. W tym czasie urodziła dziecko - Marię Wiktorię i udzielała wywiadów, mówiła do całego świata, po swojemu interpretując wydarzenia. Spotykała się z przedstawicielami polskiego Kościoła, Stolicy Apostolskiej, a także z przedstawicielami ambasad i nieraz przychodziła mi do głowy myśl, że radzi sobie świetnie, że ja nie byłbym w stanie w tym czasie zrobić tego lepiej...

Myślę, że ktoś liczył na to, że warunki, jakie mi stworzono, rozmowy, kontakty, sugestie "czy gramy razem?" spowodują, że ja w to "wejdę". Moja odpowiedź była niezmienna - nie. Nie mogę, ze względu na to, że ja chciałem razem ze społeczeństwem i dla tego społeczeństwa. Jestem kimś i czymś, co musi pozostać nie oddany, nawet kosztem i krzywdą moją. Nie mogę ulec. Byłem zbyt bardzo szanowany. Prywatnie, może kiedyś kawę sobie wypijemy i porozmawiamy o przeszłości. Ale później, już bardziej kategorycznie powiedziałem: nie! Tu nie chodzi o mnie, chodzi o sprawę, o to, że nie można ludzi zawieść, ludzie muszą mieć żywą nadzieję, muszą wiedzieć, że ta gra była czysta, nie można zniszczyć podstawowych haseł i problemów. Sprawa Sierpnia musi pozostać czystą kartą.

O swoją pozycję w społeczeństwie nie bałem się dlatego, że wcześniej nie dopuściłem do podziałów w Związku. Więc tylko czekałem jak wyjść z tego wszystkiego ratując jedność Związku, co się przewalało nad naszymi głowami. Gdybym pozwolił na podziały w "Solidarności", w tym trudnym okresie pewnie ktoś by nie wytrzymał i rzucił się "zbawiać" Związek, poprzez stworzenie związkowej atrapy i rozpoczęcie polityki na własną rękę. Całe moje budowanie prezydium po Zjeździe "Solidarności" polegało na tym, żeby na ten nadchodzący etap nie było w nim nikogo, kto mógłby stworzyć frakcję. Ja - nie zdradzę. Mnie można zabić, ale nie pokonać. Gdybym miał w prezydium wielkie gwiazdy, ludzi z nazwiskami, którzy z nich mógłby podjąć krytykę moich posunięć, uzyskać pewną popularność i w oparciu o nią pociągnąć za sobą np. jedną trzecią ludzi z "Solidarności". Do tego nie dopuściłem, dowodem są rozmowy, które w czasie mojego internowania prowadzono ze wszystkimi liczącymi się, ale odpowiedź była jedna: tak, ale z Wałęsą. Tylko, że Wałęsa ma swoje warunki: to my sami, wewnętrznie, jako "Solidarność" rozliczymy tych, co do których przedstawi nam się dowody złego działania, zbytniej rozbudowy własnego poletka politycznego. Ale nie zgodzimy się nigdy poświęcić rytuałowi wyłączenia ludzi, czy środowisk...

Klimat był wtedy następujący: doszła mnie wiadomość, że TKK wzywa społeczeństwo do demonstracji zapowiedzianej na jedenastej listopada. Jestem przekonany, że to się nie powiedzie. Równocześnie następuje jakaś izolacja Arianowa: nie przyjeżdża oczekiwany przeze mnie ksiądz, nie zjawia się w umówionym terminie żona. Nie wiem, co się dzieje. Dochodzę do wniosku, że nie doszła informacja przekazana przeze mnie, że zdecydowałem się na rozpoczęcie głodówki. Równocześnie obserwuję dziwne poruszenie w mojej obstawie. Dochodzą do mnie strzępy rozmów bezpieki przestraszonej perspektywą zbliżającej się daty zapowiedzianej demonstracji. Wyrażają obawy o bezpieczeństwo swych rodzin, ton tego taki prywatny, ludzki: "cholera, jutro ta rozróżba. Ja tam żonę zostawiłem i nie wiem kto mi dzieciaka odbierze, będą szli tą trasą". Zorientowałem się, że jeśli zapowiedziane demonstracje nie udadzą się, mógłbym jakoś to niepowodzenie wziąć na siebie.

Myślałem też o innym aspekcie: doszły do mnie zapowiedzi o mojej -  
 liwości strzelaniny, na co nie mogę nie zareagować. Więc robię  
 klina - wychodzę z tym listem, starając się uprzedzić rozwój  
 wypadków. /chodzi o słynny list do Jaruzelskiego, podpisany:  
 kapral Wałęsa - przyp.red./. I tu mnie przebili, ja ze swoim  
 argumentem "przeleciałem przez liny". Oni ten list ogłosili póź-  
 niej, po zgaszniu demonstracji, kiedy nie mogli mieć planowanego  
 znaczenia. I w ten sposób pod koniec pobytu w Arianowie trochę  
 się wyłożyłem. Problem był z podpisaniem tego listu. Przekalkulo-  
 wałem krótko, bo jednak zwykle działam szybko, pod wpływem impu-  
 lsu: jeśli podpiszę "przewodniczący..." - to w ogóle go nie ogło-  
 szą, jeśli pominię "Solidarność" - ludzie powiedzą, że zdradziłem,  
 więc wymyślam - "kapral". Kapral, który proponuje, nie kapral,  
 który prosi. Kapral proponuje generałowi. Oczywiście, miałem na  
 uwadze grupy, które pomyślą - Wałęsa żartuje jak zwykle. Niech  
 i tak będzie - powiedziałem sobie...

#### Z rozdziału: PRYWATNA OSOBA.

Od dwóch dni moje wystąpienie na szesnastego grudnia było  
 znane; w jakimś sensie wypełniłem więc przyrzeczenie, że zawsze  
 co roku w tym dniu będę pod Pomnikiem. Nie zawsze fizycznie, ale  
 zawsze ze swoim stanowiskiem, z aktualną oceną tego co się będzie  
 działo, z zarysowaniem kierunku działań na przyszłość. Tak też  
 skonstruowaliśmy to grudniowe przemówienie, które nagrałem na  
 kasety magnetofonową. Było to pierwsze moje publiczne wystąpienie  
 po okresie internowania i miałem świadomość, że będzie wnikliwie  
 oceniane przez wszystkich. Oto ten tekst:

"Spotykamy się, tak jak obiecaliśmy, choć w innej sytuacji  
 niż to sobie wyobrażaliśmy. Znowu jesteśmy zranieni, znowu nie  
 osiągnęliśmy naszego celu.

I właśnie dlatego musimy oobie dzisiaj powiedzieć: nasza  
 robotnicza sprawa jest ciągle otwarta i nasze będzie zwycięstwo.

Co mam powiedzieć wam jako przewodniczący tego wielkiego  
 Związku, który formalnie nie istnieje?

Powiem to, co czuję: on istnieje w nas, istnieje nawet w tych  
 co się go zaparli. Wy to chyba też czujecie.

Nie zdołaliśmy zrealizować naszych idei w taki sposób, w jaki  
 zakładaliśmy. Jest to nasz dramat, że i tym razem nie zdołaliśmy  
 ukształtować życia w naszej Ojczyźnie na miarę naszych marzeń  
 i na miarę możliwości naszego narodu. Tylu ludzi doznało zawodu,  
 rozczarowania w tym przede wszystkim my - robotnicy, ale także  
 pokolenie młodzieży, które spodziewało się żyć w innych warunkach.  
 Może chcieliśmy osiągnąć to zbyt szybko?

Jednak nie traćmy nadziei. Wierzę, że posialiśmy ziarno,  
 które padło bardzo głęboko. Nie jesteśmy tymi samymi ludźmi, co  
 przed Sierpniem. Wiemy już, do czego dążyć, choć do zrealizowania  
 naszego dążenia potrzeba może więcej czasu i innych dróg.

Wielu ludzi oddało życie w obronie naszych ideałów, w obronie  
 idei "Solidarności" i jej dobrego imienia. Nie wolno nam o tym  
 zapomnieć. My, którzy żyjemy, jesteśmy odpowiedzialni przed tymi,  
 którzy zginęli w obronie naszej wspólnej sprawy. Musimy znaleźć  
 drogi, znaleźć sposoby, żeby osiągnąć to, o co nam chodzi.

Wiele nam zarzucają. To, co robimy, Historia osądzi. I osz-  
 czerstwa odrzuci.

Pozostaje pytanie, co robić teraz. Jak żyć po tym wszystkim,  
 co przeżyliśmy od Sierpnia do dziś? Wielu przychodzi do mnie i  
 pyta: co dalej? Co dalej ze sprawą, z ludźmi, z tymi, których  
 tu dzisiaj nie ma z nami, którzy tu nie mogli przyjść?

Najpierw odpowiem ogólnie: powinniśmy być wierni. Wierni idei od której wyszliśmy. Mówił o niej nasz wielki Polak, papież Jan Paweł II. Pamiętajcie, mówić do nas wszystkich, o potrzebie odnowy moralnej, zachowania wewnętrznej wolności, godności!

Jak to przełożyć na nasz program? Jak to zrobić?

Na to musimy sobie dopiero odpowiedzieć. Jest wielki kapitał ludzkich serc i umysłów. Jest wielka energia ludzka. Ona będzie szukać ujścia, znajdzie sobie drogi. Czy ja wam mam mówić, co można robić? Co jest prawdą? Wszyscy, którzy uczestniczyli w Sierpniu - uczestniczymy w tym nadal i musimy mieć tego świadomość. Powinniśmy zabiegać poprzez wszystkie dostępne nam drogi, w sposób publiczny, jawny, demokratyczny, o nasze związki zawodowe, związki twórcze i stowarzyszenia, z takimi poprawkami, które sami byśmy wprowadzili, z naszych doświadczeń.

Jako robotnik jestem za tym, żeby nie powiększać strat, a jednocześnie iść do przodu. Jeśli coś nie pasuje, jeśli trwa paraliż ludzi, paraliż naszego gospodarstwa, to naszą wspólną rzeczą jest dążyć do zmian.

W przeszłości wzięliśmy na siebie, jako Związek bardzo wiele spraw, to wszystko, co wniósł z sobą ruch społeczny, jaki obudziliśmy. Teraz przyszedł czas, żeby ten wielki społeczny ruch, żeby ta wielka rzeka, która wchłonęła w awój nurt wszystkie niezatławione sprawy wielu środowisk - rozdzieliła się na kilka nurtów i popłynęła naprzód spokojnie do celu.

Pierwszy nurt, to związki zawodowe, jakie wywalczyliśmy. W tej sprawie nadal opowiadam się za pluralizmem, ale równocześnie za powrotem do działalności wokółstatutowej, do obrony interesów świata pracy.

Drugi nurt to samorządne warsztaty pracy, oparte na logice ekonomicznej. To wielka sprawa, jak być prawdziwym gospodarzem, w domu, w fabryce, uniwersytecie, redakcji, spółdzielni, w dzielnicy, w mieście.

Nurt trzeci to niezależne związki i stowarzyszenia twórcze, gdzie powstaje wolna, ale mądra i odpowiedzialna myśl. Organizacja ludzi nauki, pióra, teatru, filmu. Od nich zależy, żeby nie dać zamknąć nam ust, nie dopuścić do sparaliżowania naszej odwagi. Żeby myśli ta służyła narodowi.

Czwarty nurt to niezależne organizacje, instytucje i zrzeszenia, w których może działać młodzież, by młode pokolenie mogło się wypowiedzieć własnym głosem. Nie wolno szczególnie młodych zmuszać do życia w kłamstwie, uczyć kręactwa i podwójnej twarzy dla kariery. Może od tego bardziej niż od czegokolwiek zależy los Polski.

Takie podzielenie kierunków działania zakłada oczywiście konieczność wyraźnego postawienia sprawy. Żaden z tych nurtów nie ruszy prawdziwo bez pozostałych. Żadnego z tych nurtów nie może zabraknąć, bo wtedy znów czekają nas błędy i wypaczenia. Jestem gotów służyć rzetelnemu porozumieniu w tym kierunku. Nasza sprawa nie jest wymierzona przeciw komukolwiek. Równocześnie nie obalamy władzy, akceptujemy realia polityczne, które wytworzył świat, które wytworzyła historia. Chcemy w tych warunkach służyć dobru naszej Ojczyzny.

Jestem wierny naszym ideałom, ideałom Sierpnia. Jestem wierny robotniczej i polskiej sprawie i jako Polak i jako robotnik.

Proszę Was, oczekujących spełnienia tych nadziei - wracajcie spokojnie do domów, przemyślcie to i w tych kierunkach pracujcie. Niech dziś nie dojdzie do powiększenia strat. I niech wszyscy pozostali wrócą do domów. Nie dajmy się zepchnąć z pokojowego dochodzenia do wyznaczonych sobie celów.

W dwa dni po konferencji /prasowej 20.IV.1983 r. - przyp. red./, której echa krajowe, mimo obecności telewizji i prasy wybrzeżowej były żadne - otrzymałem wreszcie wezwanie do stawienia się w stoczni do pracy. Tuż przed 1 Maja. Był to ten trzeci - i jak myślę - ostatni powrót do miejsca, gdzie właściwie wszystko się zaczęło...

Wracając na wydział MY, jako elektryk zakładowy z tzw. IX grupą zaszeregowania. Zostałem wmontowany w niewielki, ale ciekawy ze względu na skład zespół roboczy składający się z majstra, aktywisty nowych związków zawodowych, sekretarza oddziałowej organizacji partyjnej i jeszcze paru pracowników. Wróciłem, by naprawiać wózki akumulatorowe, o których mówiło się, że one "rozwoziły rewolucję" - w Grudniu '70, oraz służyły za mównice w czasie strajku w Sierpniu. Teraz przywożono mi zdezelowane egzemplarze tych wózków, z powyrywanymi przełącznikami, pozrywaną instalacją elektryczną, a ja miałem je naprawiać. Pracowałem w niewielkiej hali, faktycznie oseparyowany od stoczni, ale czujący ją z bliska. I pewnie - z wzajemnością.

W pierwszym dniu po pracy powrót do domu zabrał mi ze dwie godziny. Na placu przed bramą, pod Pomnikiem Stoczniovców musiałem ścisnąć tysiące rąk i podpisywać tysiące autografów. Szczerze cieszyłem się, czując, że powrotem do pracy wchodzi na realny grunt, a wszyscy przyjaciele upewniali mnie, że dobrze się stało.

Początkowo zachodziłem na stołówkę w czasie przerwy śniadaniowej, dosiadałi się ludzie, zawiązywały rozmowy, padały pytania. Wszędzie towarzyszyła mi obstawa, przysłuchująca się naszym spotkaniom. Ludzie biorący udział w rozmowach ze mną zaczęli mieć kłopoty. W krótkim czasie doszedłem do wniosku, że przedłużenie tych spotkań musiałoby do czegoś prowadzić - nie można niczego nie proponować w sytuacji, gdy wszyscy tego oczekują - z drugiej strony istniała stała czujność pilnujących... Nie mogło to skończyć się dobrze. Zdecydowałem, że aktywność publiczną będę prowadził jak dotąd na gruncie domowym, poza zakładem. Ograniczyłem wizyty w stołówce, od tej pory śniadanie jadłem na hali, SB przestała interesować się ludźmi, śledzieli na miejscu pilnując mnie. I tak się utarło - w stoczni rozmawialiśmy się bez słów i spotkań. Jeśli kiedyś stocznia miałaby odegrać ponownie historyczną rolę - ten kontakt, jaki mieliśmy pomiędzy sobą - byłby wystarczający. Dzięki podziemnej prasie, spotkaniom poza stocznia, zagranicznym rozgłośniom radiowym mój program, stanowisko, kolejne oświadczenia i wszystkie kroki, jakie czyniłem, były ogólnie znane.

Dzień pracy wydużył mi się znacznie. Wstawałem regularnie o piątą rano. Wraz ze mną zrywała się Danusia, przygotowująca mi zawsze solidne śniadanie. Brałem do teczki - jak wszyscy w stoczni - termos z kawą lub herbatą, parę kanapek i zbiegałem na dół. Przed wyjściem przyjeżdżał po mnie "dziadek" - pan Henio Muzał. Stawiał się skoro świt na swoim motocyklu. Stary "wilniuk" z zawodu marynarz - bosman, mój stały towarzysz od czasu Sierpnia. To piękna postać, przyjaciel, którego przyjaźni nie trzeba niczym opłacać, niczym okupywać. Był przy mnie zawsze - jak pogoda, jak powietrze, jak człowiek koło człowieka, nie związany żadnym interesem, kalkulacją, tylko tak jakoś organicznie, jak starszy opiekuńczy brat... Schodziliśmy na dół, gdzie zawsze oczekiwali w samochodzie ludzie z obstawy SB. Czasem przysypiali nad ranem, wtedy podchodziłem do ich samochodu, waliłem po dachu i wołałem - pobudka, do roboty! Z czasem wywiązywały się pomiędzy nami rozmaite dialogi, trwał jakby ciągły mecz, rozgrywka... Reguły tej wzajemnej koegzystencji nie były nigdzie spisane, a jednak była to rozgrywka, w której stawką był styl, w jakim wy-

grywam lub przegrywam - co było dla nich jakby obojętne...

Po pracy z reguły miałem umówione rozmaite spotkania, czasem na wpuł towarzyskie z ludźmi, którzy chcieli mi uścisnąć rękę, częściej jednak natury publicznej - rozmowy z dyplomatami, wywiady, kontakty związkowe - krajowe i zagraniczne, spotkania z doradcami, uzgodnienia. Gościłą, niezastąpioną w tym względzie służył mi ksiądz kanonik Henryk Jankowski, czasem gospodarz bazyliki Mariackiej w Gdańsku, ks.prałat Stanisław Bogdanowicz. Do domu wracałem rozmaicie - przeważnie około szesnastej i po krótkim odpoczynku zaczynała się druga tura urzędowania. Przyjęcia ludzi w domu, opracowywania strategii na najbliższe dni, przygotowanie oświadczeń, formułowanie stanowisk w każdej z istotnych publicznych spraw toczących się bez przerwy na najwzyszych obrotach...

Lech Wałęsa

# Amerykańska polityka, Europa, Polska

Rozmowa ze ZBIGNIEWEM BRZEZIŃSKIM

Redakcja "21": -Wiele wskazuje na to, że stosunki Wschód-Zachód znowu wkraczają w okres detente. Jakie widzi Pan szanse dla detente w latach 80-tych, jakie trudności i przeszkody?

Zbigniew Brzeziński: - W tej chwili zarówno Stany Zjednoczone jak Związek Radziecki skłaniają się do poszukiwania jakiegoś modus vivendi umożliwiającego przerwanie prowadzonej między nimi ostrej zimnej wojny. W przypadku ZSRR kryzys systemu stwarza potrzebę złagodzenia napięć, zwrócenia uwagi na reformy wewnętrzne w celu przydania całemu systemowi żywotności rozwojowej. W przypadku USA obecne problemy przywództwa odwracają uwagę od szerszych zagadnień strategicznych, które warunkowały i podsycały zimną wojnę. W rezultacie, stosunki międzynarodowe znajdują się obecnie w stanie, w którym prawdopodobnie staje się przerwanie ostrej rywalizacji między Ameryką i Rosją. Wątpię jednak, aby potrwało to przez dłuższy czas.

Przed wszystkim, dynamika sytuacji międzynarodowej, uwarunkowania międzynarodowe w takich rejonach świata jak Afganistan, Pakistan, Iran - a szerzej mówiąc w rejonie Zatoki Perskiej - są tak niestabilne, iż prawdopodobnie same przez się będą generować konflikty między USA i ZSRR. To samo dotyczy Ameryki Środkowej, gdzie sytuacja w dalszym ciągu będzie ogromnie niestabilna, co również najprawdopodobniej będzie powodować napięcia amerykańsko-sowieckie. O ile więc na krótką metę zdecydowanie jestem optymistą, co do możliwości osiągnięcia w najbliższym czasie jakiegoś amerykańsko-sowieckiego modus vivendi, o tyle bardzo wątpię, aby tym samym zakończyło się współzawodnictwo między obu supermocarstwami, które ma charakter zasadniczy.

Redakcja: - Jakie są w tej sytuacji priorytety polityki amerykańskiej?

Zbigniew Brzeziński: - Bardzo trudno definiować politykę amerykańską w kategoriach realnych priorytetów, ponieważ nie czynią tego na własny użytek nawet twórcy tej polityki. Polityka amerykańska ma tendencje do doraźności, do ogromnego pragmatyzmu, który nie opiera się na szerokim programie strategicznym. Moim zdaniem amerykańskie priorytety powinny przede wszystkim polegać na utrzymaniu równowagi strategicznej oraz na dążeniu do stopniowej zmiany sytuacji w Europie, gdzie obiektywne okoliczności stwarzają możliwość poprawy stosunków między Europą Wschodnią i Zachodnią. Po trzecie zaś, musimy zapewnić, iż ZSRR nie dotrze do Zatoki Perskiej i nie zdoła uzyskać w tym rejonie pozycji dominującej pod względem strategicznym.

Redakcja: - Czy zatem przewiduje Pan, że sytuacja w Europie, zamrożona w wyniku Układu Jałtańskiego, może ulec pewnej modyfikacji?

Zbigniew Brzeziński: - Tak właśnie myślę. Wydaje mi się, że przewyższenie spuścizny Jałty nie będzie sprawą formalnych ustaleń świadomie prowadzących do stworzenia nowej sytuacji, lecz raczej polegać będzie na przystosowaniu się Moskwy do procesu stopniowych zmian; procesu, który obiektywnie osłabia dominację sowiecką i stopniowo przeobrazi jałtańską zasadę podziału Europy w znacznie ściślejsze związki między Europą Wschodnią i Zachodnią. Uważam, że bardzo prawdopodobne jest narastanie stopniowego, ewolucyjnego procesu w Europie Wschodniej, który za jakiś czas przezwycięży dziedzictwo Jałty.

Redakcja: - Tym niemniej z opisu wyzwań stojących obecnie przed Stanami Zjednoczonymi - o których wielokrotnie Pan pisał i mówił - wynikałoby, że Europa zeszyła na drugi plan w amerykańskiej polityce zagranicznej. Czy tak rzeczywiście jest?

Zbigniew Brzeziński: - Tylko częściowo. Dla Stanów Zjednoczonych Europa Zachodnia w dalszym ciągu ma zasadnicze znaczenie geostrategiczne, a ściślej z nią związki są podstawowym elementem amerykańskiej polityki zagranicznej. Muszę jednak stwierdzić, że zdecydowanie zmniejszyło się aktywne zainteresowanie Ameryki Europą Wschodnią. Nie przeczy to jednak temu, co powiedziałem poprzednio. Perspektywy dla konstruktywnej zmiany w stosunkach Wschód-Zachód na terenie Europy mogą być pod pewnym względem lepsze, jeśli USA i ZSRR nie będą bezpośrednio współzawodniczyć w zdobyciu kontroli nad Europą. Jeśli powstanie wrażenie, iż ze strony USA nastąpiło pewne zmniejszenie zaangażowania politycznego w przyszłość Europy Wschodniej, dialektycznie może to sprzyjać stopniowemu, ściślejszemu wiązaniu się Europy Wschodniej z Zachodnią bardziej, niż gdyby zagadnienie to zostało postawione wprost i w sposób, który mógłby być odebrany jako zagrożenie dla bezpieczeństwa ZSRR.

Redakcja: - Czy w tej sytuacji dążenia polskiego społeczeństwa do podmiotowości, demokracji i niepodległości nie bardzo mogą liczyć na poparcie Zachodu, czy też wpisane są w kontekst sytuacji międzynarodowej?

Zbigniew Brzeziński: - Muszę tu podkreślić sprawę podstawową: Ameryka nie wyzwoli Polski. Ameryka może pośrednio pomagać Polakom w emancypacji. Ameryka może to czynić sprawiając, iż Zachodnia Europa pozostanie niepodległa i atrakcyjna. Ameryka może to czynić trzymając w szachu sowiecką potęgę militarną, tak jak pośrednio uczyniła to w grudniu 1980 roku, gdy ZSRR zamierzał interweniować w Polsce. Ameryka może to czynić stwarzając sprzyjający klimat dla naprawy polskiej gospodarki, pomagając Polsce w ten sposób odzyskać przynajmniej jakąś część siły wewnętrznej. Natomiast proces odzyskiwania przez Polskę prawdziwej tożsamości, podmiotowości i wreszcie niepodległości powinien być prowadzony przez samych Polaków i przebiegać w sposób powściągliwy na przestrzeni dłuższego czasu. Polacy zdołają to zrobić jedynie wówczas, gdy stworzą w Polsce warunki, które wzmocnią społeczeństwo, ożywią gospodarkę i spowodują zmniejszenie nacisku systemu politycznego - częściowo przez zwiększenie zakresu społecznego uczestnictwa w tym systemie. Dlatego właśnie pojednanie narodowe, dialog, uczestnictwo nawet w niedoskonałych instytucjach politycznych, stanowią sposób na stopniowe osiągnięcie tego, co nazywa się emancypacją.

Redakcja: - W polskim wydaniu książki "Power and Principle" /"Siła i zasada"/ dużo pisze Pan o sytuacji w Polsce i o sposobach przeciwdziałania sowieckiej interwencji w grudniu 1980 roku. Skoro rząd amerykański wtedy potrafił działać tak skutecznie, dlaczego nie było to możliwe w przypadku zagrożenia przez stan wojenny?

Zbigniew Brzeziński: - Wprowadzenie stanu wojennego nastąpiło, gdy nie zajmowałem już stanowiska w Białym Domu, mogę więc wypowiadać się na ten temat jedynie jako obserwator z zewnątrz. Uważam, że istnieje podstawowa różnica między przeciwstawianiem się sowieckiej inwazji, co staraliśmy się czynić z wyrażonym skutkiem w grudniu 1980 roku, a zapobieganiem wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce przez krajowe władze komunistyczne. W tym drugim przypadku, gdyby tego rodzaju próba nacisku nie powiodła się z powodu zaostrożenia konfliktu między społeczeństwem a reżimem, jest bardzo prawdopodobne, niezwykle prawdopodobne, iż w rezultacie Związek Sowiecki interweniowałby bezpośrednio. Nie jestem pewny, czy z punktu widzenia amerykańskiej polityki zagranicznej interwencja taka byłaby pożądana, jestem przy tym całkowicie przekonany, iż dla Polski byłoby to tragiczne nieszcześnie. W tym znaczeniu stan wojenny był mniejszym złem. Z chwilą, gdy stało się oczywiste, iż osiągnięcie jakiegoś porozumienia lub kompromisu przestało być możliwe, stan wojenny stanowił mniejsze zło niż inwazja sowiecka. Co więcej, patrząc teraz, z perspektywy sześciu lat, wydaje mi się, iż reżim stanu wojennego uzyskał sukces taktyczny, natomiast społeczeństwo wygrało pod względem strategicznym, ponieważ nie został złamany duch narodu, który ożywiła Solidarność. Opozycja polityczna w Polsce stała się namacalnym faktem i wszyscy zainteresowani w coraz większym stopniu zdają sobie sprawę, iż poprawę sytuacji gospodarczej i społecznej w Polsce można osiągnąć tylko poprzez wprowadzenie jakiejś formy pluralizmu. Oznacza to strategiczny sukces ludzi związanych z Solidarnością. Oznacza to również, iż Polska może być podmiotem stopniowych zmian w istniejącym kontekście geopolitycznym. A jest to podstawowy warunek sukcesu. Ów kontekst geopolityczny w najbliższym okresie nie może zostać ani rozbity ani wyeliminowany. Dlatego też cała gra polega na promowaniu ewolucyjnych zmian w obrębie tego kontekstu. Zmiana wyrażająca się w sposób gwałtowny i dramatyczny i pociągająca za sobą formalną zmianę całego systemu politycznego, zostanie uznana przez Związek Sowiecki za zmianę, której trzeba bezpośrednio się przeciwstawić korzystając właśnie z owego kontekstu geopolitycznego.

Redakcja: - W Stanach Zjednoczonych słyszy się czasem opinię, iż Solidarność, poniosłszy klęskę jako struktura związkowa, praktycznie przestała się liczyć w politycznej grze i wobec tego wartoby zdobyć się na jakiś nowy pomysł polityczny. Czy potwierdza Pan ten pogląd, czy uznaje go Pan za przedwczesny, nieostrożny?

Zbigniew Brzeziński: - Doprawdy nie sędzę, iż powinienem się na ten temat wypowiadać. Oceny w tej niesłychanie ważnej i skomplikowanej sprawie mogą być robione tylko przez ludzi znajdujących się na miejscu. Nie wydaje mi się, aby moje poglądy w sprawie tak delikatnej mogły być pomocne lub konstruktywne. Bardzo wysoko oceniam fakt, iż polska opozycja, która wyzwoliła proces odnowy społecznej, w ciągu ostatnich 15 lat działała z ogromną wyobraźnią i elastycznością. Tego rodzaju połączenie wyobraźni i elastyczności jest niewątpliwie ogromnie potrzebne. Doprawdy, nie potrafię jednak powiedzieć, czy powinno to pro-



wadzić do jakichś nowych form, czy do odrodzenia dotychczasowych.

Redakcja: - Jakie są, Pańskim zdaniem, perspektywy konstruowania amerykańskiej polityki zagranicznej w przypadku zwycięstwa demokratycznego bądź republikańskiego kandydata w wyborach prezydenckich 1988 roku? W jakim więc stopniu amerykańska polityka zagraniczna zachowa ciągłość, o co zabiegał Pan kierując za czasów prezydenta Cartera Radą do spraw Bezpieczeństwa?

Zbigniew Brzeziński: - Przede wszystkim należy, jak sądzę, podkreślić, iż pomimo dramatycznych często zmian w amerykańskiej polityce zagranicznej pod względem personalnym lub w retoryce, zawsze istniał jakiś podstawowy element ciągłości w tym, do czego dążą Stany Zjednoczone, zwłaszcza jeśli idzie o Europę i stosunki ze Związkiem Sowieckim. Naszym celem jest stworzenie warunków, w których zewnętrzne zagrożenie ze strony Związku Sowieckiego i wewnętrzny reżim totalitarny - zwłaszcza ten, który został narzucony przez Rosję krajom Europy Wschodniej - stopniowo wejdą w proces zmian, który doprowadzi do większego pluralizmu obejmując również stosunki wewnętrzne i zagraniczne. Polityka prezydenta Reagana jest w wielu sprawach znacznie ostrzejsza pod względem retorycznym /od polityki Cartera - przyp. red./, ale nie zmienia zasadniczych elementów w polityce amerykańskiej. Jeśli więc idzie zwłaszcza o Europę Wschodnią, sądzę, iż nie ulega wątpliwości, że obecna administracja kontynuuje politykę swych poprzedników, a jej celem jest stworzenie w Europie Wschodniej systemów politycznych zgodnych z historycznymi i kulturowymi tradycjami swych narodów, kontynuuje więc politykę, która dąży w rezultacie do powstania bardziej autonomicznej i większej Europy, która nie jest zależna od Stanów Zjednoczonych, ani od Związku Sowieckiego, przynajmniej w takim stopniu, w jakim obie części Europy są zależne od 1945 roku. Takie są historyczne i strategiczne kierunki amerykańskiej polityki zagranicznej. Nie sądzę, aby ulegały one zmianie i nie przypuszczam, aby zostały zmienione w przyszłości. Polityka ta dąży do stopniowego osiągnięcia celu, który, jak sądzę, jest całkowicie zgodny z głęboko odczuwaną potrzebą i ogromnie autentycznymi aspiracjami narodów Europy Wschodniej, zwłaszcza narodu polskiego.

Redakcja: - W tym, co Pan powiedział znowu zabrzmiały nuty optymizmu. Natomiast w Pańskich analizach przeważa sceptycyzm i świadomość już istniejących i potencjalnych zagrożeń. Z drugiej strony wielokrotnie podkreślał Pan, iż jest zwolennikiem historycznego optymizmu. Czy mógłby Pan przypomnieć jego przesłanki?

Zbigniew Brzeziński: - Na ten temat chciałbym zrobić dwie uwagi. Po pierwsze: historyczny optymizm jest niezbędny każdemu, kto jest nie tylko obserwatorem, ale również współtwórcą polityki. W ten czy inny sposób zawsze byłem zaangażowany w tworzenie polityki, a jeżeli uczestniczy się w tym bezpośrednio, musi się być motywowanym przez mocne poczucie optymizmu. Gdyby jakimś działaniom w tej dziedzinie towarzyszył historyczny pesymizm, byłoby bardziej prawdopodobne, iż pesymizm taki stałby się samo-spełniającą się przepowiednią. Po drugie: zapominając na chwilę o optymizmie motywowanym względami politycznymi, pragnę jeszcze raz powtórzyć, iż obiektywna analiza pozwala dojść do stosunkowo optymistycznych wniosków w sprawie perspektyw tego doniosłego pod względem historycznym współzawodnictwa między Wschodem i Zachodem. Uważam, iż obecnie dla wszystkich stało się oczywiste, iż system komunistyczny, zwłaszcza w formach jakie przybrał w zsovietyzowanej wersji w krajach Europy Wschodniej, jest pod

względem historycznym anachroniczny, pod względem politycznym przestarzały, pod względem ekonomicznym niewydajny. W rezultacie Związek Sowiecki w tym historycznym współzawodnictwie ze Stanami Zjednoczonymi nie tylko przegrywa we wszystkich dziedzinach z wyjątkiem militarnej, ale zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że przegrywa. Dlatego właśnie nawet w Związku Sowieckim widać znaczny nacisk na reformy. Jakkolwiek, odwrotnie niż w krajach Europy Wschodniej, nacisk ten idzie przede wszystkim od góry, podczas gdy w Europie Wschodniej, zwłaszcza w Polsce, wywierany jest od dołu. Jednak uznanie potrzeby reform w Związku Sowieckim samo w sobie jest przyznaniem jak bardzo system sowiecki stał się hamulcem dla postępu społecznego.

Jestem absolutnie przekonany, iż w miarę upływu czasu systemy wschodnio-europejskie, a zwłaszcza system panujący w Polsce, w związku z odmiennym uwarunkowaniem historycznym i kulturowym, ulegną zmianom znacznie szybszym niż system w samym Związku Sowieckim. Wszystko to zatem sprawia, iż jestem optymistą nie tylko co do szerszego współzawodnictwa na arenie międzynarodowej, ale również co do perspektyw stojących przed takimi krajami jak Polska, wobec której, ze względów oczywistych, żywię specjalne uczucia.

Kedakcja: - Bardzo dziękujemy za rozmowę.

maj 1987

# Nowa formuła odprężenia?

Rozmowa z JANEM NOWAKIEM-JEZIORAŃSKIM

Redakcja "21": - Jaka Pańskim zdaniem powinna być amerykańska polityka wobec Polski?

Jan Nowak: - Stany Zjednoczone powinny stosować te środki, które znajdują się w ich arsenale politycznym dla popierania ewolucyjnych procesów w Polsce i w całej orbicie sowieckiej w kierunku zwiększenia marginesu wolności. Polityka ta powinna być, i jest zresztą, dwutorowa. Znaczy to, że w stosunkach bilateralnych na szczeblu rządowym powinny być wykorzystywane środki dyplomatyczne i gospodarcze jako sposób nacisku. Takim środkiem były sankcje, a mogą nim być również kredyty obwarowane rygorystycznymi warunkami. Równocześnie musi być utrzymywany kontakt z samym społeczeństwem przy pomocy takich instrumentów jak radiostacje, wymiana kulturalna, wszystko, co przyczynia się do tego, żeby polskie okna wychodzące na Zachód były szeroko otwarte. Polityka amerykańska powinna dalej rozwijać się tymi dwoma torami.

Stany Zjednoczone prowadzą politykę zróżnicowania od 1956 roku. Polega ona na stosowaniu metody marchewki i bata, "nagradzania" krajów wykazujących tendencje do demokratyzacji, albo do większej emancypacji w stosunku do Moskwy. W tym drugim wypadku przykładem jest Rumunia. Jeśli idzie o Polskę, USA obdarzały ją pewnymi przywilejami do grudnia 1981 roku. A stosunkowo niedawno przyznały klauzulę największego uprzywilejowania Węgrom.

W moim przekonaniu najskuteczniejszym elementem oddziaływania polityki amerykańskiej są radiostacje, zarówno Głos Ameryki jak i Wolna Europa, przede wszystkim - Wolna Europa. Zagłuszanie WE, w tej skali jak obecnie, uniemożliwia równoczesne zagłuszanie Głosu Ameryki i BEC. Gdyby dzisiaj WE zamilkła, niewątpliwie wszystkie te zagłuszarki skierowałyby się przeciwko tamtym radiostacjom i Polska byłaby odcięta od codziennego dopływu informacji.

Oczywiście można wiele zrobić, aby polityka amerykańska w tych sprawach uległa wzmocnieniu. Na przykład radiostacje potrzebują modernizacji anten właśnie do pokonania zagłuszania i dotarcia w głąb Kosji, co z polskiego punktu widzenia również jest niezmiernie ważne. Bo możliwości demokratyzacji w Polsce są ściśle związane z sytuacją wewnętrzną w samym Związku Sowieckim.

Redakcja: - Jak ocenia Pan dyferencyjne działanie amerykańskie w okresie od 1956 roku do końca lat 70-tych? Wydaje się, że polityka amerykańska była pod tym względem dość niefrasobliwa i ten sposób oddziaływania nie bardzo się sprawdził. Sposoby wykorzystania pomocy kredytowej przez PRL w latach 70-tych są znane. Ten właśnie problem spowodował wielkie spory wokół zniesienia

sankcji. Obok opinii skrajnych: "znieść sankcje" i "nie znosić sankcji" istniał pogląd, który, zdaje się, przeważał: znieść sankcje, ale nie czynić tego w sposób bezwarunkowy; czyli nie wracać do sytuacji sprzed 1980 roku.

Jan Nowak: - Istotną metodą politycznego działania powinny być kredyty uzależnione od takich warunków, które miałyby wpływ na sytuację wewnętrzną danego kraju.

Trzeba jednak powiedzieć, że gdyby nie było tego napływu kredytów w latach 70-tych, to KOR i organizacje, które powstały po 1976 roku z pewnością zostałyby w sposób bezwzględny zlikwidowane. Kredyty dość skutecznie hamowały represje, co sprzyjało utworzeniu drogi powstania Solidarności. Gierk bał się stosowania represji na szerszą skalę, kiedy administracja Cartera, w dużym stopniu dzięki Brzezińskiemu, postawiła na porządku dziennym zagadnienie poszanowania praw człowieka. Dzięki temu w Polsce istniała ze strony władz pewnego rodzaju "gniewna tolerancja" w stosunku do działalności opozycyjnej.

A co do sankcji - Kongres Polonii, działacze, wśród nich również i ja, jako doradca rządowy, kategorycznie domagaliśmy się zastosowania sankcji po wprowadzeniu stanu wojennego nie tylko jako sposobu wyrażenia solidarności z Solidarnością i społeczeństwem, ale także jako środka nacisku zastosowanego w taki sposób, aby znoszenie tych sankcji było uzależnione od pewnych konkretnych ustępstw. I sankcje były znoszone stopniowo, zależnie od ustępstw drugiej strony. Nie byłoby kolejnych amnestii, gdyby Amerykanie nie postawili tej sprawy w sposób bardzo wyraźny: nie ustąpimy, dopóki nie wypuscicie ludzi. Był to bardzo jasno postawiony warunek już przed pierwszą dużą amnestią, kiedy wypuszczeni zostali internowani i większość uwięzionych. Ponieważ w Polsce po uchyleniu stanu wojennego wprowadzono nowe drakońskie ustawodawstwo, uchylenie sankcji było bardzo ograniczone i sprowadzało się do pewnych symbolicznych gestów. Później, kiedy przy następnej amnestii wypuszczono ponad trzystu ludzi, Amerykanie powiedzieli: dopóki nie wypuscicie "Jedenastki", dalsze sankcje nie zostaną zniesione. Władze PRL operowały się temu, próbowały uzależnić zwolnienie czołowych jedenastu działaczy Solidarności od podpisania przez nich jakichś zobowiązań. Amerykanie jednak nie ustąpili. Po zwolnieniu "Jedenastki" Amerykanie naciskali dalej: wycofamy veto, ale dopiero po zwolnieniu Lisa i Mierzejewskiego. Powiedzenie więc, że sankcje znoszone były bezwarunkowo jest po prostu historycznie nieścisłe. Nie zawsze nacisk ten miał charakter dialogu dyplomatycznego. Wrześniowa amnestia 1986 nie była "uzgadniana" z Amerykanami. A jednak wypuszczono ludzi na wolność, m.in. po to, żeby doprowadzić do zniesienia pozostałych sankcji.

Niewątpliwie polityka amerykańska, a także francuska, włoska i brytyjska doprowadziła do obecnego stanu rzeczy, który w jakimś stopniu zbliżony jest do tego, co było przed 1980 rokiem. W kraju władza ponownie traktuje opozycję z "gniewną tolerancją", nie zamyka się teraz ludzi na wiele lat w więzieniu.

Oglądałem różne fazy polityki amerykańskiej wobec Polski i Europy Wschodniej i do niektórych odnosiłem się bardzo krytycznie. Natomiast w ostatnim okresie polityka ta, moim zdaniem, była trafna. Z tym, że zawsze będzie miała charakter pomocniczy. Losy Polski zdecydują się przecież w Polsce, a nie poza Polską.

Oczywiście, zależy to również od pewnych wydarzeń zewnętrznych. Jeżeli dojdzie do jakiegoś kryzysu w Rosji, to napewno swoboda manewru społeczeństwa polskiego się rozszerzy. I chociaż Stany Zjednoczone nie zawsze robią wszystko co należy, ostatnio

robią znacznie więcej niż nigdy, w dużej mierze dzięki uaktywnieniu się Kongresu Polonii Amerykańskiej i dzięki temu, że w USA nastąpiły po sobie kolejne dwie przyjazne wobec Polski administracje - Cartera, w której działał Zbigniew Brzeziński, a obecnie Reagana, która jest bardzo otwarta na Polaków.

Uważam więc, że zniesienie pozostałych sankcji było słuszne przede wszystkim dlatego, iż te, które pozostały, nie miały już większego znaczenia i służyły rządowi PRL do przerzucania na USA odpowiedzialności za pogarszającą się sytuacją gospodarczą. Myśmy wiedzieli, że dojdzie do kolejnej podwyżki cen, że będą próby zamrożenia płac, że nastąpi dalsze pogorszenie warunków bytowych i w tej sytuacji należało odebrać rządowi alibi amerykańskie. Z drugiej strony chodziło o zmianę środków nacisku. W tej chwili najskuteczniejszym środkiem nacisku są warunki związane z możliwością kredytów z dwóch instytucji, które pozostały dziś jedynym właściwie źródłem pomocy gospodarczej - z Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. I w tym kierunku usiłujemy działać, odrzucając dwie skrajności, które są szkodliwe: kredytowanie bez warunków i całkowita blokada kredytowa, która byłaby dla społeczeństwa polskiego katastrofalna. Doprowadziłaby bowiem do takiego uzależnienia od Rosji i takiej izolacji od Zachodu, że Polska do reszty zostałaby pozbawiona nawet tej marginalnej niezależności gospodarczej jaka dotychczas istniała.

Redakcja: - No dobrze, a co działałoby się z owymi warunkami pomocy gospodarczej dla Polski, gdyby, powiedzmy za pół roku, zaczęły się w kraju znowu liczne aresztowania?

Jan Nowak: - Wszystko zależy od tego, czy rząd PRL będzie w sytuacji, w której nie będzie miał nic do stracenia, ani nic do zyskania w stosunkach z Zachodem i USA. Jeśli taka sytuacja powstanie, to ani Europa Zachodnia, ani USA nie będą miały najmniejszego wpływu na to, co nastąpi w Polsce. Natomiast jeśli ten rząd będzie wiedział, iż może utracić szansę pomocy gospodarczej, myślę, że wpływ tej pomocy może być łagodzący, hamujący represje. Osobiście zresztą nie widzę możliwości takiego znacznego zaostrzenia w najbliższej przyszłości, bo nowa polityka Gorbaczowa stwarza pewien klimat i, jak przypuszczam, Gorbaczowowi nie zależy na tym, żeby w Polsce doszło do konfrontacji, która pokrzyżowałaby mu globalną strategię. Gorbaczowowi zależy na pewnym odprężeniu, bo spodziewa się, że na tej drodze zyska więcej niż na zaostrzeniu i dlatego pozwolił Jaruzelskiemu na zlikwidowanie betonu, który reprezentowali: Olszowski, Grabski, Kociołek, Molczyk w armii. To była przecież grupa agenturalna, niejako ręcznie sterowana z Moskwy, która parła do tego, żeby na sowieckich bagnach dojść do władzy. Niewątpliwie grupa ta stanowiła również narzędzie nacisku na tych, którzy znajdowali się u władzy. Jak wynika z wywiadu p. Kuklińskiego, nacisk ten zastosowany został w niezwykle brutalnej formie w momencie, kiedy Sowietom zależało na szybkim doprowadzeniu do konfrontacji. Twardogłowi wtedy powiedali, że "dziesięć tysięcy trupów zapewni nam dziesięć lat spokoju".

Redakcja: - Mamy tu chyba do czynienia po prostu z inną taktyką...

Jan Nowak: - Oczywiście. Jaruzelski jest lepszą alternatywą tylko w jednym znaczeniu - jest pragmatycznym wojskowym, który myśli w kategoriach stosunku sił i uważa, że stosunek sił wewnętrznych jest taki, iż nie pozwala na krwawe zlikwidowanie opozycji bez pomocy z zewnątrz. Jaruzelski zdaje sobie przy tym

tym sprawę, że taka pomoc z zewnątrz prawdopodobnie oznaczałaby dla niego utratę władzy. Z jego punktu widzenia konfrontacja byłaby całkowicie nieopłacalna.

Redakcja: - Należy Pan do ludzi na emigracji najlepiej zorientowanych w polskich sprawach na przestrzeni wielu lat. Jaki jest, Pana zdaniem, obecny obraz polskiego społeczeństwa?

Jan Nowak: - Na pewno trochę inny niż oglądany przez ludzi będących na miejscu. Z perspektywy Waszyngtonu Polska robi duże wrażenie. Jest to przecież jedyny kraj w orbicie sowieckiej, który bez przelewu krwi, bez jakiegos gwałtownego starcia, zdołał ocalić i utrzymać znaczny margines wolności lub znaczne odchylenie od sowieckiego modelu. Nigdzie indziej partia komunistyczna nie jest tak ograniczona przez niezależne instytucje jak w Polsce. Tylko w Polsce chłop uniemożliwił kolektywizację i zachował swoje gospodarstwo. Tylko w Polsce inteligencja wywalczyła sobie tak szeroki zakres swobody wypowiedzi. Nie mówiąc już o tym, że istnieje "drugi obieg", ten drugi nurt, którego żadne represje nie zdołały przez 5 lat wypłenić. W bloku sowieckim Polska jest oazą, pokazuje swoim przykładem, że można bronić swojej tożsamości, swojej, przynajmniej wewnętrznej, duchowej wolności bez uciekania się do powstań, ale także bez kapitulacji. Sam fakt, że zarówno Solidarność sensu stricto, to znaczy struktury Związku, jak i Solidarność w znaczeniu bardzo szerokim, jako zróżnicowany ruch społeczny, przetrwała 5 lat represji policyjnych, nie ma precedensu. Oczywiście, że opozycja stanowi mniejszość, bo w każdym społeczeństwie ludzie skłonni do ryzykowania swego dobrobytu, swojej pracy, wolności osobistej, znajdują się w mniejszości. Zawsze większość chce po prostu przetrwać. Tkwi to w naturze ludzkiej. Powiedziałbym więc, że teraz w Polsce ta mniejszość jest imponująco wielka, z czego ludzie w kraju nie zawsze sami zdają sobie sprawę.

Z punktu widzenia obserwatora zagranicznego Polska budzi nieproporcjonalnie duże zainteresowanie w stosunku do swojego potencjału ekonomicznego, wojskowego, terytorialnego. Właśnie dzięki "tym innym" właściwościom". Przecież Polska z punktu widzenia USA znajduje się na peryferiach świata, nie ma tam ani złóż ropy, ani zasobów innych surowców strategicznych, nie jest krajem tak strategicznie kluczowym jak Iran, a jednak swoim zachowaniem budzi ogromne zainteresowanie. Zresztą to zainteresowanie jest w Polsce wycelbrzymiane, zawsze tak zresztą było - polskie społeczeństwo choruje na polonocentryzm. Dlatego mówię o owym zainteresowaniu z pewną obawą, bo polski egocentryzm geograficzny prowadził w przeszłości często do przeceniania Zachodu i do katastrof. Jest to pewna choroba, która tkwi w polskiej duszy.

Prawdą jest, że Zachód może wesprzeć Polskę. Ale może to mieć charakter tylko pomocniczy. Żadne mocarstwo zachodnie, nie wyłączając USA, nie przyjmie na siebie najmniejszego ryzyka konfrontacji w obronie Polski i Europy Wschodniej. To co dokonało się za czasów Cartera i Reagana, jeśli idzie o stosunek USA do Polski, stanowi absolutne maksimum. Zachowanie się administracji Johnsona w czasie inwazji na Czechosłowację lub Eisenhowera w czasie inwazji na Węgry i rozruchów w Berlinie Wschodnim, było bez porównania gorsze. Powiedziano wtedy przecież Rosjanom, że o żadnej interwencji Zachodu nie ma mowy. W przypadku Polski w okresie Solidarności pozostawiono jednak cień wątpliwości na ten temat, a w każdym razie dano do zrozumienia, że jeżeli dojdzie do interwencji sowieckiej w Polsce, pociągnie to za sobą ogromne koszty polityczne i gospodarcze. Myślę, że jednak dzięki

temu stanowisku sprawy potoczyły się trochę "mniej źle", a Solidarność, nie odniósłszy co prawda zwycięstwa, nie poniosła takiej klęski jak Węgrzy lub Czesi, albo moje pokolenie w 1944 roku.

Natomiast okres Solidarności przyniósł tak głęboką zmianę świadomości społecznej, iż nie wyobrażam sobie, żeby sytuacja w Polsce mogła powrócić do tego, co było w czasach stalinowskich. Do tego przynajmniej pozornego, ujarznienia umysłów. To umysły zostały wyzwolone. I dzisiaj ponowne ich ujarznienie jest po prostu niemożliwe. To doświadczenie, przez które przeszło obecne pokolenie, pozostanie na całe życie. Można stosować terror, można próbować ludzi zastraszać, ale nawet krwawy terror nie zmieniłby świadomości społeczeństwa, nie wykorzeniłby doświadczeń przez które przeszło ono w okresie Solidarności.

Uważam, że polskie społeczeństwo ma w sobie gotowość do skorzystania z koniunktury historycznej, jeżeli taka się powtórzy. W 1914 roku wśród Polaków był dość mocno zakorzeniony tzw. trójlojalizm i znaczna część społeczeństwa nie wierzyła, że koniunktura dla niepodległości Polski kiedykolwiek się pojawi. Piłsudski musiał walczyć o tę wewnętrzną gotowość do wolności, ze swego rodzaju akceptacją istniejącego stanu rzeczy jako czegoś ostatecznego. Dzisiaj pod tym względem nie miałyby właściwie nic do roboty. Społeczeństwo jest dziś wewnętrznie gotowe do wykorzystania sprzyjającej koniunktury międzynarodowej.

Cudzoziemcom najbardziej imponuje niespotykana przedtem u Polaków dyscyplina, która sprawia, że w Polsce nie doszło do wykorzystania środków gwałtownych. Beton partyjny marzył o tym, żeby ludzie uciekali się do gwałtu, i żeby można było rozruchy krwawo stłumić. Gdyby to nastąpiło, stan psychiczny społeczeństwa byłby dzisiaj zupełnie inny. Sam fakt, że w ciągu 5 lat od "wojny grudniowej" nie doszło do żadnego gwałtu na większą skalę, w pewnym sensie zdecydował o sukcesie, z którego mam wrażenie, nawet dzisiaj Solidarność nie zdaje sobie sprawy. Tym sukcesem jest samo przetrwanie, zachowanie świadomości, która ukształtowała się w okresie solidarnościowym. Przecież ta "gniewna tolerancja" ze strony władz, jaka dzisiaj istnieje, jest wielkim zwycięstwem społeczeństwa. Nie jest to zwycięstwo pełne, ale i takie może przyjść.

Natomiast najbardziej niepokoi mnie i gnębi, nawet z perspektywy mego całego dość długiego życia, a patrzyłem i na momenty triumfu i na straszne klęski, zbliżająca się katastrofa gospodarcza i ekologiczna. Dlatego należę do tych, którzy odrzucają zasadę, że "im gorzej tym lepiej". Bo przecież chodzi nie tylko o uratowanie walorów duchowych, tożsamości. Niezbędne jest również uratowanie i zachowanie bazy materialnej, bez której rozwój wartości duchowych nie jest możliwy. Polska, która będzie upośledzona gospodarczo, która będzie się cofać gospodarczo, będzie niezdolna do postępu kulturalnego, nie będzie mogła wzbogacić swego dziedzictwa duchowego. Nie obawiam się, żeby nasze społeczeństwo uległo sowietyzacji, zniewoleniu psychicznemu. Oczywiście, obecne rządy demoralizują ludzi, im dłużej trwają, tym bardziej demoralizują, ale przy tym wszystkim Polska jest dzisiaj swego rodzaju oazą...

Kedakcja: - Oazą w obozie?

Jan Nowak: - Nie, oazą w świecie. Olbrzymi dobrobyt, który istnieje dzisiaj na Zachodzie zabił wszelką ideę, wszelką gotowość do indywidualnych poświęceń, doprowadził do jakiegoś hedonizmu. Bardzo mało jest dzisiaj ludzi, choćby w społeczeństwie

amerykańskim, którzy poszliby na takie poświęcenia, na jakie poszli działacze Solidarności, którzy gotowi byli poświęcić bardzo wiele, przyjmując ryzyko skrytobójstwa, uwięzienia, biedy dla siebie i dla swoich rodzin, utraty pracy. Tylko w Polsce widzę dzisiaj tę ofiarną, gotowość poświęcenia dla idei. Niedawno rozmawiałem z amerykańskim dyplomatą, który przyjechał z Warszawy do Stanów na dwa tygodnie urlopu. Powiedział: - Liczę dni i godziny dzielące mnie od powrotu do Warszawy. - Dlaczego? - Bo, proszę pana, w Stanach rozmawia się o handlu nieruchomościami, o samochodach, o lodówkach, o tym gdzie się było albo gdzie się pojedzie na wakacje, to wszystko jest potwornie nudne, a tam, w Warszawie, jest nieustanna dyskusja, ferment umysłowy, to najciekawszy kraj na świecie. Marzeniem dyplomatów amerykańskich jest dostanie przydziału na placówkę w Polsce.

Polska jest oazą również w innym sensie. Kościół katolicki na całym świecie przeżywa kryzys, a w Polsce odnosi niezwykły triumf. Dwie największe postacie w skali historycznej, które wyłonił okres powojenny to dwaj ludzie Kościoła: papież Karol Wojtyła i Prymas Tysiąclecia Stefan Wyszyński. A największym bohaterem naszych czasów - ksiądz Popiełuszko.

Mówię to wszystko jako człowiek, który patrzy na kraj z odległości, bynajmniej nie bezkrytycznie, ale równocześnie z dużym podziwem.

Redakcja: - Do realiów należy również druga strona medalu życia społecznego: ogromne zmęczenie ludzi, mocno odczuwalny brak perspektyw w skali indywidualnej i przed całą zbiorowością. Jaką taktykę postępowania w tej sytuacji uznałby Pan za wskazaną dla współczesnych Polaków?

Jan Nowak: - Myślę, że przyszłość kraju zależy w dużym stopniu od siły i skuteczności nacisku społecznego. Odgrywa on znacznie większą rolę niż jakikolwiek nacisk zewnętrzny. W moim przekonaniu kontynuacja tego nacisku, w takich formach jakie są obecnie stosowane, może być jedyną dźwignią przemian na lepsze. Uważam, że właśnie pod wpływem tego nacisku doszło do znacznego rozluźnienia cenzury. Środki masowego przekazu są zmuszone do konkurowania z drugim, niezależnym od władz, obiegiem wydawniczym. Również fakt, że reżim musi ostatnio poświęcać dużo uwagi sprawom ekologicznym jest rezultatem takiego nacisku, wywieranego zresztą również przez ludzi należących do partii. Po prostu wszystkie formy nacisku nie prowadzące do katastrofy są dobre. Jest to jedyna droga.

Nowy układ sił wewnętrznych okazał się dla społeczeństwa skuteczny, prowadzi do tego, że władze nie mogą stosować teraz sposobów, które były w użyciu w latach stalinowskich. Jestem przekonany, że Jaruzelski, gdyby mógł, cofnąłby wskazówki zegara do roku 1953. Ale nie może. Nie dlatego, że jest bardziej liberalny. Tylko po prostu NIE MOŻE. Społeczeństwo stawia mu przeszkody, a on, jako pragmatyk wojskowy, zdaje sobie sprawę i wie, że cofnięcie się nie jest możliwe.

Ten margines wolności może się przesuwac w obie strony. W dużym stopniu zależy to od sytuacji międzynarodowej, a przede wszystkim od rozwoju wydarzeń w samym Związku Sowieckim. Pod tym względem stoimy, być może, u progu ważnych wydarzeń. Istnieje kilka możliwych scenariuszy rozwoju sytuacji w ZSRR. Jeden jest taki, że Gorbaczow zostanie obalony w wyniku pałacowego przewrotu, który dokona się w murach Kremla i możemy się jutro dowiedzieć, że I sekretarzem został np. Ligaczow. Ale jest i drugi scenariusz: że Gorbaczowowi uda się usprawnić system, w czym nie musimy mu życzyć sukcesu, ale że w każdym razie będzie panował



nad tym procesem ograniczonych zmian. Można sobie również wyobrazić i trzeci scenariusz - że program Gorbaczowa doprowadzi do przewlekłej walki o władzę w ramach rządzącej elity, i że może się powtórzyć scenariusz, który rozegrał się w Polsce w latach 50-tych. Założenia wtedy były podobne, chodziło o to, żeby przełamać marazm ludzki /w tym i aparatu/ i zaktywizować społeczeństwo. Tymczasem odwilż zamieniła się w powódź i kierownictwo partii straciło kontrolę nad siłami, które zostały wyzwolone. Nie można wykluczyć, że to samo nastąpi w Rosji. Gorbaczow nie zostanie obalony, może dojść do przewlekłej walki, w której strony walczące będą szukały sprzymierzeńców z zewnątrz. W tej chwili Gorbaczow wyraźnie stara się zyskać takiego sojusznika w inteligencji twórczej.

Redakcja: - To jest stosunkowo najłatwiejsze...

Jan Nowak: - No, ale w Polsce ten bunt inteligencji twórczej pociągnął za sobą reakcję łańcuchową. Myślę o całym procesie, który doprowadził do Października 1956 roku. W każdym razie nie można tego rodzaju okoliczności wykluczyć. W przypadku przewrotu pałacowego powstaje pytanie, czy ewentualny następca będzie mógł odwrócić wskazówki zegara i wycofać się z pewnych zmian, które Gorbaczow zaczyna wprowadzać, i z jego obietnic?

Redakcja: - Ostatnio dają się słyszeć głosy wśród emigracji polskiej w Stanach, że przeszedł Pan z pozycji nieprzejednanej wobec systemu komunistycznego na pozycje stosunkowo ugodowe.. Co Pan na to?

Jan Nowak: - Muszę stanowczo zaprotestować przeciwko tego rodzaju opiniom, ponieważ moje nieprzejednane stanowisko nie zmieniło się ani na jotę od czasu, kiedy byłem dyrektorem polskiej redakcji Kadia Wolna Europa. Do końca moim celem będzie walka o wolność i niepodległość Polski. Nstomiast uważam, że należy dobrać takie metody tej walki, które są najbardziej skuteczne. A skuteczność bynajmniej nie polega na wysokim diapazone retorycznym, czasami warto stosować większą elastyczność, bo tą drogą więcej można zyskać... Uważam, że polityka amerykańska i nasza polityka niepodległościowa musi odpowiadać na główne pytanie: - W jaki sposób w danym momencie można najskuteczniej wesprzeć nacisk społeczny w Polsce? Są okresy, gdy nacisk ten można najskuteczniej poprzeć tak jak w 1981 roku poprzez nałożenie sankcji i są okresy, kiedy tego rodzaju bojkot może okazać się bumerangiem, jeżeli doprowadzi do izolacji polskiego społeczeństwa od zachodu. Uważam, że największymi, nieświadomymi sojusznikami reżimu są tzw. ekstremiści, czyli skrajni antykomuniści, którzy widzą wszystko w kolorach czarnych i białych i nie potrafią stosować mądrego antykomunizmu. Reżim najbardziej boi się właśnie tych antykomunistów, którzy stosują metody bardziej subtelne. Więszym niebezpieczeństwem dla władz jest Adam Michnik niż jakiś skrajny antykomunista, który ciągle krzyczy o niepodległości, ale w gruncie rzeczy nie proponuje żadnego programu dziś, na teraz. Absolutnie więc odrzucam jakiegokolwiek sugestie, że jestem "ugodowcem", albo że "rozumiętkłem". Uważam, że trzeba z tym systemem walczyć i nie mam żadnych złudzeń jeśli idzie o osobę i motywy Jaruzelskiego i całej elity władzy w Polsce.

Mogę przy tej okazji powiedzieć, iż ogromnym zaskoczeniem było dla mnie, że sekretarz KC Czyrek w czasie wizyty w USA chciał zobaczyć się nie tylko z Alojzym Mazewskim, prezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej, ale i ze mną. I że wkrótce potem miałem propozycję spotkania z attache ambasady PRL w Waszyngto-

nie. Zaproponowano mi nawet udzielenie wywiadu Polskiej Telewizji. Odpowiedziałem na te propozycje: - Panowie, zschodzi nieporozumienie. To, że opowiadałem się za zniesieniem sankcji nie znaczy, iż mam ochotę z Panami rozmawiać. A co do telewizji - najpierw dopuśćcie przed kamerę Wałęsę, najpierw pozwólcie opozycji wypowiadać się swobodnie i bez cenzury, a wtedy i ja wam udzielię wywiadu. Odpowiedź brzmiała: Pan dobrze wie, że jest to niemożliwe.

Nie znaczy to wcale, by profesor Brzeziński również miał odmawiać występu w polskiej telewizji. Wypowiada się on przecież z innej pozycji, jest amerykańskim mężem stanu. Dobrze, że udzielił wywiadu telewizyjnego, popieram takie kontakty, bo nie chcę, żeby moje społeczeństwo było społeczeństwem zamkniętym. Ale Jan Nowak nie pojawił się w warszawskiej telewizji. Służyłoby to władzom do celów propagandowych: widzicie, nawet dawny dyrektor Wolnej Europy, ten wróg numer 1 już się z nami pogodził.

Zapytano mnie nawet, czy nie przyjechałbym do Polski? Wiem oczywiście, że gdybym przyjechał, nic by mi prawdopodobnie nie groziło, jeżeli więc odmówiłem, to z innych powodów. Uważam, że moim zadaniem jest świadczenie swoją obecnością tutaj, że my tych władz nie uznajemy, bo nie reprezentują społeczeństwa i jego interesów. Uważam, że ludzie tacy jak Giedroyc, Mazewski, Kaczyński, Nowak oraz inni muszą zajmować pozycję całkowicie negatywną w stosunku do rządu P.K.L, co uważam za swego rodzaju symbol. Natomiast trzeba starannie odróżnić interes społeczeństwa od interesu rządu i jeżeli nie można społeczeństwu udzielić pomocy inaczej niż za pośrednictwem tego rządu, nie można z tego zrezygnować nawet jeżeli jakaś część tej pomocy będzie opodatkowana na cele, które są dla nas wrogie. Jeżeli jednak mamy przekonanie, że ta pomoc może choć trochę poprawić sytuację społeczeństwa, musimy o taką pomoc zabiegać.

Redakcja: - W kraju, w kołach opozycji, wysunięto tezę, iż nowa formuła odprężenia w Europie powinna opierać się na innych zasadach niż poprzednie. Nowa formuła odprężenia powinna brać pod uwagę nie tylko rządy państw Europy Wschodniej, ale również społeczeństwa, które, jak na przykład w Polsce, stają się partnerem dialogu politycznego i nie można rozwiązać kluczowych elementów sytuacji w kraju bez równoprawnego udziału tego partnera...

Jan Nowak: - Zgadzam się. Uważam, że obecnie ta dwutorowość polityki Zachodu staje się bardzo wyraźna. Przed wyjazdem Whiteheadą, zastępcy sekretarza stanu, do Polski, odbyło się spotkanie z udziałem przedstawicieli kongresu Polonii /prezes Mazewski, wiceprezes Łukomski i ja/, w czasie którego powiedzieliśmy, iż oczekujemy, że Whitehead spotka się w Polsce nie tylko z Jaruzelskim, ale również z Wałęsą. I kiedy w Warszawie Whiteheadowi zakomunikowano, że niestety, Wałęsa nie może zwolnić się z pracy, żeby przyjechać do niego do Warszawy, zastępca sekretarza stanu odrzekł, że wobec tego pojedzie do Gdańska i będzie musiał zrezygnować z rozmowy z generałem Jaruzelskim, nie może bowiem wrócić do USA nie spotkawszy się z przewodniczącym Solidarności. W ciągu paru godzin Wałęsa dostał urlop ze stoczni i przyjechał do Warszawy. Podobne stanowisko zajęli zresztą smerykańscy kongresmani w czasie wizyty w Polsce oraz burmistrz Nowego Jorku. Zasadę taką stosuje obecnie wiele innych rządów zachodnich.

Nie wiem jaka administracja przyjdzie po okresie reaganą, ale mogę zapewnić, że będziemy robili wszystko, żeby domagać się dokładnie tego, o czym mowa w tezie o nowej formule odprężenia

w Europie. Oczywiście, międzyrządowe rozmowy bilateralne muszą być prowadzone, bo dialog jest również formą nacisku, ale równocześnie musi istnieć kontakt i dialog ze społeczeństwem. I ten kontakt, jak dotąd jest w pełni utrzymywany, w formie, powiedziałbym nawet, nieustępliwej.

Redakcja: - Dziękujemy za rozmowę.

maj 1987

KAZIMIERZ WOYCICKI

## Mieszane odczucia

Tak jak i w innych krajach zachodnioeuropejskich, powstanie Solidarności przywitano w Republice Federalnej Niemiec z dużym zainteresowaniem. Zanim podpisano umowę gdańską, jeszcze podczas trwających na wybrzeżu strajków, z deklaracją popierającą żądania niezależnych związków zawodowych wystąpiła centrala zachodnoniemieckiego ruchu zawodowego DGB. Poparcie związkowców niemieckich dla Solidarności zapoczątkowane wówczas, stało się trwałym elementem ich polityki i trwa do dzisiaj. Na jesieni 81 doszło do wizyty w RFN Zbigniewa Bujaka, a na styczeń 82 roku planowano wizytę Wałęsy. Na ostatnim zjeździe DGB w roku 86 obecny był przedstawiciel biura brukselskiego, Milewski, któremu zgótowano gorącą owację. Stanowisko poparcia wielokrotnie podkreślały deklaracje DGB i jej czołowi przedstawiciele - Breit, reprezentujący większościowy nurt związany z socjaldemokracją czy Ferrenbach wiceprzewodniczący DGB wywodzący się z CDU.

Szersze jednak odłamy opinii publicznej w RFN przyjmowały rozwój sytuacji w Polsce w latach 80-81 z coraz bardziej mieszanymi odczuciami. Do pobudzonych na początku nadziei dołączały się coraz bardziej niepokój. O ile pewien stopień demokratyzacji w Polsce mógł sprzyjać procesowi odprężenia, to wedle oceny socjaldemokratycznego wówczas rządu w Bonn, radykalizacja nastrojów politycznych i z tym związana groźba interwencji radzieckiej, polityce odprężenia mogła tylko zaszkodzić. Wydaje się, iż momentem rozstrzygającym o stosunku ówczesnego kierownictwa SPD do Solidarności był kryzys bydgoski. Wtedy to najprawdopodobniej zdecydowano, iż partnerem dla SPD jest przede wszystkim rząd w Warszawie, kontakty zaś z opozycją nie stwarzają specjalnych perspektyw.

Nie wydaje się też, by w innych środowiskach politycznych powstała wówczas idea, iż tak ogromne ożywienie się niezależnej opinii publicznej w Polsce stwarzało też szczególną okazję dla dialogu polsko-niemieckiego jako dialogu nie tylko rządów i polityków, ale również społeczeństw. Fakt, iż Solidarność powstała i tak silna była właśnie w Szczecinie czy Wrocławiu mógł być cónajwyżej źródłem refleksji dla niektórych kręgów o pełnej i nie odwołalnej polskości tych ziem.

Odmienność kultury politycznej Niemców i Polaków decydowała też, jak wskazują specjaliści, na trudności w zrozumieniu specyfiki tego ruchu, jakim od początku była Solidarność. Silne i fundamentalne dla zrozumienia sytuacji w Polsce rozróżnienie społeczeństwo-państwo jest całkowicie obce mentalności niemieckiej. Specyficznego znaczenia polskiego terminu "społeczeństwo" mającego swój wyraz w licznych hasłach i ideach ruchu takich jak "społeczeństwo obywatelskie", "społeczeństwo samorządne" itd. nie sposób wprost przetłumaczyć na żaden z terminów niemieckich.

Można tu jedynie gwoli ilustracji tych trudności wspomnieć, iż wydawca niemieckiego tłumaczenia historii Solidarności Jerzego Holzera, wybitny znawca spraw polskich Hennig Hahn, poprzedził książkę obszernym wstępem, który objaśniał czytelnikowi tak trudny dla niego sens polskiego słowa społeczeństwo, tłumaczonego tam na zmianę przez niemieckie "Gesellschaft", "Volk" o "Nation", w żadnym jednak z tych wypadków do końca trafnie.

Drugim elementem, który utrudniał zrozumienie Solidarności był patriotyczny, przepojony narodową treścią charakter ruchu. Ciekawe, że w przeciwieństwie do Francuzów, Niemcy nie mieli trudności ze zrozumieniem tak żywego podczas strajków i później pierwiastka religijnego. W Niemczech, w przeciwieństwie do Francji brak było nawet na lewicy szerokiej tradycji antyklerykalnej i antyreligijnej. Narodowe treści raziły jednak Niemców z uwagi na ich własną przeszłość i kompleksy. Walcząc z własnym nacjonalizmem, trudno im jest zrozumieć, zwłaszcza młodzieży pozytywny aspekt idei narodowej wśród innych.

Trzecim wreszcie czynnikiem, który utrudniał zrozumienie Solidarności, tym razem przede wszystkim na lewicy, było podjęcie, o jednostronny antykomunizm. Prawica podkreślała te własne elementy ruchu w Polsce, nie bez dodatkowej myśli, iż element ten będzie można wykorzystać w wewnętrznej rozgrywce politycznej z lewicą. Lewica nie posiadając dostatecznie pogiębionej interpretacji ruchu Solidarności obawiała się, iż jej popularność wzmocni przeciwników politycznych na prawicy. Znow uderza różnica z innymi krajami zachodnioeuropejskimi, gdzie dochodziło bądź do współdziałania przekraczającego linie podziałów politycznych, lub też do swoistej licytacji się w poparciu dla Solidarności.

Te trzy czynniki łącznie wpływały na specyficznie niemiecki charakter odbioru wydarzeń w Polsce w ostatnich latach. Osobiście największą rolę przypisywałbym trudnościom, jakie posiadają Niemcy w przyjęciu rozróżnienia społeczeństwo-państwo.

Mimo tych wszystkich czynników popularność Solidarności w latach 80-81 była w społeczeństwie niemieckim nie mała. Stan wojenny był z pewnością szokiem i budził szeroką falę poparcia. Wyraziła się ona w ogromnej akcji wysyłania paczek do Polski, która przerodziła się w szeroki ruch społeczny.

Akcja ta wspomagana przez Kościoły i najrozmaitsze organizacje społeczne, a opierająca się przede wszystkim na ogromnym wysiłku i niezwykłym czasami poświęceniu poszczególnych osób zwłaszcza młodzieży, stała się jednym z ważniejszych chyba wydarzeń polsko-niemieckiego dialogu po II wojnie. Przyczyniła się też ona do zadzierzgnięcia wielu osobistych polsko-niemieckich kontaktów, czy też nawiązania związków między poszczególnymi parafiami czy grupami ludzi. Niestety nie przeprowadzono - o ile się orientuję - szerszych badań socjologicznych, pozwalających stwierdzić, jakimi motywami i intencjami kierowali się uczestnicy tego "paczkowego ruchu społecznego" po stronie niemieckiej. Motywy te zaś tym trudniejsze są do oceny, iż ten zróżnicowany ruch objawił się jedynie działaniem, nie znalazł zaś żadnego niemal wyrazu w jakichś deklaracjach czy publicyście.

Można chyba zaryzykować sąd, tak mi się przynajmniej zdaje, iż również w społeczeństwie polskim w owym okresie 82-83 wobec tak masowego napływu paczek, w dużej części z Niemiec, zrodziły się pewne podskórne pytania. Stereotyp Niemca niezgodny jest bowiem z sylwetką kogoś wysyłającego pomoc dla Polaków dotkniętych ciężarem stanu wojennego. Być może więc nadarzała się wówczas okazja do uczynienia jakiegoś jeszcze bardziej znaczącego kroku ze strony niemieckiej, który sprawy polsko-niemieckiego dialogu i zrozumienia posunąłby naprzód. Jeśli istotnie tak było,

trzeba stwierdzić, iż szansa ta nie została wykorzystana. Do tego dlaczego się tak stało, jakie cechy kultury politycznej nad Renem o tym zdecydowały powróć jeszcze na koniec.

Na ogłoszenie stanu wojennego zareagowano nad Renem nie tylko akcją paczkową, ale także deklaracją Bundestagu, w którym wszystkie partie polityczne wyrażały wspólne zaniepokojenie sytuacją w Polsce. Czołowi politycy SPD zareagowali jednak nieco odmiennie. Kanclerz Schmidt nie przerwał, co mu później zarzucano swojej wizyty w NRD, stwierdzając jedynie, iż są to sprawy wewnętrznie polskie. Podobnie wypowiedział się były kanclerz Brandt w znanym przemówieniu w Hamburgu. Już w pierwszych dniach stanu wojennego mógł zjawić się w Bonn, co prawda z prywatną wizytą, Mieczysław Rakowski, by dać własną interpretację wydarzeń w Polsce. Zaraz po tym udał się do Warszawy członek władz SPD Herbert Wehner. W połowie roku 82 doszło już do wyjazdu szerszej delegacji parlamentarzystów SPD do Warszawy, w tym ministra poczty. Choć przybywał on jedynie jako poseł, pozwoliło to władzom w Warszawie przywitać go jako pierwszego ministra zachodniego rządu po ogłoszeniu stanu wojennego.

Ówczesny rząd boński przyjął postanowienia wspólnoty europejskiej w sprawie reakcji na stan wojenny w Polsce, faktyczne jednak postępowanie Bonn, na tyle odbiegało od postawy Paryża, Rzymu czy Londynu, iż na tym tle doszło nawet do pewnego napięcia dyplomatycznego między Paryżem a Bonn. Rząd socjaldemokratyczny zdawał się uważać, iż w Polsce stało się to, co stać się musiało i był przede wszystkim zainteresowany jak najszybszym załagodzeniem sytuacji. W Jaruzelskim chętnie widziano męża opatrznościowego, który ocalił Polskę przed bezpośrednią interwencją radziecką, a tym samym pośrednio również możliwość kontynuowania procesu odprężenia w Europie. Z pewnością głosy takie dawały się wyraźnie słyszeć na łamach najpoważniejszego chyba liberalno-lewicowego tygodnika "Die Zeit".

Z uczuciem skrywanej ulgi przyjęła jednak stan wojenny nie tylko znaczna część kierownictwa SPD, podobne uczucie towarzyszyło również, jak się wydaje, kręgom niemieckich przemysłowców i handlowców. Mieli oni wyraźnie nadzieję, iż silne rządy doprowadzą w Polsce do sanacji gospodarki, a tym samym umożliwią zarówno regularną spłatę długów, jak i dalszy rozwój kontaktów handlowych. Takie było wyraźnie stanowisko tak wpływowej postaci, jaką jest przewodniczący Izby Handlowo-Przemysłowej /DIHT/ Wolf von Amerongen. Trzeba było długiego okresu niespełniania obietnic reformy gospodarczej w Polsce i dalszego pogarszania się stanu gospodarki, by taka postawa strony niemieckiej osłabła. Charakterystyczne pod tym względem są dzieje pożyczki w wysokości 100 mln marek jakiej miały udzielić banki zachodniemieckie. Wielkość pożyczki jest znikoma, tak więc miała ona znaczenie przede wszystkim symboliczne, jako że udzielić jej miano z gwarancją rządową. Okazało się jednak, iż Warszawa ma trudności w spłacie rocznych odsetek. Udzielenie pożyczki odkładano, a nawet w pewnym momencie cofnięto ubezpieczenie "Hermesa" dla przedsiębiorców handlujących z Polską - ubezpieczenie dawane przez rząd boński na obszary o zwiększonym ryzyku handlowym, będące wyrazem poparcia rządu dla handlu z tymi obszarami.

Pod koniec roku 82 i w 83 sprawy polskie tracić też zaczęły nad Renem na znaczeniu. Pojwiły się inne absorbujące większość uwagi kwestie, takie jak nadzieje na poprawę stosunków niemiecko-niemieckich, czy też kwestia zainstalowania rakiet średniego zasięgu, a w związku z tym narastającego ruchu pokojowego. W kampanii wyborczej roku 83, kiedy to SPD utraciła udział w rządach koalicyjnych z wolnymi demokratami, sprawy polskie nie

odegrały praktycznie żadnej roli nawet jako akcent uboczny.

Kręgi SPD związane z Brandtem nie zmieniły też swego stanowiska wobec ruchu niezależnego w Polsce również później. Gdy Brandt był w Warszawie w roku '85 spotkał się co prawda z przedstawicielem warszawskiego KIK-u, był to jednak jedyny gest, takiego donosa. Obietnica, iż on lub jego bliski współpracownik Horst Elmke pojedzie do Gdańska i spotka się z Wałęsą nie została nigdy spełniona. W niektórych kręgach SPD zaznaczyła się też wówczas tendencja, by na gwałt poszukiwać kontaktów z polską hierarchią katolicką, aby w ten sposób uzupełnić brak kontaktów z kręgami niezależnymi.

Opisując takie stanowisko Brandta, jako czołowej postaci, w SPD trzeba jednak pamiętać, iż choć dominujące, nie było ono jedyne w szeregach socjaldemokracji. Wyraźnie inną postawę przyjmował socjaldemokratyczny premier rządu krajowego w Nadrenii-Westfalii i późniejszy kandydat na kanclerza w wyborach roku 87 Johannes Rau. W roku 82 otworzył on w siedzibie SPD w Dusseldorfie dużą wystawę poświęconą Solidarności, a w jego broszurze na wybory krajowe roku 85 znalazła się znacząca recenzja książki Holzera, poświęconej historii związku. Podobne stanowisko zajmował też długoletni SPD-owski burmistrz Eremy Koschnik, przewidywany jako minister spraw zagranicznych w planowanym rządzie Rau'a. Udzielał on poparcia inicjatywie utworzenia w Bremie archiwum i placówki badawczej nad prasą drugiego obiegu w Europie wschodniej, a więc przede wszystkim w Polsce.

Odmienne również od Brandta stanowisko, gdy chodzi o stosunek do ruchów niezależnych w Europie wschodniej zdaje się zajmować Annemarie Kergman i środowisko wokół nowo utworzonej fundacji im. Schumachera. Nie trzeba też zapominać, iż niemieckie związki zawodowe, zajmujące w sumie tak jednoznaczną pozycję poparcia wobec Solidarności związane są przecież bardzo silnie właśnie z socjaldemokracją. Dlatego też wydaje się, iż postawy socjaldemokratów wobec wydarzeń w Polsce ostatnich lat nie należy dostrzegać wyłącznie przez pryzmat stanowiska zajmowanego przez Brandta.

W roku 83 SPD przestało uczestniczyć w rządach a jej miejsce w koalicji z FLP zajęła CDU i CSU. Czy dojdzie chadecji do władzy zmieniło stanowisko rządu bońskiego wobec sytuacji w Polsce? Odpowiedź brzmi, iż jedynie w niewielkim stopniu.

Trzeba przede wszystkim zaznaczyć, iż od wielu lat o polityce zagranicznej republiki Federalnej decyduje FDP, która obsadza stanowisko szefa niemieckich dyplomatów w kolejnych koalicjach rządowych. Politykę zagraniczną RFN symbolizuje też nazwisko wolnego demokraty Genschera, który zasiadał w gabinecie socjaldemokraty Schmidta tak jak później zasiadł w gabinecie chadeka Kohla. Już ten fakt decyduje o tym, że zmiana w roku 83 nie mogła pociągnąć za sobą jakichś gwałtownych przeobrażeń. Polityka Genschera jest pragmatyczna i ostrożna. Nigdy nie stwierdził on, iż stan wojenny i likwidacja Solidarności to wyłącznie sprawa wewnętrzna Polski jak uczynił to Brandt, ale też Genscher pilnie wystrzegał się, by jego wypowiedzi nie mogły być wzięte za jakąkolwiek interwencję w sprawę polską. To z pewnością m.in. Genscher podyktował dyplomacji niemieckiej w stosunkach z Warszawą ton tak odmienny od zachowań dyplomatów francuskich, włoskich czy brytyjskich. Trzeba przy tym zaznaczyć, iż Genscher zważać się zdaje tutaj również na fakt, iż dyplomata francuski czy brytyjski ma więcej swobody manewru w Warszawie i łatwiej domagać się może mówienia o kwestiach wolności obywatelskich czy praw człowieka, niż dyplomata niemiecki.

Dla pragmatyzmu Genschera charakterystyczne są dzieje jego połowicznej wizyty w Warszawie w roku 85. Została ona w pierwotnym terminie odłożona, bowiem władze polskie nie zgodziły się na złożenie przez Genschera kwiatów na grobie żołnierza Wehrmachtu oraz na odwiedzenie grobu ks. Popiełuszki. Genscher wylądował jednak w krótki czas po tym na Okęciu wracając z wizyty w Moskwie i rozmawiał na lotnisku z przedstawicielami władz polskich. Mimo, iż nie była to wizyta tak reprezentacyjna jak planowano na początku, to jednak zaistniałe napięcie załagodzone, przy czym żadna ze stron nie musiała ustąpić ze swego stanowiska.

Postawa FDP była więc bardziej elastyczna od postawy SPD. Politycy FDP wstrzymywali się od nazbyt jednoznacznego popierania władz w Warszawie, w momencie gdy znajdowały się one w konflikcie ze społeczeństwem, zarazem jednak unikały kontaktów z opozycją, co mogłoby przyczynić się do zadrażnień w Warszawie. Kontaktów z opozycją nie można wykluczyć w przyszłości, z pewnością jednak nastąpią one nie wcześniej, aż opozycja "zalegalizuje się" w większym stopniu niż to jest obecnie, a kontakty z nią nie będą pociągać bezpośrednio napięć z władzami. FDP jest przygotowana na taką możliwość. Zapytywani o to przedstawiciele FDP odpowiadają, iż utrzymywać pragną kontakty z szerokim wachlarzem środowisk w Polsce, a nawet, iż Solidarność stanowiła zapowiedź reform Gorbaczowa i obecnego odprężenia w bloku. Sądzę też, że te pragmatyczne i elastyczne, choć bardzo ostrożne stanowisko, cechować będzie cały rząd boński, bowiem resort spraw zagranicznych spoczywa w nim niepodzielnie w rękach wolnych demokratów.

Należy zadać teraz pytanie, jakie impulsy dla polityki zagranicznej w sprawach polskich płynęły od roku 83 ze strony chrześcijańskich demokratów z CDU partnerów FDP w koalicji rządowej? Na pytanie to szalenie trudno odpowiedzieć, ponieważ CDU, jak wskazuje wielu obserwatorów nie posiada od lat skonkretyzowanych koncepcji w wielu bardziej szczegółowych kwestiach polityki zagranicznej, a do takich należą również sprawy polskie. Przez całe lata 70-te chrześcijańska demokracja pozostawała w opozycji zwalczając i krytykując zawarty w roku 70 układ z Polską. Polityka CDU w tej sprawie obciążona jest 20-30 % głosami wyborców związanych w taki czy inny sposób z kręgami przesiedleńców, z którymi politycy partyjni nawet często wbrew własnym koncepcjom, muszą się liczyć. Z pewnością temat ruchu opozycyjnego w Polsce mógł być podjęty przez polityków tej partii, chociażby ze względu na możliwość zróżnicowania się z SPD i podjęcia bardziej zasadniczego tonu wobec komunistów, a także ze względu na tak wygodne do podjęcia dla chrześcijańskich demokratów, pierwiastki religijne ruchu. Niektórzy politycy CDU, którzy składali wizytę w Warszawie podejmowali bardziej zasadniczy ton od swych kolegów w SPD. Tak np. Lothar Spath, premier rządu krajowego Badenii-Wirtembergii, spotkał się nie tylko z przedstawicielami władz, ale także środowiska KIK oraz złożył kwiaty na grobie ks. Popiełuszki. Przewodniczący frakcji parlamentarnej CDU Alfred Dregger spotkał się z Wałęsą, a nawet przedstawił wizję polsko-niemieckiego pojednania na Westerplatte, gdzie jak się wyraził - prezydent wolnej Polski i prezydent niemiecki mieliby sobie podać dłonie w uścisku zgody, prawdopodobnie na wzór podobnego gestu między prezydentem Mitterrandem i kanclerzem Kohlem na polach pod Verdun. Warto jednak zwrócić uwagę, iż już Strauss przezywając nieoficjalnie w Polsce i szukając jakichś spektakularnych porozumień ze stroną rządową, czego zresztą nie osiągnął, nie uczynił żadnego gestu pod adresem niezależnej opinii publicznej, zachowując swoje antykomunistyczne tyrady wyłącznie na użytek domowy.



Problemy polityki polskiej CDU świetnie przy tym ilustruje postać Alfreda Dreggera. Jego efektywnym wizjom dotyczącym polsko-niemieckiego pojednania towarzyszy zarazem nader dwuznaczna postawa w sprawie naszych granic zachodnich. W szczególny sposób ujawniło się to podczas debaty nad sformułowaniem wiceprzewodniczącego frakcji parlamentarnej CDU Volkera Ruhego o "zobowiązaniach na przyszłość związanych z układem 1970 roku". Sformułowanie to oznaczało, iż układ ten, gwarantujący polskie granice zachodnie obowiązywać ma nie tylko Republikę Federalną Niemiec, ale także przyszłe zjednoczone Niemcy. Zjednoczenie Niemiec jest jak wiadomo konstytucyjnie zagwarantowanym celem polityki bońskiej. Volker Ruhe jest osobą zblizoną do kanclerza Kohla i jego wystąpienie było wyraźnie przez Kohla inspirowane. Była to próba nadania ze strony CDU własnej, realistycznej wykładni układowi z roku 70 zblizonej do stanowiska FDP i porzucenia oporu wobec tego układowi z okresu lat 70-tych, gdy CDU znajdowała się w opozycji. Pierwsza wstępna tego typu próba - dodajmy dla zilustrowania trudności chadeków - nie powiodła się. Mianowicie na zjeździe organizacji młodzieżowej CDU Junge Union w roku 85 projekt deklaracji dotyczącej bezwarunkowego uznania polskich granic zachodnich złożył jej przewodniczący Christian Bohr. Deklaracja organizacji młodzieżowej miała pilotować odpowiednie posunięcia "dorosłej" CDU. Wniosek jednak uchwalenia tej deklaracji upadł. Następnym więc posunięciem w grze o bardziej realistyczne podejście do interpretacji układowi z 70 roku stało się właśnie owo parlamentarne wystąpienie Volkera Ruhe, w którym użył on słów o "zobowiązaniach na przyszłość związanych z układem". W CDU wybuchła burza. W debacie parlamentarnej inny minister rządu bońskiego do spraw wewnątrzniemieckich Windelen, mimo że dociskany pytaniami nie mógł wykrztusić z siebie, iż akceptuje to sformułowanie. Alfred Dregger, wizjoner polsko-niemieckiego pojednania na Westerplatte, stał w owym sporze po stronie Windelena.

Trzeba oczywiście podkreślić, że w sprawach tych następuje systematyczny, choć nader powolny, postęp. W rządzie Kohla uformowanym po ostatnich wyborach w styczniu 87 roku ministerstwo do spraw wewnątrzniemieckich po Windelenie objęła Dorothea Wilms, polityk o liberalnej postawie, pierwsza na tym stanowisku osoba nie powiązana ze środowiskami przesiadkowymi. Formuła "o zobowiązaniach na przyszłość" jest faktycznie przyjmowana przez zdecydowaną większość CDU. Można jednak stwierdzić, iż borykając się z tak elementarnym problemem, jak zagadnienie właściwej interpretacji układowi z roku 70, chrześcijańska demokracja nie mogła zdobyć się na bardziej zniuansowane i pogiębione stanowisko wobec wydarzeń w Polsce.

Na podstawie prowadzonych przeze mnie w Republice Federalnej rozmów sądzę, iż w dość szerokich kręgach CDU istnieje świadomość braku właściwej polityki partii w sprawie polskiej. Nie brak jest młodszych działaczy, takich jak Christian Bohr, którzy chcieliby ożywić niemrawy polsko-niemiecki dialog. Są politycy tacy, jak Kurt Biedenkopf, były sekretarz generalny partii, a później przez pewien czas przewodniczący CDU w największym landzie Nadrenii-Westfalii, dla którego problem zbliznienia z Polakami stanowi centralne zagadnienie w budowie pokojowego ładu w Europie. Przychylnie sprawom polskim nastawienie reprezentuje też zblizony do CDU Centralny Komitet Katolików Niemieckich grupujący organizacje świeckich katolików związane z Kościołem. Przychylnie zainteresowanie jest też w fundacji im. Adenauera. Wszystko to jednak jak dotychczas nie złożyło się na szersze inicjatywy. Polityka polska CDU wciąż czeka na swój moment przełomowy, jeśli ta największa nad Renem partia polityczna odegrać ma proporcjonalną do swego

znaczenia rolę w dialogu polsko-niemieckim.

Stwierdziwszy to wszystko, zwrócić należy uwagę na ostatnie propozycje kanclerza Kohla. Dotyczą one trzech punktów: organizacji Instytutu Goethego w Warszawie, wymiany młodzieżowej, budowy miejsca pamięci w miejscowości Krzyżowa na Dolnym Śląsku, gdzie w okresie wojny działała grupa antyhitlerowskiego oporu tzw. Kraissauer Kreis. Wszystkie trzy inicjatywy mogą być wysoce znaczące, choć nie wyszły one jeszcze poza fazę projektów i rozmów z władzami polskimi. Znamionuje je jednak - co należy podkreślić - pewien nowy duch. Są one bowiem ostrożną próbą zwrócenia się również w stronę nie tylko rządu, ale społeczeństwa polskiego i nawiązania oficjalnymi drogami kontaktów z szerszymi środowiskami w Polsce. Należy to chyba traktować przynajmniej częściowo jako dostrzeżenie przez Bonn roli, jaką odgrywa czy może odgrywać w Polsce niezależna opinia publiczna. Jest to ze strony Kohla jakaś pośrednia forma odpowiedzi na ważne wydarzenia w Polsce od roku 80.

Na największą uwagę zasługuje też wywodzący się z szeregów CDU, lecz tradycyjnie jako głowa państwa zachowujący ponadpartyjną pozycję prezydent Richard von Weizacker. Jego pełne powagi i głębi wystąpienie, jak np. z okazji 40 rocznicy zakończenia wojny sięgają po trudne problemy niemieckiej historii i niemieckiej kultury politycznej. Wydaje się, iż wypowiedzi Weizackera stać się mogą w pewnym momencie ważnym punktem wyjścia polsko-niemieckiego dialogu, zwłaszcza jeśli z taką powagą, jak dotychczas wypowie się on bezpośrednio w sprawach polsko-niemieckich stosunków. Z tego punktu widzenia wizyta jaką złoży on w Polsce najprawdopodobniej jeszcze w tym roku, może mieć bardzo ważne znaczenie.

Odmiennego kalibru zjawiskiem, mogącym wprowadzić jednak pewne niekonwencjonalne ożywienie do polsko-niemieckich kontaktów - są Zieloni. W polskich kręgach opozycyjnych panowało w swoim czasie przekonanie, iż Zieloni z uwagi na swe częste antyzachodnie /antyamerykańskie resentymenty/ i naiwność w postawie wobec Wschodu nie mogą być partnerem niezależnych środowisk. Wiele faktów zaprzeczyło jednak w międzyczasie takim uogólnieniom, choć niewątpliwie prawdą jest, iż Zielonych cechuje niekiedy naiwność czy wybujały polityczny idealizm i jednostronność. Trzeba jednak pamiętać, iż jest to bardziej ruch społeczny o nader zróżnicowanych nurtach, niż jednolita partia polityczna. Zieloni wielokrotnie występowali w sprawach człowieka na forum parlamentu, niekiedy bardzo zdecydowanie, w kontaktach zaś z Polską dążą również usilnie do spotkań ze środowiskami opozycyjnymi. W istocie część /bo nie wszyscy/ upatruje w Solidarności wzoru oddolnego obywatelskiego ruchu społecznego, a niektórzy idealizują nawet społeczeństwo polskie, przedstawiając jego demokratyzm krytykowanemu przez nich społeczeństwu Republiki Federalnej. Zieloni, mimo rozgłosu, z jakim się często spotykają w Niemczech, nie posiadają zasadniczego znaczenia politycznego, wydaje się jednak, że niektórzy z nich wyrośli na ciekawych, choć trudnych partnerów polsko-niemieckiego dialogu, tym bardziej interesujących, iż ich postawy wobec Polski i Polaków są bezpośrednim efektem obserwacji wydarzeń w Polsce ostatniego okresu. Niewątpliwie też sprawy polskie mają pewien wpływ na wewnętrzną ewolucję ruchu, który poszukuje pomostów, by własne idee krzewić w jakimś stopniu w całej Europie. Mentalność działaczy tego ruchu, skłonnych do niekonwencjonalnych zachowań i łatwo podejmujących nieformalne, pozainstytucjonalne kontakty /w przeciwieństwie do przedstawicieli innych partii/ zdecyduje prawdopodobnie o tym, iż Zieloni będą mogli utrzymywać w najbliższym czasie rosnącą liczbę kontak-

tów z polskimi środowiskami niezależnymi. Od ich polskich partnerów zależy po części, co z tych kontaktów wyniosą i czy nie powrócą do niektórych uprzedzeń wobec Polaków, żywych również wśród Zielonych. Chodzi np. o rzekomy konserwyzm, jednostronny antykomunizm czy idealizowanie przez nas Zachodu, a zwłaszcza Ameryki. Jest to w każdym razie nowy i ciekawy partner, którego nie powinna lekceważyć również polska strona rządowa. Zieloni nie unikają w żadnym wypadku kontaktów oficjalnych, a ich wystąpienia w niektórych sprawach w ramach Bundestagu jak np. w sprawie odszkodowań dla robotników przemysłowych z okresu wojny, są z pewnością zgodne z interesami polskimi, reprezentowanymi oficjalnie w RFN przez polskie władze.

Pod tym skrótowym - z natury rzeczy - omówieniu postawy poszczególnych nurtów polityki niemieckiej wobec wydarzeń nad Wisłą powróćmy jeszcze na zakończenie do całościowej oceny tych reakcji. Pisałem już na wstępie, iż uderza dysproporcja między żywym odbiorem społecznym wydarzeń polskich, a nikłym tego stosunkowo wpływem na życie polityczne. Dlatego reakcje niemieckie określane były przez wielu obserwatorów jako blade i ograniczone.

Wskazałem już na początku na trudności, jakie napotykają Niemcy w pełnym zrozumieniu sytuacji w Polsce. Owa dysproporcja czynnika społecznego i politycznego jest jednak z pewnością cechą niemieckiej kultury politycznej tout court, a nie tylko postawy wobec Polaków. Niemcy są rzetelni i sumienni, gdy chodzi o konkretną pomoc charytatywną, gdy chodzi o względy praktyczne i życiowe. Stąd zrozumienie, jakie budziła tam akcja paczkowa. Znacznie im natomiast trudniej zdobywać się na deklarację ideowego protestu czy solidarności, nazywać sprawy w kategoriach ideowych i politycznych zarazem, składać podpisy pod oświadczeniami czy też wywierać naciski na polityków, by oni takie oświadczenia składali. Jest to swoista bierność polityczna obywatela nadreńskiej republiki. To właśnie zadecydowało, iż tamtejsze reakcje okazały się tak odmienne od tego, jak zachowywali się Francuzi, Anglicy czy Włosi.

Potwierdzona też, moim zdaniem, została specyfika polsko-niemieckich stosunków polegająca na tym, iż sprawy przeszłości przesłaniają często wydarzenia teraźniejsze. Widoczne jest to zarówno w ostrożnej postawie Genschera, jak i w inny sposób, w trudnościach CDU sformułowania własnej polityki polskiej.

Biorąc pod uwagę całą tę niemiecką specyfikę zapytać należy czy istota niemieckich reakcji na polskie wydarzenia nie leży gdzie indziej, niż dzieje się to w przypadku innych krajów zachodnioeuropejskich. Zaryzykowałbym sąd, iż mimo wszystko wydarzenia ostatnich lat silnie i w nowy sposób uzmysłowiły Niemcom nad Renem obecność polskiego sąsiada, dynamicznego i pełnego aspiracji, mimo poważnego gospodarczego kryzysu, społeczeństwa polskiego. Wydarzenia te mające też swoje miejsce w Gdańsku, Szczecinie czy Wrocławiu uzmysłowiły teraźniejszość i obecny kształt tego sąsiedztwa. Przez to też postawione zostały przed wieloma Niemcami, w tym również przed wieloma politykami wszystkich nurtów, nowe pytania o polsko-niemiecki dialog. Stał się on problemem nie tylko takiego, czy innego przewycięzania przeszłości. Stał się kwestią przyszłości związków obu narodów w środku Europy, przy czym wypukłone zostały współczesne i ważne dla Polaków realia tych związków. Jeśli istotnie tak jest, to jest to nie mało, choć na pełniejsze efekty owego oddziaływania trzeba będzie w polityce bońskiej jeszcze poczekać.

WŁODZIMIERZ BRUS

# Demokratyzacja a efektywność gospodarcza ( spojrzenie po dziesięciu latach )

Lektura po upływie niemal dziesięciu brzemiennej w wydarzenia lat, artykułu Stanisława Gomułki i mojej nań odpowiedzi, nasuwa mi przede wszystkim refleksję o wartości tolerancji. Polemika nasza nie była gwałtowna: zmierzała - tak przynajmniej uważałem wówczas i tak odczytuję to dzisiaj - do wyjaśnienia na czym polegają różnice poglądów, a konkluzje miały raczej charakter hipotez niż kategoriycznych stwierdzeń. Czytając teksty ponownie, pomyślałem, że dobrze się stało, gdyż odnoszę wrażenie, iż żaden z nas nie podpisałby się dziś pod swoim tekstem bez korekt. Moją rzeczą jest oczywiście auto-korekta - czyli podzielenie się z czytelnikami uwagami na temat stosunku, jaki zachodzi między obecnymi moimi poglądami, a tymi, które znalazły wyraz w artykule.

Od redakcji: - W roku 1975 ukazała się nakładem "Aneksu" książka Włodzimierza Brusa "Uspołecznienie a ustrój polityczny. Na tle doświadczeń socjalizmu wschodnioeuropejskiego". W dwa lata później kwartalnik "Aneks" /nr 15/ opublikował pod wspólnym tytułem: "Socjalizm i demokracja" cztery dyskusyjne wypowiedzi na marginesie książki Brusa. Najobszerniejsza i chyba bezspornie najbardziej zasadnicza była wypowiedź Stanisława Gomułki. Inni dyskutanci to Maria Hirszowicz, Leszek Kołakowski i Aleksander Matejko. Artykuł Gomułki "O czynnikach ekonomicznych w demokratyzacji socjalizmu i socjalizacji kapitalizmu" ukazał się również w przekładzie angielskim na łamach kwartalnika "Journal of Comparative Economics" /December 1977/. Odpowiedział nań również obszernie i zasadniczo, lecz dopiero w trzy lata później Włodzimierz Brus: "Political System and Economic Efficiency. The East European Context" /JCE, December 1980/. Po polsku ten tekst nie ukazał się. Być może dlatego, że w świetle burzliwych wydarzeń 1980-81 owa polemika mogła wydawać się nazbyt akademicka.

Dzisiaj, po dziesięciu latach, na prośbę naszej redakcji Autorzy powrócili do poruszanych wówczas wątków, które - jak się wydaje niewiele straciły na aktualności. Zmieniła się natomiast nieco optyka.

Włodzimierz Brus /rocznik 1921/był profesorem ekonomii politycznej w SGPiS, Instytucie Nauk Społecznych przy KC PZPR oraz UW. Pozbawiony tego stanowiska w marcu 1968 pracował przez pewien czas w Instytucie Gospodarki Mieszkańcovej. Od jesieni 1972 w Anglii. Obecnie profesor oksfordzkiego uniwersytetu oraz członek Wolfson College.

Stanisław Gomułka studiował na UW początkowo fizykę, a następnie ekonomię. W związku z udziałem w redagowaniu listu otwartego Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego /1965/ był represjonowany. Od 1968 r. w Danii, a następnie w Anglii. Obecnie starszy wykładowca/senior lecturer w London School of Economics.

Najważniejsza zmiana dotyczy zagadnienia, które właściwie nie było przedmiotem dyskusji, ale które pośrednio ma istotne znaczenie dla tematu. Chodzi o koncepcję zastąpienia "modelu centralistycznego" /nakazowo-rozdzielczego/ przez "model gospodarki planowej z zastosowaniem mechanizmu rynkowego", tak jak przedstawiłem ją w "Ogólnych problemach gospodarki socjalistycznej" /1961/ i powtórzyłem m.in., w ogólnym zarysie w książkach, na których opierał się Stanisław Gomułka. Na podstawie analizy przebiegu i dotychczasowych wyników reform gospodarczych w krajach "realnego socjalizmu", które dokonały zmian systemowych - a więc w Jugosławii, częściowo w Chinach, a przede wszystkim na Węgrzech - gdzie tzw. nowy mechanizm ekonomiczny opiera się na założeniach analogicznych do mojego modelu, i gdzie dokonano najwszechstronniejszej bodaj oceny jego działania - doszedłem do wniosku, że uzasadniona jest krytyka tego modelu co najmniej w trzech ważnych punktach.

Po pierwsze - nadmierne instrumentalna interpretacja stosunku planu do rynku. Ten ostatni miał wprowadzić w modelu rolę czynną, przede wszystkim jednak jako narzędzie planu; odwrotne oddziaływanie mechanizmu rynkowego na treść planu centralnego potraktowane zostało marginesowo, co w konsekwencji prowadziło do zachowania w zasadzie dawnej pozycji centrum w gospodarce.

Po drugie - pozostawienie w rękach centrum decyzji dotyczących podstawowych zagadnień inwestycyjnych, co w praktyce okazało się czynnikiem ograniczającym autonomię przedsiębiorstw również w działalności operatywnej. Brak rynku kapitału - kanałów przepływu oszczędności między przedsiębiorstwami oraz między przedsiębiorstwami a ludnością poza pionowym układem redystrybucji państwowej - przyczyniał się do ułomności rynku towarów i rynku pracy.

Po trzecie - milczące założenie, że reforma sektora państwowego dokonać się może przy zachowaniu dotychczasowej zuniifikowanej struktury własności. Problem ten nabiera ostrości zwłaszcza w związku z kwestią rynku kapitałowego, który zainteresowanie wzrostem wartości zasobów /nie zaś tylko bieżącymi dochodami/, jak np. w dobrze nawet funkcjonującym systemie bodźców z zysku/. Wiele przemawia za tym, że niepowodzenie proklamowanej w 1965 roku w Jugosławii deetatyzacji procesów inwestycyjnych i pewnej swobody poziomego przepływu kapitałów spowodowane zostało, m.in. przez to, iż indywidualny udział w ewentualnych korzyściach opiera się tam na członkostwie w kolektywie pracowniczym, a nie na trwałym i przenośnym udziale w wartości kapitału.

Nie tu miejsce na rozwijanie tej problematyki. Ważne z punktu widzenia tematu, jest głównie podkreślenie, że chociaż nadal uważam, iż zreformowana gospodarka nie może - z pragmatycznych, nie zaś ideologicznych względów - obejść się bez makroekonomicznego /a więc w tym sensie centralnego/ planowania, to dostrzegam obecnie konieczność zwiększonego zasięgu rynku, a także jakościowej zmiany jego roli w porównaniu ze wspomnianym uprzednio modelem: łączy się z tym - pomijany dawniej - postulat zmian w systemie własności państwowej, a przede wszystkim zastąpienie dominacji sektora państwowego przez gospodarke mieszaną, w której udział poszczególnych sektorów wynikałby z ich gospodarczej przydatności.

Na sprawę związków między systemem politycznym a efektywnością ekonomiczną różnica ta wpływa o tyle, że jednym z moich argumentów na rzecz większej roli czynnika politycznego w socjalizmie jest znacznie szerszy zakres państwowych decyzji gospodarczych, których baza informacyjna wymaga pluralizmu politycznego, których weryfikacja wymaga stosowania kryteriów politycz-

nych, i które wymagają realnej odpowiedzialności politycznej przed społeczeństwem. Jeśli więc obecnie przyznaję, że granice kompromisu między planem a rynkiem w prezentowanej przeze mnie dawniej konstrukcji reformy systemu ekonomicznego, zakreślone zostały dla rynku zbyt restryktywnie, czyli - innymi słowy - zakres podejmowania przez państwo decyzji gospodarczych powinien być większy niż sądziłem uprzednio, to tym samym siła tego argumentu słabnie, choć nie zanika całkowicie.

Następny punkt z rzędu tych, które skłaniają mnie dziś do większej wstrzeźliwości w ocenie pozytywnego wpływu demokracji życia politycznego na efektywność ekonomiczną, częściowo: ma związek z poprzednim, ale głównie opiera się na wnioskach z obserwacji postaw społecznych wobec państwa jako podmiotu gospodarującego w krajach o ugruntowanym pluralizmie politycznym. Chodzi o perspektywę postępującego zbliżania, czy w końcu nawet utożsamiania interesu osobistego z interesem społecznym, jeśli ten ostatni znajduje wyraz w decyzjach organów państwowych reprezentujących wolę większości i kontrolowanych przez instytucje przedstawicielskie w ramach pełnego zespołu swobód obywatelskich. A więc demokracja jako czynnik wytwarzający postawę współgospodarza w stosunku do znacjonalizowanych środków produkcji - wolność jako dobro produkcyjne, żeby posłużyć się formułą Władysława Bieńkowskiego. Związek z punktem poprzednim polega na tym, że demokracja polityczna jako konieczny warunek przezwyciężenia dychotomicznego podziału na podmioty i przedmioty decyzji państwowych /"oni" i "my"/ odgrywała w starym moim modelu rolę tak zasadniczą znowu ze względu na zasięg sektora państwowego i charakter planu, centralnego. Przesunięcie w kierunku gospodarki mieszanej, uruchomienie rynku kapitału itp. zmniejsza z natury rzeczy tę rolę. Ale, podkreślam, najważniejszym źródłem rosnącego sceptycyzmu w tej sprawie stała się lepsza znajomość stosunków społecznych w demokratycznych krajach Europy Zachodniej, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii. Niezależnie od charakteru rządów - socjalistycznych czy konserwatywnych /"burżuazyjnych"/ - trudno dostrzec postawę współgospodarza, czy też nawet proces kształtowania się takiej postawy, wobec znacjonalizowanych dziedzin wytwarzania, i to nie tylko ze strony szerokiej publiczności, lecz również ze strony zatrudnionych tam pracowników. Temat to rozległy i kontrowersyjny, który nie da się zbyt ogólnikami, a już na pewno nie rytualnymi zaklęciami o "jakościowych" różnicach między nacjonalizacją w kapitalizmie i socjalizmie.

Nie czuję się jeszcze przygotowany do sformułowania kategorię stanowiska, wydaje mi się jednak, że należałoby rozróżnić między postawą wobec polityki państwa, w tym polityki gospodarczej, a postawą wobec państwa jako zarządcy znacjonalizowanych środków produkcji. W pierwszym przypadku pluralizm polityczny stanowi istotny czynnik legitymizujący działanie rządu, a więc i wytwarzanie się poczucia społecznej współodpowiedzialności. W drugim - zależności są chyba zbyt złożone, by pluralizm polityczny sam przez się mógł zamienić przedsiębiorstwo "państwowe" w "moje" czy "nasze".

Jeśli chodzi o samorząd pracowniczy, który traktuje się niekiedy jako integralną część składową systemu demokratycznego /uzupełnienie demokracji politycznej przez demokrację gospodarczą/, to niezależnie od oceny jego funkcji efektywnościowej, jest to - moim zdaniem problem odrębny, którego powiązanie z pluralizmem politycznym widzę jedynie w tym, że bez pluralizmu nie ma warunków dla rzeczywistej samorządności.

Nie jestem pewny, czy wyszło to całkiem jasno tutaj, ale mam nadzieję, że kluczem do przekształcenia własności publicznej we własność społeczną sensu stricto jest demokratyzacja polityczna, wydaje mi się dzisiaj mniej przekonująca niż dawniej.

Wszystko to nie oznacza, że przypisuję obecnie mniejszą wagę do demokratyzacji politycznej jako czynnika racjonalizacji systemu gospodarczego w krajach "realnego socjalizmu". Wręcz przeciwnie. Doświadczenia ostatniej dekady wzmocniają, moim zdaniem sformułowaną w artykule tezę, że ciężar zmian politycznych wynika z "wąskich gardeł" charakterystycznych dla systemu, i że w krajach "realnego socjalizmu" takim węższym gardłem jest "ład monocentryczny" /według określenia Stanisława Ossowskiego; ja sam używam często określenia "monoarchia"/.

Dlatego też nadal nie mógłbym zgodzić się z przewidywaną przez Stanisława Gomułkę sekwencją procesów: najprzód rozwój ekonomiczny dzięki urynkowieniu gospodarki, a następnie dopiero - pod wpływem zmian w strukturze społecznej oraz w relacjach między popytem na dobra materialne i niematerialne /na korzyść tych ostatnich/ - prawdopodobny wzrost "potrzeby demokracji".

Przed dziesięciu laty mogło się wydawać, że Węgry stanowią pozytywny przykład podwójnie ograniczonej reformy gospodarczej: po pierwsze - ograniczonej do, mówiąc skrótowo, "modelu gospodarki planowej z zastosowaniem mechanizmu rynkowego"; po drugie - ograniczonej do aspektu czysto gospodarczego - przy zachowaniu podstawowych cech "monoarchii", mimo pewnej oktrojowanej liberalizacji, to jest odgórnego rozszerzania zakresu sfery uznanej przez elitę władzy za politycznie obojętną. W miarę upływu czasu słabły pozytywne elementy przykładu, a coraz wyraźniej występowały na jaw negatywne, dla których pożywką stawała się interakcja obu wymienionych wyżej ograniczeń. Podobnie w stosunku do Jugosławii wśród szeregu przyczyn przeciągającej się sytuacji kryzysowej - w tym również malejącej roli instytucji samorządowych i spadającego do nich zaufania - brak pluralizmu politycznego coraz częściej figuruje na czołowym miejscu we wnioskach analityków.

Świadomość politycznych uwarunkowań racjonalizacji systemu ekonomicznego upowszechnia się nawet wśród przywódców rządzących partii komunistycznych, czego najbardziej jaskrawym przykładem mogą być enuncjacje Gorbaczowa czy Jaruzelskiego, niezależnie od tego, że najwidoczniej chodzi im o ewolucję w ramach istniejącego systemu "kierowniczej roli partii", a więc o zmiany, które nie wróżą powodzenia w dążeniu do usprawnienia gospodarki.

Następujące czynniki składają się, według mnie, na ową zwiększoną rolę demokratyzacji politycznej w procesie przeobrażeń gospodarczych w krajach "realnego socjalizmu":

Po pierwsze - mimo postulowanego rozszerzenia zakresu rynkowej samoregulacji, znaczenie decyzji strategicznych podejmowanych na szczeblu centralnym, pozostanie doniosłe, a biorąc pod uwagę ogrom zadań - wzrośnie. Jakość tych decyzji i ich zgodność z uzasadnionymi aspiracjami społecznymi zależy niewątpliwie od stopnia otwartości szeroko pojętych przepływów informacyjnych, rzeczywistego wyboru między alternatywami, odpowiedzialności osób i organizacji politycznych za przyjęte koncepcje i sposób w ich realizacji. Konstrukcja systemu politycznego, który spełniałby choćby minimalne warunki tego typu, a także dróg przejścia doń od obecnej "monoarchii" - to sprawy skomplikowane. Każde jednak rozwiązanie obiecujące postęp musi opierać się na zasadzie pluralizmu w systemie politycznym, to jest dawać zarówno możliwość artikulacji interesów, jak i możliwość swobodnego zrzeszania się dla ich wprowadzania w życie.

Po drugie - reforma gospodarcza, jeśli ma być skuteczna, musi sięgnąć bardzo głęboko, głębiej niż to się dawniej wydawało. Nie obejdzie się przy jej realizacji bez ofiar, zwłaszcza w trudnej sytuacji wyjściowej. Z drugiej strony efekty zmian systemowych nie może być natychmiastowy. W tych okolicznościach zdobycie prawdziwego poparcia społecznego dla reformy wymaga mandatu zaufania dla tych, którzy ją głoszą /a doświadczenie jest pod tym względem złe/, oraz poczucia, że reforma gospodarcza stanowi część szerszego procesu upodmiotowienia społeczeństwa. Ani jedno, ani drugiego nie da się uzyskać bez demokratyzacji życia politycznego.

Po trzecie - ściśle gospodarcza treść reformy jest nie do urzeczywistnienia bez likwidacji istniejącego systemu politycznej kontroli działalności ekonomicznej przez monopolistyczną elitę władzy. Okazało się to nawet w przypadku ograniczonego wprowadzenia mechanizmu rynkowego - tym bardziej więc dotyczy postulowanej głębszej reformy, obejmującej nie tylko rynek towarów i /bardziej rozwinięty/ rynek pracy, lecz również rynek kapitału, różnorodność form własności w obrębie sektora państwowego, równouprawnienie spółdzielczości i sektora prywatnego, otwarcie w handlu zagranicznym i stosunkach walutowych. Nie ma tu miejsc na nomenklaturę, na drugą partyjną warstwę nadzoru nad organami administracji gospodarczej, a tym bardziej nad przedsiębiorstwami na arbitralne narzucanie - formalne bądź nieformalne - decyzji. Inaczej nie pomogą najbardziej nawet spektakularne reorganizacje centrum, likwidacja ministerstw branżowych, tworzenie banków komercyjnych itp. Przedsiębiorstwa nadal nie będą przedsiębiorstwami, ani rynek rynkiem.

Czy można sobie wyobrazić dobrowolną likwidację nomenklatury, partyjnego supernadzoru, praktyki narzucania decyzji przez rządzącą monopartię, która uświadomiłaby sobie wreszcie szkodliwość tego rodzaju mechanizmów? Sądzę, że taki akt samoabdykacji /nie chodzi tu rzecz jasną, o formalną deklarację/ jest nie tylko nieprawdopodobny, lecz po prostu niemożliwy bez pluralistycznej kontroli nad realnym funkcjonowaniem mechanizmów politycznych i ich sprzężeniem zwrotnym z życiem gospodarczym. Wiadomo, jak wiele luk z tego punktu widzenia ma wciąż nawet rozbudowana demokracja parlamentarna z jej wyrafinowanym systemem zabezpieczeń. Przy monopolu politycznym partii komunistycznej żadne zabezpieczenie przed nawrotem biurokratycznego nadzoru nad gospodarką nie istnieje i istnieć nie mogą.

Podsumowując: nadal uważam demokratyzację za podstawowy i nieodzowny czynnik zwiększenia efektywności gospodarki w krajach "realnego socjalizmu". Jednak główny akcent w argumentacji przesuwam z "górnjej i chmurnej" płaszczyzny dezalienacji na pragmatyczną płaszczyznę przesłanek dla radykalnego i konsekwentnego przeobrażenia systemu ekonomicznego. Problem szans realizacji tego rodzaju zmian systemowych i ich politycznych przesłanek - problem w praktyce niewątpliwie najważniejszy - pozostawił poza ramami dawnej wymiany poglądów, a więc pozostaje również poza ramami tej noty.

Włodzimierz Brun



STANISŁAW GOMUŁKA

# Demokratyzacja a reforma gospodarcza ( spojrzenie po dziesięciu latach )

Czytając na nowo nasze teksty sprzed dziesięciu lat oraz refleksje Włodzimierza Brusa na ten temat z perspektywy dzisiejszej, widzę jak bardzo zbliżyły się nasze poglądy. Największe bodaj zbliżenie dotyczy tego, jak wyobrażamy sobie pożądaną reformę gospodarczą. Chodzi tu w szczególności o rolę gospodarczą i w związku z tym o zakres i funkcje centralnego planowania. Model Brusa z lat 60-tych zakładał swobodę działania przedsiębiorstw i potrzebę istnienia konkurencyjnych rynków. Te właściwości modelu, podyktowane troską o mikroekonomiczną efektywność, czyniły go zasadniczo odmiennym od istniejącej wówczas rzeczywistości. Ale w modelu tym centrum miało w dalszym ciągu programować dość szczegółowo ogólnonarodowy rozwój gospodarczy i podział dochodu narodowego, a tylko realizować swoje plany inaczej, nie bezpośrednio przy użyciu biurokratycznego i, jak się okazało, mało efektywnego mechanizmu nakazowo-rozdzielczego, ale pośrednio, poprzez wykorzystanie odpowiednio regulowanych rynków. System regulatorów rynkowych miał służyć do tego właśnie, aby przedsiębiorstwa, w sumie, raczej niż każde z osobna, produkowały z grubsza to, co centralny plan uzna za właściwe.

W modelu Brusa centralny plan miał wyrażać preferencje społeczne, a nie po prostu życzenia centralnej władzy. Preferencje społeczne są często trudne do zidentyfikowania, a w przypadku istnienia wielu alternatywnych opcji opinie społeczeństwa mogą być bardzo podzielone. Tym niemniej w takiej gospodarce rola ekonomiczna demokracji politycznej byłaby niejako z założenia bardzo poważna. Demokracja ta musiałaby być prawdopodobnie nawet dużo bardziej rozwinięta i bezpośrednia niż demokracja parlamentarna typu zachodniego. W porównaniu z sytuacją większości rozwiniętych gospodarczo krajów zachodnich, w których państwo i "preferencje społeczne" odgrywają ważną, ale nie dominującą, rolę gospodarczą, taka rozwinięta "demokracja socjalistyczna" byłaby pożądana częściowo ze względu na większą potrzebę legitymizacji politycznej poczynań gospodarczych rządu, a częściowo ze względu na potencjalnie większe korzyści gospodarcze, jakie publiczna dyskusja i demokratyczny proces podejmowania decyzji mogłyby wtedy przynieść.

Różnica w naszej ocenie roli gospodarczej demokracji politycznej brała się częściowo właśnie z innej percepcji funkcji planu centralnego oraz stopnia dominowania w sferze gospodarczej preferencji społecznych nad preferencjami indywidualnymi. Wydawało mi się, że demokracja polityczna, z chwilą gdy się pojawi w krajach "realnego socjalizmu", sama ograniczy swoją potencjalną rolę gospodarczą, a to w ten sposób, że uczyni dominującymi preferencje indywidualne i w związku z tym decyzje mikroekonomiczne przedsiębiorstw będą decydować o ogólnej efektywności gospodarczej.

Z uwagi na tę przesłankę o samoograniczającej się roli gospodarczej demokracji, wydawało mi się pouczającym w ocenie zależności między demokracją a efektywnością, doświadczenie krajów o różnym zakresie demokracji, w których jednak rola rynku i preferencji indywidualnych jest wszędzie dominująca. W tym właśnie kontekście posługuję się przykładem Korei Południowej.

Kraj ten był poważnie zniszczony przez wojnę w latach 1950-53, ale pomimo to przez ostatnie 30 lat stał się terenem niezwykle szybkiego rozwoju gospodarczego. Ten szybki rozwój nie był sterowany centralnie, chociaż, jak prawie wszędzie w kapitalistycznym świecie, rząd południowokoreański odgrywał i dalej odgrywa dużą rolę w rozbudowie infrastruktury, oświaty i szkolnictwa wyższego, regulacji prawnej itp. Chociaż rząd ten miał zawsze jakąś bazę społeczną, to jednak był do lata 1987 powszechnie uznawany za formę dyktatury wojskowej. W Europie podobnym przykładem może być Hiszpania za rządów generała Franco. W obu krajach szybki rozwój gospodarczy prowadził do powstania dużej warstwy średniej. Warstwa ta okazała się z kolei bazą społeczną opozycji liberalnej i socjaldemokratycznej, której działania doprowadziły w końcu do demokratyzacji życia publicznego, pomimo poważnego administracyjnego i politycznego oporu ze strony dyktatur wojskowo-politycznych. Podobne procesy emancypacji obywatelskiej miały miejsce w ostatnich 10-ciu latach w Portugalii, Argentynie, Brazylii i na Filipinach.

Samo przedstawienie się na efektywną gospodarkę rynkową, z ograniczoną rolą centrum, może być jednak niemożliwe w warunkach braku demokracji. Ta właśnie myśl jest zmodyfikowaną wersją głównej tezy Włodzimierza Brusa. /Modyfikacja polega właśnie na przyznaniu centrum mniejszej roli/. Z perspektywy dziesięciu lat bardziej doceniam znaczenie tej tezy i ciężar argumentacji Brusa. Tym niemniej dalej sądzę, że takie przedstawienie się jest możliwe. Resztę uwag poświęcam temu tematowi.

System "realnego socjalizmu" ma szereg cech, które czynią go wyjątkowo odpornym na procesy demokratyzacyjne. W mojej dyskusji z Brusem nie tylko to zauważam, ale czynię z tej obserwacji istotną część argumentacji. W Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech wydarzenia mogłyby się rozwijać według scenariusza Brusa, to znaczy demokratyzacja polityczna mogłaby wyprzedzać i przyspieszać reformy gospodarcze, i w ten pośredni sposób /a także być może bezpośrednio/ sprzyjać efektywności gospodarczej. Byłby to scenariusz do pewnego stopnia odwrotny w stosunku do południowo-koreańskiego. Ale doktryna Breżniewa uzależnia demokratyzację w tych trzech krajach od szans demokratyzacji w ZSRR. W tym zaś kraju niezwykle rozbudowana i bezwzględna dyktatura komunistycznej elity ma w dodatku po swojej stronie długą historię brutalności państwa i podzięły narodowościowe. Pisałem o tym 10 lat temu i wydarzenia w Polsce w latach 1980-81 są tego nowym potwierdzeniem. Problemem głównym dla elity radzieckiej w tej chwili nie jest kryzys polityczny, ale głębokie trudności gospodarcze. Gorbaczow i jego koledzy wydają się coraz lepiej zdawać sobie sprawę z potencjalnie groźnych następstw tych trudności dla pozycji międzynarodowej ZSRR oraz pozycji wewnętrznej ich samych oraz ich partii. Pod presją tych założeń zdecydowano się na znaczne reformy gospodarcze, pomimo że towarzyszyć im musi poważna destabilizacja ideologiczna i polityczna. Reformy te podejmowane są jednak w imię utrzymania obecnego systemu politycznego, a nie w celu jego istotnej zmiany. W tej ocenie się nie różnimy. Ale według Brusa same zagrożenia, o których wspominałem wyżej, nie są dostatecznie silne, aby przełamać ogromne

opory polityczne i ideologiczne przeciwko takim reformom, które byłyby naprawdę skuteczne. W odróżnieniu od Korei Południowej, demokracja polityczna musi jego zdaniem także w ZSRR wyprzedzać w czasie sukcesy gospodarcze, które - zakładamy to obaj - będą sukcesami gospodarki rynkowej.

Moja krytyka tej tezy Brusa była zawsze ostrożna: jest raczej stanowiskiem sceptyka niż fundamentalisty. Teorie społeczne i materiał empiryczny, jakim dysponujemy, nie wykluczają, moim zdaniem, rozwoju wydarzeń w ZSRR zbliżonego do typowego w świecie kapitalistycznym bez tradycji demokratycznych. W swoim rozumowaniu zakładam, że wprowadzana obecnie w tym kraju reforma gospodarcza będzie miała charakter podobny do tych, jakie miały miejsce w Polsce i na Węgrzech. Takie ograniczone reformy były w dużej części realizacją modelu Brusa z lat 60-tych, o którym to modelu pisze obszernie w swoim artykule. Nie przyniosą one oczekiwanej poprawy z powodów, o których pisze sam Brus w swoich uwagach do naszej dyskusji. Wiele z tych powodów jest zresztą w Polsce przedmiotem interesujących analiz w publikacjach zarówno pierwszego jak i drugiego obiegu. Ale też w przypadku braku takiej poprawy za, powiedzmy, 10 lat, pojawi się na Kremlu pytanie: co robić dalej? Z tą chwilą zacznie się prawdziwa próba empiryczna mojej hipotezy, że są duże szanse iż Kreml zdecyduje się wtedy, a Polska i Węgry nawet wcześniej, na istotną radykalizację swojej reformy gospodarczej. W moim przekonaniu nie można wykluczyć, że podejmą one kroki w kierunku zasadniczego odpolitycznienia szczebla przedsiębiorstwa, znacznego rozszerzenia prywatnej działalności gospodarczej na wsi i w mieście, zwiększenia konkurencyjności rynków, w tym rynku pracy i rynku kapitałowego, zaakceptują pewne otwarte bezrobocie i wprowadzą zasiłki dla bezrobotnych, zmniejszą radykalnie dotacje i zaakceptują nie tylko de iure, ale również de facto usuwanie nierentownych przedsiębiorstw.

Chińczycy już teraz zdecydowali się na reprivatyzację rolnictwa i dużej części sektora usług. Masowa reprivatyzacja rolnictwa w ZSRR jest w tej chwili nieprawdopodobna, ale nie wykluczyłbym jej w dłuższym okresie czasu. W międzyczasie będzie się szukać dla rolnictwa rozwiązań zastępczych.

Pod względem ideologicznym następuje już od jakiegoś czasu proces socjaldemokratyzacji partii komunistycznych, nie tylko w Europie Zachodniej, ale także tych znajdujących się przy władzy. Proces ten reformy gospodarcze w ZSRR i Chinach silnie przyspieszyły.

W latach 70-tych model gospodarczy Brusa z lat 60-tych był nie do strawienia dla tych partii. Dzisiaj partie te już na ogół akceptują ekonomiczną część tego modelu, chociaż prawdą jest, że jeszcze nie dojrzały do poglądów ekonomicznych Brusa z lat 80-tych.

Pomimo tych zmian elity komunistyczne będą, moim zdaniem, kurczowo zabiegać o utrzymanie się u władzy na szczeblu ogólnokrajowym. W imię tego zasadniczego celu są i będą, jak przypuszczam, dalej skłonne oddawać pozycję po pozycji w sferze gospodarczej, szczególnie mikroekonomicznej. Taka strategia ma określone koszty i zyski. Po stronie zysków są nie tylko korzyści czysto gospodarcze. Decentralizacja ekonomiczna stwarza bowiem zajęcie dla jednostek pomysłowych i z talentem organizacyjnym, daje obszar do zagospodarowania dla nowej warstwy średniej, ważny cel zastępczy dla niej wobec politycznej demokratyzacji. Reformy gospodarcze w krajach "realnego socjalizmu" widzę więc także jako reakcję obronną ze strony władzy komunistycznej, ofiarę tej władzy na ołtarzu historii złożoną społeczeństwu na drodze do jego obywatelskiej emancypacji.

O kosztach politycznych radykalnej reformy nie będę pisał, bo są one dobrze znane. Głównie chodzi tu o zmniejszenie roli nomenklatury partyjnej na szczeblu przedsiębiorstwa oraz o polityczne koszty negatywnych zjawisk towarzyszących gospodarce rynkowej. Koszty te w ZSRR mogą być prawdopodobnie zaakceptowane tylko na zasadzie mniejszego zła i pod warunkiem, że będą absorbowane stopniowo, na każdym kroku ich niezbędność do utrzymania się przy władzy i zachowania pozycji wielkomocarstwowej poddawana będzie empirycznej próbie.

W Polsce 1981, na Węgrzech 1956 czy w Czechosłowacji 1968, elity komunistyczne nie były ani politycznie zmuszone ani ideologicznie przygotowane do złożenia ofiary, o której mówię wyżej. Gdyby nie Armia Czerwona, to elity te nie miałyby też czasu na takie przygotowanie. Autonomiczne ruchy społeczne w tych krajach nie zadowolilyby się tylko reformami gospodarczymi. W związku z tym reformy te następowałyby prawdopodobnie równolegle z głębokimi reformami politycznymi, tak jak to sugeruje Włodzimierz Brus. Ale elita radziecka może mieć dostatecznie dużo czasu na radykalne reformy gospodarcze podejmowane w rezultacie ewolucyjnego dostosowywania jej doktryny i polityki do rozlicznych presji gospodarczych i politycznych, wewnętrznych i zewnętrznych, zanim kiedyś zostanie w końcu zmuszona do poddania się kontroli społeczeństwa i do radykalnej reformy instytucji politycznych. W moim przekonaniu nie ma naprawdę dobrych powodów, aby nie brać takiej możliwości pod uwagę.

Refleksje swoje chciałbym zakończyć nawiązaniem do dwóch tematów może nie centralnych, ale też nie całkiem peryferyjnych, w mojej debacie z Brussem, a poza tym szeroko w tej chwili dyskutowanych w Polsce - mianowicie reform politycznych Gorbaczowa i roli własności państwowej oraz ideologii socjalistycznej jako czynników hamujących reformy gospodarcze.

Gorbaczow wyraźnie zaskoczył wielu obserwatorów na świecie. W tym m.in. mnie, silnym poparciem tezy zbliżonej do poglądów Brusa, że polityczna demokracja /czy też demokratyzacja/ jest w ZSRR warunkiem wstępnym i koniecznym efektywnej reformy gospodarczej. Przywódca radziecki otwarcie zauważa, że urynkowanie gospodarki i inne proefektywnościowe zmiany naruszają interesy wielu wpływowych grup społecznych, i że wobec tego mogą być przez te grupy blokowane lub spłycone. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że linie podziału interesów, o których mówi Gorbaczow, przebiegają zarówno wewnątrz komunistycznej partii jak i wśród bezpartyjnych, a nie między komunistami i bezpartyjnymi. Dzięki temu Gorbaczow może zabiegać i zabiega o aktywne poparcie swojego kursu w ten sposób, że zachęca wszystkich jego zwolenników do otwartego ujawniania się i przejmowania /większej/ władzy w partii i państwie.

Taka polityka zagraża interesom wielu indywidualnych ludzi, ale nie musi zagrażać systemowi politycznemu jako całości. Ograniczoną demokrację polityczną a'la Gorbaczow rozumiałbym po prostu jako instrument kierowanej odgórnie i ostrożnie przebudowy gospodarki w ramach jednopartyjnego systemu. Przebudowa taka może oczywiście pobudzić nadmierne oczekiwania poza komunistyczną elitą, jak to było np. podczas wiosny praskiej 1968 czy w Chinach roku 1986, a także budzić podejrzliwość czy nawet wrogość wśród części komunistycznej partii. Ale komuniści w ZSRR mają tak doominującą pozycję w kraju, że większość z nich prawdopodobnie nie widzi jakiegos poważnego zagrożenia politycznego tej pozycji w istotnych, ale jednak ograniczonych i ostrożnych reformach Gorbaczowa, widząc natomiast poważniejsze niebezpieczeństwo w inercji czy jeszcze większej centralizacji.

Kurs na marginesowe reformy polityczne i początkowo ograniczone, ale z czasem być może, całkiem radykalne reformy gospodarcze uważam zatem za trwałą, niezależnie od losów politycznych samego Gorbaczowa. Na dłuższą metę, równoległe z radykalizacją reform gospodarczych, nie wykluczałbym też utworzenia drugiej partii komunistycznej w ZSRR. Gorbaczow podobno już teraz mówi o takiej możliwości, chociaż nie sądzę, aby sam zainicjował lub pozwolił na taki krok. Dopiero to miałyby istotne konsekwencje polityczne dla całego obozu.

Dla nowej generacji przywódców komunistycznych w ZSRR, Chinach i Europie Wschodniej, upatrujących w reformach gospodarczych źródła do podtrzymania swojego panowania, ideologia socjalistyczna i własność państwowa są tymi czynnikami, które ułatwiają opór przeciwko reformom ze strony części biurokracji partyjno-rządowej oraz mniej ekonomicznie aktywnej części społeczeństwa.

W krajach zachodnich, w szczególności w Wielkiej Brytanii, zauważyć można dużą różnicę efektywności między sektorem państwowym i prywatnym. Pracownicy w przedsiębiorstwach państwowych mają na ogół większe podstawy do oczekiwania pomocy finansowej ze strony rządu w razie zagrożenia istnienia ich działalności gospodarczej przez konkurencję. To większe oczekiwanie "miękkiego finansowania" ma ujemny wpływ na intensywność pracy i zapobiegliwość innowacyjną nawet /czy także/ w warunkach gospodarki rynkowej. Oczekiwania takie rosną w przypadku gdy jest przy władzy partia otwarcie głosząca potrzebę silnego upolitycznienia sfery działalności gospodarczej w imię uzyskania określonych, skądinąd pożytecznych, celów społecznych, takich jak np. pełne czy wysokie zatrudnienie.

Powszechność własności państwowej w Europie Wschodniej i ZSRR stwarza okazję do takiego upolitycznienia, a ideologia socjalistyczno-komunistyczna dostarcza niezbędnej do tego celu motywacji ideowej. Taka kombinacja możliwości i motywu jest obecna w krajach "realnego socjalizmu" w takim zakresie, że jest tam, sądzę, ogromnym obciążeniem na drodze do skutecznych reform i chyba byłaby takim /jeśli nie większym/ obciążeniem nawet w warunkach demokracji politycznej.

Stanisław Gomułka

Londyn, 5-go lipca 1987

JANUSZ JANKOWIAK

# Dekret

1.

Jedynie nieliczni wiedzą i pamiętają, że u zarania prawnego systemu cenzury rewolucyjnej w Polsce powojennej legła zasada tymczasowości. Została ona, na wieczne czasy, wpisana w mowę posła-sprawozdawcy, Henryka Dzendzela, który "miał zaszczyt" uzasadniać wniosek o powołanie Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Działo się to w czwartym dniu obrad XI sesji Krajowej Rady Narodowej, 23 września 1946 roku.<sup>1/</sup>

Poseł Dzendzel mówił: "W okresie powojennym, szczególnie w dobie obecnej, gdy tak krajowe jak i zagraniczne czynniki antydemokratyczne starają się szkodzić życiu naszego Państwa urząd taki jest nie tylko potrzebny, ale i konieczny."<sup>2/</sup>

Poseł nie ukrywał, że nie należy przywiązywać nadmiernej wagi do dyskusji, jaką jego sprawozdanie może wywołać. Chodziło bowiem jedynie o rutynowe zatwierdzenie przez KRN dekretu, który został już ogłoszony i obowiązywał, formalnie, od 5 lipca 1946.

Oczywiście nie znaczy to bynajmniej, że przed 5 lipca nie było cenzury. Była, ale nieformalna. Działała bez jakichkolwiek podstaw prawnych, podporządkowana początkowo Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, a od 15 listopada 1945 - Urzędowi Rady Ministrów.

Stąd dość trudno powiedzieć, co miał na myśli sprawozdawca Dzendzel, informując Wysoką Izbę, że "dekret, dotyczący Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, legalizuje stan faktyczny, podporządkowując ten Urząd Prezesowi Rady Ministrów." Chodziło o legalizację stanu sprzed 5 lipca '46 czy też jedynie po 5 lipca?

Wszelkie ustawy czy dekryty o cenzurze rewolucyjnej w krajach monopartii godzą zawsze w mniejszość twórców, dziennikarzy, redakcji, wydawnictw. Większości są one zupełnie obojętne. Niektórzy sądzą, że protesty tej mniejszości są w ogóle bez znaczenia, ponieważ między aktywnością cenzury a ustawowym zapisem jej "praw i obowiązków" zachodzi dość wątki zbieżność. Znacznie bardziej oczywista jest zależność cenzury od stabilności władzy politycznej.

U źródła kampanii o wolne słowo w Polsce powojennej leżała zażarta - i powiedzą niektórzy mało istotna - walka mniejszości w Krajowej Radzie Narodowej. Epizod ten warto przypomnieć bez względu na to, czy walkę tę oceniać będziemy entuzjastycznie, czy raczej skłonni byłibyśmy ją bagatelizować.<sup>3/</sup>

2.

Polskie Stronnictwo Ludowe musiało występować przeciwko cenzurze. Gazeta Ludowa, jedyny dziennik stronnictwa, ulubiony obiekt napaści ze strony "stronnictw zbiokowanych", była niszczone przez cenzurę w sposób straszliwy. Między listopadem '45 a listopadem '47 zanotowała przeszło 4 tys. konfiskat. Czytelnik

mógł nie mieć o tym pojęcia. Cenzura nie zostawiała żadnych śladów.

Bywały ingerencje poważne: dotyczyły przemówień posłów do KRN, komunikatów partyjnych, oświadczeń, znaczącej publicystyki, mnóstwa wiadomości z kraju i zagranicy. Zdarzały się i konfiskaty śmieszne, jakby dla żartu, który jednak wcale żartem nie był; cenzor potrafił ingerować w opisy natury: "zimną przyroda pokryła się królewskim płaszczem" - bo jeden wyraz tutaj źle się kojarzył

Redaktorzy prasy PSL-owskiej nigdy nie mogli być pewni co im puszcza, a czego już nie. Z biegiem czasu puszczali zresztą coraz mniej. Pod koniec '45 roku i w pierwszych miesiącach '46 zdarzały się jeszcze informacje, których próżno szukać w następnych numerach pism PSL.

Dzisiejszy czytelnik tych gazet zauważy również, że ręka cenzora stawała się lżejsza, bądź cięższa, w zależności od stylu informacji, a dopiero później treści. Dziennikarze uciekali w drwinę, ironię, komedię prawie i wtedy wychodziło, udawało się zamieścić wiadomość o bezprawiu, jeśli brzmiała ona np. tak: "Niniejszym kwitujemy odbiór byczka /roczniaka/ dla Komitetu Powiatowego Polskiej Partii Robotniczej /na kurs pol.-wych./ Sierpc, dn. 21.10.1945 r. sekretarz /-/ J. Wiórkowski." Redakcyjny dopisek do tego autentycznego dokumentu rekwizycji, który nadesłał do gazety Ludowej Józef Ziemiński ze wsi Glinki, stawiał pytanie: co też porabiał byczek-roczniak na kursie pol.-wych.?

Nie wszystko jednak było wtedy takie śmieszne. Ludzie tracili nie tylko byczki. O tych rzeczach nie dało się pisać wesoło. Nie dało się w ogóle pisać.

Jeszcze inaczej radzono sobie z gwałtami i bezprawiem sojuszniczej Armii Czerwonej. Jeśli w ówczesnej prasie znajdujemy jakieś wiadomości o bandyckich napadach pijanych żołnierzy radzieckich na ludność polską /wcale nie są to informacje rzadkie w roku '45/, to wiadomo, że w komunikacie musiało znaleźć się zdanie o dezerterach z faszystowskim rodowodem itp.

Podobnie próbowano porozumiewać się z czytelnikiem serwując mu cytaty. Na przykład taki, z wystąpienia Cyrankiewicza /sala łomy, listopad '45/: "Jeżeli ktoś jest tak integralnym demokratą, że liczy na wynik wyborów w Polsce, musimy mu powiedzieć - ostrożnie!". Takich cytatów z przemówień Gomułki, Cyrankiewicza, Minca, Osóbki-Morawskiego, Zambrowskiego i wielu innych, znajdujemy w prasie PSL-owskiej bez liku. Zastępowały one redakcyjny komentarz. Tak się wtedy pracowało w prasie opozycyjnej.

Posłowie PSL niejednokrotnie występowali w KRN przeciw cenzurze. Robili to jednak jakby mimochodem, przy omawianiu innych spraw. Te ich "wycieczki", w przeciwieństwie do innych głównie tych pod adresem Bezpieczeństwa, można z reguły odnaleźć w gazetach.

Najważniejszą batalię z cenzurą przyszło PSL-owi stoczyć również mimochodem. Ostatnia, XI, sesja KRN odbywała się w nieszczególnej atmosferze politycznej - po referendum a przed wyborami. Z PSL-em już się nie patyczkowano. Wściekle ataki prasowe i te z ław KRN nie były merytoryczną polemiką, walką partii politycznych, lecz jedynie nagonką, preludium dla policyjnych represji.

Na tej właśnie sesji, poprzedniego dnia, zatwierdzono projekt ordynacji wyborczej, co spowodowało konstrucyjne opuszczenie ław poselskich przez klub PSL. Wielu podziewało się zapewne, że posłowie PSL nie powrócą już na tę salę. A jednak wrócili. Tego dnia zatwierdzono lub uchwalono 36 dekretów. Wśród nich, jako ostatni akord mającej się ku końcowi walki politycznej, również dekret o cenzurze.<sup>4/</sup>

3.

W imieniu klubu poselskiego PSL przemawiała Hanna Chorażyna. Wskazała, że dekret sprzeczny jest z konstytucją marcową z 1921 roku, która w artykule 105 stanowiła: "poręcza się wolność prasy, nie może być wprowadzona cenzura ani system koncesyjny na wydawanie druków." Posłanka przypominała, że Manifest Lipcowy zapośredniczył obowiązywanie podstawowych założeń konstytucji marcowej aż do czasu zwołania sejmu ustawodawczego. "Pytam się - mówiła Chorażyna - czy wolność słowa nie jest podstawowym założeniem konstytucji?"

"Udowodnienie sprzeczności niniejszego dekretu z konstytucją w każdym praworządnym państwie, za jakie i my chcemy się uważać, jest wystarczającym argumentem do uchylecia zatwierdzenia dekretu."

Chorażyna przypominała umowę moskiewską w sprawie powołania Rządu Jedności Narodowej. "Wszystkie stronnictwa, w skład koalicji wchodzące, mają pełną swobodę pracy organizacyjnej, zgromadzeń, prasowej i propagandy w myśl swych programów i statutów."

Posłanka wspominała, że cenzura działa już od dawna i skomentowała to w następujący sposób: "Ja tłumaczę to sobie i rozumieciem wstydlivość wnioskodawców, żeby w jawny sposób, nie tylko jak dotąd drogą praktyki, ale drogą sktu prawnego naruszyć zasadniczy przywilej demokracji. /Oklaski na ławach PSL./ Biorę tu za odruch skrupułów, ale czyżby tuż po przeprowadzeniu referendum sumienie nasze już stępiało w większym stopniu?"

Jak wiadomo PSL było przez "stronnictwa zablokowane" oskarżane początkowo o tolerowanie, brak potępienia, a następnie już o sprzyjanie i współpracę ze zbrojnym podziemiem. Współpraca ta polegać miała głównie na tym, że uczestnicy "band zbrojnych" byli równocześnie członkami PSL. Pewnie bywało i tak. Wszelkie jednak sprostowania nieprawdziwych informacji na ten temat, kolportowanych przez prasę PPR, były - na wszelki wypadek - konfiskowane przez cenzurę. Chorażyna podawała przykłady. Stwierdziła, że cenzura nie tylko skreśla, ale również redaguje gazety. Zaprotestowała przeciw cenzurowaniu przemówień poselskich, podając przykłady z obecnej sesji KRN.<sup>5/</sup>

Chorażyna wspominała, że zezwoleń na wydawanie pism udziela Główny Urząd Kontroli, i zapewne dlatego ukazuje się ponad 50 dzienników "prasy zablokowanej" i jeden dziennik PSL, a wszelkie starania zakończyły się dotąd niepowodzeniem. Cenzura nie pozwoliła nawet na gospodarcze pismo kobiece, które - mówiła posłanka - "chyba nie grozi ani ustrojowi państwa, ani naruszaniu tajemnic państwowych, chyba tylko tym, że mogłoby służyć celom wychowania moralnego i kultury polskiej, a na to monopol chce mieć PPR. /Oklaski na ławach PSL./"

Swoje wystąpienie Chorażyna zakończyła apelem: "Jeszcze raz odwołuję się do tych wszystkich, którzy chcą widzieć w Polsce poszanowanie prawa opartego na konstytucji i poszanowaniu swobód obywatelskich - o odrzucenie wyżej wymienionego dekretu".

Jak PSL rozegrało sprawę cenzury? Czy wystąpienie Chorażyny było politycznym błędem, jeśli przez politykę rozumieć sztukę skutecznego działania?<sup>6/</sup>

Bywają takie chwile, gdy niczego już nie da się osiągnąć, bez względu na ton wypowiedzi. Czy można było spodziewać się, że w tamtych warunkach mniejszość PSL-owska zdoła wstrzymać dekret o cenzurze, próbując przekonywać większość posłów w KRN argumentami i wyważonymi komentarzami? Wolne żarty. Pamiętajmy, że 26 września, dwa dni po zakończeniu tej sesji, Rada Ministrów pozbawiła obywatelstwa polskiego generała Andersa i 75 innych



oficerów polskich, dokonując jednego z najhaniebniejszych czynów w dziejach powojennej Polski przy wtórze propagandowych fanfar. W grudniu zaś tego roku, już znacznie ciszej, ale bardzo skutecznie, odcięto jawny dopływ do kraju prasy niecenzurowanej, wydając zakaz wwożenia do Polski ponad 50 tytułów pism emigracyjnych.

Uzasadnione natomiast wydają się inne pretensje do wystąpienia Chorażyny. Otóż nie jest ono w pełni klarowne. Idzie o rzecz dość istotną: czy mianowicie PSL było w ogóle przeciw cenzurze, czy też jedynie przeciw nadużyciom cenzury? Z przemówienia Chorażyny trudno to wnioskować. Pryncypialne przewożenie konstytucji marcowej wskazywałoby na tę pierwszą ewentualność. Z kolei jednak zarzuty pod adresem cenzury - raczej na tę drugą. Niejasność spostrzegł bystrzy posłowie "zblokowani". Swymi atakami, jak zobaczymy, zmusili oni PSL do sprecyzowania stanowiska. I nie było to, jak może niektórzy sądzić do dziś, stanowisko tak szalenie pryncypialne.

Cóż, tak naprawdę dekret o cenzurze ważył już bardzo mało na szali politycznego być, albo nie być. A jednak stał się dla PSL w jakiś sposób istotny. Trudno rozstrzygnąć w jakiej mierze było to zamierzone, ale PSL-owi udało się wywołać do tablicy zwolenników cenzury. Zmuszono ich do mówienia. Dla nas, dla dzisiejszych czytelników stenogram obrad KRN, te właśnie wystąpienia "wywołanych" są szczególnie cenne. Jak można bronić cenzury? Popatrzmy na tych demokratów: pisarzy, dziennikarzy, polityków, posłów do parlamentu, którzy w swym ślubowaniu zapewniali, że będą "według najlepszego mego rozumu i zgodnie z sumieniem rzetelnie pracować dla dobra narodu Polskiego, stać na straży jego praw demokratycznych i czynić wszystko w miarę swoich sił i uzdolnień dla umocnienia niepodległości i pomyślnego rozwoju Rzeczypospolitej". Popatrzmy jak pracowali.

4.

Serię rozpoczął członek Stronnictwa Ludowego, dziennikarz, redaktor Dziennika Ludowego, Aleksander Kubicki.

Rozpoczął tak: "Muszę wyrazić pod adresem Głównego Urzędu Kontroli Prasy żal, że tak dużo puszcza w Gazecie Ludowej na szkodę demokracji. /Oklaski. Głos na ławach PSL: Demokrata!/"

Następnie poseł Kubicki podawał czego w prasie PSL być nie powinno. Na przykład tego, że SL wbija nóż w plecy PSL-owi. "To jest hańba i cenzura nie powinna puścić tego". Albo, że w gazecie Głos Polski, wydawanej w USA, ukazała się fotografia Mikołajczyka z podpisem: "Sztandarowy mąż wolnych Polaków", co poseł skomentował: "Ja mam wrażenie, że my wszyscy jesteśmy wolni w Polsce, natomiast śmiem wątpić, czy ten tytuł przysługuje obywatelowi Mikołajczykowi. Chłopi inaczej sądzą".

Cenzurowanie gazet amerykańskich było jednak, trzeba przyznać, przesadnym żądaniem pod adresem cenzury polskiej. Kubicki wolał więc wrócić na pewniejszy grunt. "Pamiętamy Gazetę Ludową jako obrońcę Franco-faszystowskiej Hiszpanii... Dlaczego cenzor to puszczał? My mamy żal do cenzora, że bronił jeszcze faszystwu".

Poseł Kubicki, pamiętajmy, był dziennikarzem. Mówił: "Obywatele! Ja miałem ciężkie przeżycia z cenzurą jako redaktor jednego z pism codziennych, ale muszę stwierdzić, że cenzura bardzo po przyjacielu i życzliwie w nawale pracy dziennikarskiej, w natężeniu tempa, w trudnych warunkach technicznych, często przychodzi z pomocą i niejednokrotnie wiele ułatwia, ścinając takie fakty, za które powinno się być wdzięcznym nazajutrz na trzeźwo. Mam wrażenie, że pomoc ta dla PSL jest bardzo duża i że redaktorzy z Gazety Ludowej powinni być wdzięczni za to, że cenzura broni ich przed kompromitacją. /Oklaski/. Że tak jest

tego najlepszym wyrazem będzie proces dziennikarzy, jaki w najbliższym czasie okaże oblicze właściwe Gazety Ludowej".

Trudno dokładnie stwierdzić jaki proces miał na myśli poseł red. Kubicki. Dodajmy więc dla jasności, że już wówczas aresztowany był redaktor naczelny krakowskiego Piasta, Karol Buczek, i dwaj inni współpracownicy tego pisma. W dwa dni po wystąpieniu Kubickiego, 25 września, UB przeprowadził rewizję w wydziale prasy i propagandy PSL w Warszawie. Aresztowano redaktora komunikatu wewnętrznego stronnictwa, 11 października za kratki powędrował szef tego wydziału, Kazimierz Bagiński, i kilku jego współpracowników. 16 października siedział już także naczelny Gazety Ludowej, Zygmunt Augustyński /proces w lipcu '47, wyrok 15 lat, za szpiegostwo, oskarżał Zarako-Zarakowski/, i wielu redaktorów. Aresztowany był w tym czasie również naczelny poznańskiej Polskiej Ludowej.

Miał więc rację poseł Zygmunt Załęski, który komentując to przemówienie powiedział, że "człowiek się otrząsa z obrzydliwości".

Edward Ochab, podobnie jak Władysław Bieńkowski, znany był ze stylu swych przemówień, jedności pewnych okrośleń. Nie zawiódił i tym razem. Ochab powiedział, że to niegodne, aby w obronie demokracji, wolności słowa, wypowiadało się stronnictwo, "którego cała dotychczasowa działalność jest wyraźnym pogwałceniem, a przynajmniej próbą obejścia naszych praw demokratycznych, sobiepańskim nadużywaniem wolności słowa nawet wbrew podstawowym interesom Państwa".

Wszyscy przecież wiedzą do czego zmierza, o czym marzy, w czym interesie działa PSL. Dalej Ochab zapewniał, że praw demokratycznych "broniemy /.../ dla demokratów, a nie dla wrogów ludu. /Oklaski/"

" /.../ Dzień w dzień padają trupy na naszej wolnej od okupanta ziemi, padają; te trupy od kainowych kul band leńnych związanych ściśle z wieloma ugrupowaniami PSL. Większość pomordowanych stanowią chłopci, a większość pomordowanych chłopów stanowią chłopci pepeerowcy /.../" Mówcy przerywano, ale zdołał zakończyć wywód oskarżeniem pod adresem PSL i jego prasy, że patrzy na to z obojętnością.

Ochabowi wpadł w słowo Stanisław Bańczyk, pytając: "Dlaczego ONR i Piasecki mają prawo wydawania w Polsce pism?"

"Nie ma przeszkód - replikował przytomnie Ochab - aby Pan wszedł na trybunę i zabrał głos, ale niech się Pan rozglądnie po swojej redakcji /chodzi o Gazetę Ludową - przy.aut./, to może Pan znajdzie ludzi stojących blisko ONR. /Oklaski na ławach PPR/"

Następnie, w telegraficznym skrócie, Ochab przedstawił zgubne skutki demokracji na przykładzie Republiki Weimarskiej, która właśnie przez nadmiar demokracji doszła do faszyzmu. Był to ulubiony przykład mówców ze "stronnictw zablokowanych". Tym razem wszakże Ochab zdołał, posługując się tym szablonem, dokonać rzeczy dość zdumiewającej, nawet jak na tamte czasy.

"Nadużywanie wolności słowa przez prasę faszystowską jest groźne. Ja nie chcę powiedzieć, że prasa PSL jest prasą faszystowską, ale to, co robicie Panowie, ta linia polityczna Waszej prasy, to już jest torowanie drogi faszystom."

Dotyczy to również posłów PSL, ich przemówień w KRN, które są "powtórzeniem postulatów podziemia faszystowskiego w formie kulturalnej, że tak powiem, ale w gruncie rzeczy podstawowe ich tezy były z tej trybuny rzucone /Przerywania, przewodniczący dzwoni/"

"Panowie z PSL narzekają bardzo na cenzurę. Przecież cenzura w Polsce nie jest oderwana od całokształtu naszego życia, od

całokształtu naszych rządów. Wy narzekacie nie tylko na cenzurę. Wam nie podoba się nasz system rządów, Wam nie podoba się władza ludowa, władza robotnicza. Wam marzy się inna, burżuazyjna władza. Dlatego tak mile są przez Was widziani Byrnesowie i Churchillowie, dlatego oglądacie się za pomocą zagranicy, aby Was protegowania, ale naród polski inaczej podchodzi do tego zagadnienia./.../

Proszę Wysokiej Izby, wydaje mi się, że Panowie, którzy przemilczacie niebezpieczeństwa grożące narodowi polskiemu, którzy staracie się dzień za dzień zohydzać ogromny dorobek narodu, którzy dla podjętej walki i gigantycznej pracy dokonanej przez nasz naród nie macie nic innego jak tylko grymas i drwiny - nie macie nawet cienia moralnego prawa występowania w obronie praw demokratycznych, że Panowie zeszlście dawno z drogi demokracji i Wasz język, choć operujecie frazesami o chłopach, jeżeli się zbliża do jakiegoś języka pseudo-chłopskiego, to chyba tego, którego używała Heimwehra. Zdaje się, że byłoby bezcelowym przekonywać posłów z PSL o tym, że ich pretensje nie mają uzasadnienia, że prawa demokratyczne muszą służyć interesom demokracji, tej demokracji toczącej zaciętą walkę z wrogami. Wy tutaj twierdzicie, że wieś się przygląda, ale rozejrzyjcie się po wsi i zobaczcie, ilu tam leży chłopów popeerowców, pomordowanych przez Waszych wspólników. Nie macie prawa mówić o wolności słowa, to moim zdaniem i tak zbyt dużo wolności zostawia się PSL-owi. /Oklaski na ławach PPr i SL/.

Jeden z Waszych przedstawicieli użył słów "doktrynerski despotyzm" pod adresem wielkiego Związku Radzieckiego, który wyzwolił Polskę i umożliwił tego rodzaju prowokacyjne wystąpienia w polskim języku. Nie przemawiałbyście bowiem z polskiej tribuny w polskim parlamencie! Mówicie o zawodowych najemnych rewolucjonistach. Przez kogo najemnych? Kiedyś faszyci mówili to jasno, zapytajcie się Waszych redaktorów z dawnych piśmideł faszystowskich. /Oklaski na ławach PPr i SL/.

Należy się domagać od Urzędu Kontroli, by prawa demokratycznego o wolności prasy nie traktować abstrakcyjnie, nie dopuszczając do hulania jaśniepańskiego, rozwydrzonego słowa dziennikarskiego, które nie służy interesom demokracji...

Głos: - A PPr!

...a podziemia faszystowskiego" - zdołał zakończyć zdanie Ochab. "Ja sądzę, że zbyt cennym jest dyskutować z Panami. Sądzę, że w niedalekiej przyszłości naród polski swobodnie w wyborach da Wam odpowiedź, jak ją daje codziennie dla historii stronnictw demokratycznych. Kiedyś będzie nasz naród, przyszłe jego pokolenia, uczyć się na tych wspaniałych kartach historii i nie będą mogli nawet pojąć, że znajdowało się kierownictwo, które próbowało pluć na ten wielki dorobek narodowy, straciło poczucie godności narodowej i nie widzi nic wielkiego w naszych pracach. Wtedy nie wspomni się o waszych protestach" - snuł niespełnione proroctwo Ochab - "historia z uznaniem będzie podkreślała, że nasz naród zwyciężył w ciężkich chwilach dlatego, że prawa demokratyczne uznawał tylko dla demokracji, a nie protektorów podziemia faszystowskiego. /Oklaski na ławach PPr i SL/".

Wydawało się, że trudno już chyba bardziej oddalić się od dyskutowanego ponoc dekretu o cenzurze. A jednak kolejny mówca, ośmielony widać przykładem Ochaba, zdołał to uczynić.

Aleksander Kaczocha-Józewski poinformował, że koledzy z PSL nic nie rozumieją, popełniają cały szereg błędów, które "przyprowadzają ich o walenie głową w mur, po to, żeby z tego nic nie wyszło, bo tylko utrudniacie i opóźniacie proces odbudowy naszego kraju."

"Jestem głęboko przekonany, że jest nam potrzebna jedność narodu, konsolidacja całego społeczeństwa, ale nie kosztem lewicy, kosztem świata pracy, kosztem tych, których koledzy z PSL chcą reprezentować. /Głos: - Chłopi z Marszałkowskiej/.

Przemawiam tutaj akurat w rocznicę rozbięcia SL, 23 września ub.r., i chciałbym przypomnieć kilka z tym związanych faktów /.../"

Poseł przypomniał o istnieniu reakcji krajowej, światowej i w tym kontekście określił cele działalności PSL, które miało "zbudować podstawy dla powrotu Andersa i Arciszewskiego do kraju. Wreszcie celem jego /PSL/ było przygotowanie gruntu dla wpływów społecznej i politycznej reakcji światowej, na rzecz kapitalistów zachodnio-europejskich".

Kaczocha zρέcznie zakończył swe wywody, nawiązując przy okazji do tematu debaty. "Stąd też ta pozycja, jaką PSL zajęło w Polsce na rzecz interesów reakcji krajowej i reakcji światowej, udowodniła nam i przekonała nas ostatecznie, że prasa, pozostająca w rękach obozu demokracji w Polsce, nie może służyć interesom reakcji ani krajowej, ani światowej. I dlatego jeszcze raz w imieniu klubu SL składam wniosek o przyjęcie dekretu w całej rozciągłości. /Oklaski/".

Stanisław Gross, z klubu poselskiego PPS, niezmiernie interesując, choć może nieco zbyt zawile, sprecyzował jak niektórzy socjaliści nie rozumieją demokracji. Mogło to być sporym zaskoczeniem dla innych socjalistów.

"Nie rozumiemy demokracji w ten sposób, że ma ona być stworzeniem warunków nieograniczonej swobody działalności dla tych, którzy uważają za klucz swojej postawy wobec polskiej rzeczywistości - generalną negacją i chcieliby ze swobód demokracji uczynić narzędzie do przekreślenia podstaw demokracji ludowej. Nie rozumiemy swobody i wolności w ten sposób, że ma ona być swobodą dla tych ośrodków, które chciałyby podciąć podstawy, na których świat pracy w Polsce chce oprzeć wolność i sprawiedliwość społeczną, zdobytą ciężkim znojem żołnierza i człowieka pracy. Nie rozumiemy demokracji według szablonu, ale rozumiemy ją tak, jak nauczyła nas rozumieć żmudna praca w polskiej ciężkiej rzeczywistości."

Tak więc, poprzez negację, poseł Gross dał do zrozumienia jak jego klub rozumie demokrację. Stąd też zupełnie naturalnie zabrzmiało zakończenie tego wystąpienia.

"W tym okresie walki o utrwalenie zdobyczy demokracji, potrzebne są przejściowe środki, umożliwiające szybką likwidację nadużyć i swawoli ze strony tych, którzy są zainteresowani w podcięciu zdobyczy polskiej demokracji. Dlatego klub poselski PPS głosować będzie za przedstawionym projektem dekretu. /Oklaski/".

Socjalistom, mocno podkreślającym przywiązanie do tradycji, było z pewnością niezręcznie głosować za cenzurą. Dlatego tak silnie wypuklenie tymczasowości, przejściowości "potrzebnych środków", odwołanie się do nadzwyczajnych warunków życia w ówczesnej Polsce. Starali się stworzyć wrażenie, że takie głosowanie sprzeczne jest co prawda z tradycją ich ruchu, ale usprawiedliwione okolicznościami. Świadczy o tym również wymiana zdań, jaka po wystąpieniu Grossa zanotowano w stenogramie.

"Pos.Osiecki: - Pogratulować wam.

Pos. Cyrankiewicz: - Przypomnijcie sobie Wasze tradycje z 1923 roku."

Trzeba przyznać, że szczerą intencją klubu poselskiego PPS budzi pewne wątpliwości. A jeśli nawet przyjął, że intencje były dobre, to i tak dość szybko o nich zapomniano. 8/

Stanisław Stefański, z SD, opowiadając się za dekretem, również próbował cieniować stanowisko swego klubu. Twierdził, że prasa "winna /.../ odgrywać rolę budującą a nie destrukcyjną."

"konstrukcja naszego życia demokratycznego wymaga odpowiedniego nastawienia tej prasy, które byłoby drogowskazem do odbudowy zaufania społecznego wszystkich sfer pracujących."

Tego "nastawienia" winna właśnie dokonywać, między innymi, cenzura. Bez rozsądku, rozważli i spokoju prasy dojść może do nadużyć demokracji, czego przykładów, zdaniem mówcy, dostarczyli już: Voelkischer Beobachter, Steiger, Stuermer i Hitler.

"Lłatego też cenzura, jakkolwiek nieprzyjemna, tym niemniej powinna być na wysokości swego zadania i baczną zwracać uwagę, by ta droga odbudowy zaufania stała na wysokości. Fetysz wolności prasy nie może służyć wrogom odbudowy zaufania, musi iść po linii konstruktywnej, po linii, która przyczyni się do odbudowy państwa w ramach tych wielkich planów, które ustaliliśmy."

Zygmunt Załęski, przewodniczący klubu poselskiego PSL, był z pewnością politykiem porozumienia. Koncyliajny, zrównoważony ton wielu jego wypowiedzi na forum KRN budzi szczerze uznanie. Poprzedniego dnia Załęski wygłosił właśnie jedno z najbardziej przejmujących swych przemówień. Dzisiejszy czytelnik z łatwością dostreże, jak starannie Załęski wymijał historyczne mielizny, o które mogłoby rozbić się ewentualne porozumienie z komunistami /np. sprawę Katynia, powstania warszawskiego, itp/. Ale nie cofał się również przed nazwaniem po imieniu aresztowania 16-tu przywódców Polski Podziemnej, przed piętnowaniem nadużyć i zwykłych zbrodni dokonywanych przez UB i PPR.<sup>9/</sup>

Ta pełna spokoju, gorzkiej ironii i godności mowa była przerywana z ław poselskich PPR, PPS i SL trzydzieści razy. Do posłów z PPr zaadresował wówczas Załęski następujące słowa: "Jedyny życzliwy przejaw Waszego stosunku do nas, to udział w pogrzebach naszych przywódców."

I tym razem, zabierając głos, uczynił na początku gest dobrej woli. Biorąc pod uwagę jedyne merytoryczne argumenty, jakie padły dotychczas w dyskusji, uściślił stanowisko PSL w sprawie cenzury, twierdząc, że Chorążyna mówiła głównie o tym, że Urząd Kontroli pracuje niezgodnie z dekretem.

"Obywatele, ja chcę Was zapewnić, że gdyby wyszedł ktoś z Was, rzetelny, i powiedział: tak jest, to nie jest zgodne z dekretem, to jestem przekonany, że znalazłbym posłuch u kolegów na to, aby przynajmniej, że przeżyjemy wyjątkowe czasy i dekret ten może być potrzebny dla zabezpieczenia interesów Państwa. Ale gdy rozpoczyna się nagonka, to Wy chcecie, aby był wspólny język między nami? Wystąpił pierwszy mówca, poseł ob.Kubicki, ten sam poseł, który dwa tygodnie temu spotkał mnie na ulicy i powiedział: Przestaję być redaktorem Dziennika Ludowego, bo nie jestem w stanie poradzić sobie z Urzędem Cenzury. /Oklaski/. Nie ma drugiego takiego pisma, jak Dziennik Ludowy, który byłby tak stale, bez przerwy, codziennie, systematycznie konfiskowany. I dziś wychodzi jako pierwszy mówca po kol.Chorążynie i z czym zaczyna? Przecież człowiek się otrzasa z obrzydliwości. /Oklaski/

Obywatele Posłowie, ja się pytałem we wczorajszym przemówieniu, po co to wszystko, w imię czego? /Przerywania/ Znajdziecie u nas dostatek zrozumienia dla interesów demokracji, ale nie tymi metodami. /Oklaski/".

Adam Polewka, pisarz, z PPR, miał prawdopodobnie podobny dylemat co socjaliści; musiał być przeciw cenzurze i jednocześnie za. Broniąc swej opcji, próbując uwiarygodnić jakoś tę wewnętrznie sprzeczną postawę, posłużył się Polewka bronią dość dwuznaczną - autoironią.

Obywatele! Pisarzowi zdarzają się różne przygody w życiu. Mnie przydarzyła się bardzo oryginalna przygoda. Jako pisarz po raz pierwszy w moim życiu występuję w obronie cenzury. /Wesołość/ Ja, który za czasów sanacyjnych byłem ofiarą tej cenzury, który musiałem z łezką w oku oglądać białe plamy po cenzurze, ja, który rozumiem doskonale, co to znaczy wolność słowa, dzisiaj muszę wystąpić w obronie cenzury."

I bronił... Autoironia ustąpiła miejsca wzniosłości. Punktem wyjścia swego wywodu uczynił Polewka fetyszyzację słowa.

"My dzisiaj słowa musimy bronić inaczej, niż broniliśmy go w normalnych czasach. Dzisiaj myślimy, co jest lepiej, czy ażeby ten czerwony ołówek przekreślił parę nieodpowiedzialnych zdań, czy też ażeby za tymi paroma zdaniami poszły kałuże krwi! Przecież, Obywatele, to, co się pisze, jest czytane między wierszami, przecież każda Wasza opozycyjna strona jest tam tłumaczona jako komenda do strzelania. Tak te rzeczy w terenie wyglądają.

Dzisiaj żyjemy w innych warunkach. Nie możemy tych rzeczy traktować jako walki o abstrakcyjną wolność słowa w abstrakcyjnych warunkach. /.../

My chcemy wolności słowa. Może nikt tak nie pragnie wolności słowa, jak my literaci, ale przede wszystkim chcielibyśmy jak najwięcej wolności dla słowa odpowiedzialnego za przyszłe losy demokracji polskiej. /Oklaski/".

Polewka nie oparł się pokusie analizowania "niesłusznej" z tego punktu widzenia Gazety Ludowej. Jednocześnie apelował do PSL, aby zrozumiała, że walka nie idzie o panowanie jakiejś partii politycznej, ale o demokrację polską.

Zakończył zaś metaforą, która do dziś stanowić może natchnienie dla cenzorów i ich politycznych dysponentów: "I dlatego, jako pisarz polski, patrzę na ołówek cenzora inaczej, patrzę jako na ten instrument, który przekreśla o wiele groźniejsze od siebie instrumenty, które zaczynają się od karabinów, a kończą się na czołgach i armatach. /Oklaski/".

Debatę zamykał premier Edward Osóbka-Morawski. Mogło to wydawać się zaskakujące przy tak marginalnej w istocie kwestii jak cenzura. Ale tak naprawdę, to o czym jeszcze mógł wypowiedzieć się wówczas w KRN premier? Istniał ponadto formalny pretekst dla pokazania krajowi i zagranicy prezesa Rady Ministrów - cenzura jemu właśnie, teoretycznie, podlegała. Znaczenie urzędu premiera było już minimalne. Znaczenie samego Osóbki - jeszcze mniejsze niż jego urzędu. Nie należał on do ulubieńców Stalina, czyli tym samym i Bieruta.

Ten premier uważał się, i był uważany przez wielu innych, za centrystę. Był ponadto we władzach naczelnych PPS.

"Chciałbym wyjaśnić, że w naszym aparacie Kontroli Prasy mogą się zdarzać pomyłki." Osóbka-Morawski trafnie wyuczył, że lepiej mówić o tym niż w ogóle rozważać kwestię istnienia cenzury. Ta druga sprawa nie budziła, jego zdaniem, żadnych wątpliwości. Pomyłki są następstwem trudnej pracy: mnóstwa tekstów, skromnej, młodej i niedouczonej kadry. Pomyłki zdarzają się na obie strony. To znaczy - premier-centrysta wyciągał wnioski z dyskusji - cenzura kreśli za dużo, albo znow za mało. Nie ma to nic wspólnego z żadnymi tendencjami w aparacie Kontroli. Tutaj winni są po prostu niezbyt kompetentni ludzie.

Osóbka wolał nie obciążać się żadną winą za podległy mu urząd. Na wszelki wypadek asekurował się jednak na dwie strony: usprawiedliwiał się jednocześnie przed PSL i PPR. A może przed historią? Miał w każdym razie słaby instykt polityczny. Bo mówił chyba szczerze: "Wydaje mi się, że gdyby przedstawiciele PSL,

zamiast negocjować ten urząd /cenzury - uzup. aut./, który jest potrzebny, zwracali się do nas z odwołaniami w sprawach, co do których uważają, że są słuszne, to by poskutkowało to więcej, aniżeli wytwarzanie atmosfery negacji."

Następnie premier zapewnił posłów, że nie ma powodu oburzać się na cenzurowanie wystąpień ministrów, bo dotyczy to, co najwyżej, wystąpień nieoficjalnych, i że on sam cenzuruje "swoje własne przemówienia w ten sposób improwizowane". Nie ma więc mowy o żadnym wykroczeniu, a jedynie o zsilfowaniu treści przemówień, które z uwagą studiowane są za granicą.<sup>10/</sup>

Osóbka zapowiedział natomiast, że wyciągnięte należyte konsekwencje wobec tych, którzy ocenzurowali przemówienia posłów w KRN, bo te nie mogą być cenzurowane.<sup>11/</sup>

"Apeluję do posłów PSL - kończył premier - ażeby w imię właściwej sprawy głosowali za dekretem i ażeby starali się omyłki, które się zdarzają, prostować na innej drodze. Ja im przyjdę wtedy z pomocą. /Oklaski/".

Decret zatwierdzono. PSL nie usłuchało apelu premiera.

"W imię właściwej sprawy" głosowało przeciw. Do października 1947 roku stronnictwo starało się jeszcze "prostować omyłki" cenzuralne. Osóbka nie mógł mu "przyjść z pomocą". Nikt zresztą nie mógł. Cztery miesiące po swym namiętnym apelu premier Osóbka był już b. premierem - ministrem administracji publicznej. Nadzorowanie Urzędu Cenzury nie wchodziło w zakres kompetencji tego odpowiedzialnego resortu. Cenzurę, wraz z premierostwem, dostał w spadku partyjny kolega Osóbki-Morawskiego. Ale Cyrankiewicz centrystą nie był. Zresztą ani przez moment nie myślał chyba poważnie o tym, żeby nadzorować jakąś tam cenzurę. I, co ważne, nic nikomu pochośnie nie obiecywał. Gdyby Cyrankiewicz nie wiedział kim jest w tym kraju premier, nie byłby nim taki szmat czasu.

## 5.

Spróbujmy sformułować kilka wniosków do jakich skłania lektura stenogramu.

1. Okazuje się, że parlamentarna opozycja, w pierwszych latach powojennej Polski nie stawiała formalnego wniosku o zniesienie cenzury. Uznawała ona konieczność przejściowego zabezpieczenia interesów państwa, między innymi, w drodze prewencji cenzury. Opozycja pragnęła jedynie, aby dekret był respektowany. Świadczy to - zdaniem jednych - o dużym umiarkowaniu, zdaniem innych - co najmniej o naiwności.

Tak, czy inaczej, za błąd opozycji wypada uznać, że nie potrafiła bardzo mocno podkreślić tymczasowości rozwiązania za jakim optowała, że nie należała na wprowadzenie do dekretu punktu o czasie jego obowiązywania, uzależniając od tego, nie zaś od tonu wystąpień politycznych przeciwników, swoją skłonność do ustępstw, sposób swego głosowania.

O czym świadczy ten błąd? Wydaje się, że - wbrew wyjaśnieniom Zająckiego - PSL nie miało jednorodnego stosunku do cenzury. Nie było to, jak przyjęło się nieraz sądzić, stronnictwo wielkich polityków. Było raczej emanacją żywiołowego sprzeciwu wobec systemu. Gromadziło ludzi różnych formatów. I takich też miało polityków.

PSL zawsze mocno improwizowało. Szczególnie w ostatnich swych chwilach w KRN. Próbowano równocześnie demonstrować swą skłonność do ustępstw i opozycyjność. Udawało się to, między innymi, dzięki wysiłkom polityków naprawdę dużego formatu, takich jak Zającki. Ale udawało się znacznym nieraz kosztem. Brakło energii na precyzowanie politycznego stanowiska, o którym można by mniemać, że będzie znacznie trudniejsze do odrzucenia.

Oczywiście kwestia cenzury najmniej nadaje się na wskaźnik sukcesu jakiegóś partii politycznej, która przeciw niej występuje, ponieważ cenzura, rzecz wiadoma, może być, choć jej niby nie ma. Ale też nie na darmo już u zarania Polski Ludowej ktoś chciał, żeby ten dekret był, bo łatwiej powołać się na coś co jest, niż na to czego nie ma.

Czy to znaczy, że tego dekretu mogło nie być? Musiał być. Ale mogło się zdarzyć i tak, że musiały być co jakiś czas przedłużany.

2. Dyskusja o cenzurze, podobnie jak większość dyskusji w KRN, poza może dyskusjami gospodarczymi, jest merytorycznie pusta. Ma charakter zastępczy. Głównym celem mówców ze "stronictw zablokowanych" była polityczna rozprawa z legalną opozycją. Głównym zadaniem opozycji stawała się obrona przed tymi atakami. Stąd próżno w tej dyskusji szukać jakichkolwiek argumentów na rzecz wprowadzenia trwałej cenzury prewencyjnej. Ale decydowała o tym nie tylko polityczna doraźność. Po prostu takich argumentów nie ma. Gdyby dekret miał być przedłużany trzeba by ich poszukać. I znów zastrzeżenie: zapewne argumenty takie znalazłoby, ale nadać im choć odrobinę prawdopodobieństwa byłoby już znacznie trudniej.

3. Cenzura została wprowadzona do systemu prawnego Polski jako instytucja trwała. Przez ponad 40 lat wrosła w kościec systemu politycznego do tego stopnia, że nikt, nigdy, nie zdołał formalnie postawić wniosku o zniesienie cenzury, chociaż w sejmie nadal protestowano przeciw jej nadużyciom.<sup>12/</sup>

Wprowadzenie, po sierpniu '80, ustawy o cenzurze jest, z pewnego punktu widzenia, sukcesem sił zainteresowanych wolnością słowa. Z innego jednak punktu widzenia, trzeba przyznać, nastroja pesymistycznie co do perspektyw zlikwidowania cenzury prewencyjnej. To nie jest już żadna prowizorka.

Przyjęło się sądzić, że w dzisiejszej Polsce ludzie świątliwi są przeciw cenzurze. Ale właśnie: przeciw cenzurze, czy przeciw jej nadużyciom? Odpowiedź nie jest wcale tak jednoznaczna. Dostyc łatwo, nawet w dzisiejszym parlamencie PRL, wyobrazić sobie posła piętnującego bezprawne poczynania cenzury. Taka mowa byłaby zapewne niezłą gratką dla prasy, powiedzmy, katolickiej. Ale spróbujcie wyobrazić sobie posła składającego wniosek o rozwiązanie cenzury. Takiego zapewne i wielu ludzi świątliwych uznałoby za wariata.

4. Sytuacja przypomina więc tamtą, sprzed ponad 40 lat. Ale wtedy były chociaż wyjątkowe, powojenne, warunki i legalna opozycja, która je akceptowała. A dzisiaj? Co jest dzisiaj? Jest ustawa o cenzurze, która dla swego istnienia nie potrzebuje już żadnych uzasadnień. Nawet tak pięknych, jak te z przemówień Ochaba czy Polewki.

5. Na zakończenie wypada powiedzieć prawdę banalną, ale i nieprzyjemną zarazem. Może dlatego zbyt rzadko powtarzaną.

Nie sposób przecenić starań opozycji nielegalnej o wolność słowa. Są to nie tylko werbalne wezwania i nieformalne - z punktu widzenia władzy politycznej - wnioski. Drugi obieg wydawniczy, oficyny emigracyjne, zapewniają sporą część wyrw, jakie polska kultura zawdzięcza dziesięciu workowatym podpunktom stanowiącym wyjątek od zasady wolności słowa, zapisanej w ustawie o cenzurze.

Trzeba jednak pamiętać, że nic nie zdoła zastąpić uczciwej książki w księgarni i przyzwoitej gazety w kiosku.

Janusz Jankowiak



PRZYPISY

1/ Stenogramy ostatnich sesji KRN są lekturą frapującą. Kazimierz Bagiński twierdził co prawda, że nie są to stenogramy kompletne, że usunięto z nich wiele szczególnie "drażliwych" fragmentów wystąpień PSL /Cenzura w Polsce, Zeszyty Hiatoryczne nr VIII, Paryż 1965/. Ale to, co ocalało i tak wystarczyłoby, żeby ich reedycja stała się bestsellerem wydawniczym. Niestety, żaden z polskich wydawców jakoś się do tego nie pali.

2/ Wszystkie cytaty za: "Sprawozdanie stenograficzne z obrad Krajowej Rady Narodowej", Warszawa 1946, nakładem Biura Prezydialnego KRN.

3/ W monumentalnej pracy Krystyny Kersten - Narodziny systemu władzy, Polska 1943-1948 - sprawie tej, co zrozumiałe, poświęciła autorka zaledwie kilka linijek druku. Podobnie skape informacje zawiera III tom Najnowszej historii Polski, Andrzeja Alberta, wyd. Krag, Warszawa 1986. Nieco obszerniej omawia sprawę cenzury Marek Łatyński w pracy: Nie paść na kolana - szkice o opozycji lat 40-tych, Polonia /wyd. krajowe Piechur, 1987, str.360-361/.

4/ Wyborów ze stycznia 1947, jak i okresu bezpośrednio je poprzedzającego, nie można już uważać za walkę polityczną lecz policyjną. W czasie wyborów władze dysponowały 130 tys. funkcjonariuszy MO, 100 tys. - ORMO, 100 tys. - KBW i ok. 50 tys. - UB /por. Andrzej Albert, pr.cyt./. W okresie przedwyborczym zaś aresztowano 147 kandydatów na posłów z list okręgowych PSL, 15 z listy państwowej, 1962 działaczy terenowych stronnictwa. Ogółem przez przesłuchania, więzienia i areszty przeszło 100 tys. członków PSL, w 327 lokalach przeprowadzono rewizje, działalność stronnictwa zawieszono w 29 powiatach - por. Krystyna Kersten, pr.cyt.

5/ To przemówienie Chorążyny również zostało skonfiskowane w Gazecie Ludowej.

6/ Do tej sesji KRN Chorążyna była stosunkowo mało znana. Ale już zaraz na początku pierwszego dnia obrad zdobyła rozgłos. Z dwóch, co najmniej, powodów: - zabrała głos po otwierającym sesję Bierucie, żądając w imieniu klubu poselskiego PSL wstawienia do porządku obrad 27 interpelacji, na które PSL nie uzyskało odpowiedzi. Odczytała te interpelacje o gwałtach, aresztowaniach, morderstwach, zagadkowych uprowadzeniach, itp./patrz również - Krytyka nr 6, 1980/, wywołując "zgorzenie i poruszenie" sali. Wniosek ten został już uprzednio odrzucony przez prezydium KRN.

Po wtóre - Chorążyna, zdążając na mównicę z tym swoim wnioskiem, spięta i pełna debiutanckiej tremy, potknęła się w przejściu między ławami poselskimi o umieszczony tam reflektor i przewróciła się. Wywołało to wesołość sali.

7/ Znany jest np. incydent, gdy ze stenogramu przemówienia Bieńkowskiego, na wniosek Bieruta, usunięto "nieparlamentarne wyrazy".

8/ Charakterystyczne jest również, że Cyrankiewicz odwołując się w cytowanym dialogu do tradycji z lat międzywojennych, coś niecoś jednak pominał. Socjaliści byli w roku 1924 w opozycji. Zwalczając prawicowy rząd, stosujący zresztą różne represje, wskazywali jednak równocześnie na komunistyczne /czy raczej - mówiono - bolszewickie/ zagrożenie dla Polski - por. Paweł Zaręba: Historia dwudziestolecia 1919-1939, Inst.Literacki, Paryż 1981 str.89.

9/ Już drugiego dnia obrad XI sesji KRN, 21 września, Załęski składał w imieniu swego klubu oświadczenie, protestując przeciw odbieraniu głosu posłom PSL. Zapewniał, że jego stronnictwo nie zrezygnuje z piętnowania winnych "dopóki przemoc i gwałt nie ustąpią miejsca poszanowaniu i będzie stosowane prawo." Wówczas interweniował Bierut.

Bierut: - "Panie pośle Załęski. Z urzędu Przewodniczącego muszę zapytać, pod którym adresem użył Pan słowa: przemoc i gwałt, bo to było tak powiedziane, że można rozmaicie komentować, a to są zarzuty niesłychanie ciężkie. Jako człowiek odpowiedzialny i poseł powinien Pan powiedzieć pod którym adresem skierował Pan te słowa.

Załęski: - Wiąże się to z przemówieniem posła Mazura, który akty gwałtu zapisał na rachunek Polskiej Partii Robotniczej.

Bierut: - W takim razie będę musiał, występując w obronie jednej z partii z tytułu mojego urzędu, poprosić p. Posła Załęskiego, ażeby udowodnił swoje twierdzenie odpowiednimi dokumentami.

Załęski: - Jestem do dyspozycji.

Bierut: - Inaczej będę musiał skierować sprawę do Komisji Dyscyplinarnej. /Oklaski/

Załęski: - Jestem do dyspozycji."

10/ Premier Edward Osóbka-Morawski skierował 10 stycznia 1946 roku do prezesa cenzury, T. Zabłudowskiego takie pismo: "Wielokrotnie stwierdziliśmy fakty przekręcania lub wypaczania treści przemówień Prezydenta Krajowej Rady Narodowej, Prezesa Rady Ministrów i członków Rządu. Niektóre fakty miały nawet charakter wybitnie złośliwy. Taki fakt np. miał miejsce ze streszczeniem mojego przemówienia, wydrukowanym w "Naprzedzie Dolnośląskim", a przedrukowanym ze złośliwym komentarzem w "Gazecie Ludowej". Swego czasu wydałem prasie instrukcje, że przemówienia czy streszczenia przemówień Prezydenta Krajowej Rady Narodowej, członków Prezydium Krajowej Rady Narodowej i członków Rządu nie mogą być zamieszczane w prasie bez uzyskania aprobaty zainteresowanych członków Prezydium Krajowej Rady Narodowej, czy członków Rządu. Ponieważ niektóre organa prasowe nie stosują się do wspomnianej instrukcji, nakładam obowiązek dopilnowania tego na organy Kontroli Prasy.

Zechce ob. Dyrektor udzielić tym razem surowego upomnienia odp. redaktorom wspomnianych pism - "Naprzedu Dolnośląskiego" i "Gazety Ludowej" - cyt.za: Gazeta Ludowa, 14 stycznia 1946.

11/ Nie wiadomo jakie konsekwencje wyciągnął wobec winnych tego wykroczenia Osóbka, wiadomo natomiast, że przemówienia nadal cenzurowano; zarówno te z obecnej debaty, jak i następne, wygłaszane już w Sejmie Ustawodawczym. Było to przedmiotem kilku jeszcze interpelacji niedobitków z PSL.

12/ Por. np.: Stefan Kisielewski - Przeciw cenzurze - legalnie, Zapis nr 4, 1977 r.

STANISŁAWA DOMAGALSKA  
JAROSŁAW SZCZEPAŃSKI

## Bardzo czarny Śląsk

Czy można napisać reportaż o Śląsku? Jak pokazać najlepiej i najprawdziej przemiany tego Regionu w ciągu ostatnich czterdziestu lat? Spytaliśmy o to Karola.

x

Karol mocno siwieje, chociaż niewiele jest starszy od Polski Ludowej. Jest naukowcem. Pracuje w jednym ze śląskich instytutów naukowych. Stara się rzetelnie odpowiadać na zadawane mu pytania. Jest Ślązakiem i tę swoją śląskość głęboko czuje i przeżywa.

Karol: - W kraju, gdy mówi się o Śląsku, myśli się o kawałku ziemi, który sto lat temu był pod zaborem pruskim. To, co nazywamy Górnym Śląskiem, bardzo płynnie graniczy z Zagłębiem, które dla każdego Ślązaka jest zupełnie inną krainą. Przed rozbiorem Śląsk był wieleset lat najpierw czeski, później należał do Prus, a jego część - Zagłębie - było zawsze po stronie polskiej. Potem były zabory i już nic nie było polskie, ale podział utrzymywał się dalej. Natura jednak nie znała układów politycznych i stworzyła pokłady węgla po obu stronach. Region gospodarczo rozwijał się w sposób zwarty, ale politycznie i kulturowo był podzielony.

Fytacie o inność Śląska. O niej stanowi historia, od której nie uciekniemy i natura - a z nią związany przemysł, kopalnie. Trzeba napisać, że tu są tacy sami ludzie jak gdzie indziej, niczym się nie różnią, mają takie same problemy, tak samo cierpią i się cieszą.

Przyczyna, tak często spotykanej, niechęci do Śląska i Ślązków leży w Polsce, a nie w nas. W dużym stopniu zawiść wywołały legiony ludzi przyjeżdżających na Śląsk za chlebem, zainteresowanych wyłącznie dorobieniem się, nie wnoszących nic do miejscowej kultury. Gnoj, który mamy na Śląsku i niechęć do regionu jest prawdą. Polska sprzedała nam swoich najgorszych synów. Istnieje coś takiego, jak pęd na Śląsk, a później przekazywanie jego prymitywnego obrazu w miejscu, z którego się wyszło. Musimy zadać sobie pytanie, o czym my mówimy - czy o grupie wymierającej, o rdzennych Ślązakah, czy o tych, którzy tu przyszli w latach czterdziestych i zdążyli się zintegrować, czy o ludziach z Zagłębia, których jest też około pół miliona, albo i lepiej, zamieszkujących od przedmieść Katowic aż po Olkusz, czy o tym milicnie, który tu przyszedł ostatnio z Polski centralnej i wschodniej?

Co to jest w takim razie ten Śląsk?

ZAWSZE BICI

Zofia i Bronisław Motykowie są farmaceutami. Niedługo oboje przejdą na emeryturę. Już ich ojcowie mieli wyższe wykształcenie. Ojciec Bronisława, uczestnik powstań śląskich, w 1922 roku prze-

niósł się spod Rybnika do Polski. Zamieszkał tuż przy granicy. Z dachu swojego nowego domu oglądał dom rodziców, którzy pozostali w Rzeszy. Wyższą uczelnię skończył w Poznaniu i wrócił na Śląsk, gdzie pracował jako nauczyciel. Rodzice Zofii pochodzą z Poznańskiego. Na Śląsku osiedlili się tuż przed I wojną światową. Jej ojciec, aptekarz, studiował w Niemczech. Mieszkają w domu postawionym przez niego, tuż koło ewangelickiego zboru. Dzisiaj obok przycisku dzwonka wisi osiem wizytówek. Państwo Motykowie zajmują górę domu. Wielkie fotele, kanapa obita zielonym pluszem i biurko, dla którego nie starczyłoby miejsca w standardowym bloku, pamiętają czasy drukarza Mayera i Maksymiliana Basisty, księgarza i założyciela pierwszego polskiego chóru "Seraf". Zofia i Bronisław zbierają silesiana. W kilku monografiach ziemi rybnickiej, wydanych przez Instytut Śląski w Opolu oglądamy zdjęcia ich ojców zasłużonych dla polskości tych ziem.

Bronisław Motyka: - Tu na pograniczu cały okres międzywojenny trwało przeciąganie na swoją stronę. Gdy były zapisy do polskiej szkoły powszechnej, obok przyjmowała komisja do mniejszościowej klasy niemieckiej. Na ulicy stali przedstawiciele volksbundów. Łapali ludzi i proponowali pracę, o którą było trudno. "Jesteś bezrobotny, dostaniesz pracę, ale zapiszesz dziecko do klasy niemieckiej".

Zofia Motykowa: - Rodziny tych największych działaczy sprzed wojny nie wyjechały i nie widać, żeby miały zamiar wyjeżdżać. Każdy klinie, ale tkwi na miejscu. To wielka siła przywiązania i doświadczenia. Wielu jednak z opolskiego czy raciborskiego, dopiero teraz wyjeżdża. U nas się mówi, że czego w 600 lat Niemcy nie zrobili, to Polakom udało się w czterdzieści. Zgermanizowali Ślązaków. Niemcom się to tyle wieków nie udawało, a komunistom wystarczyła jedna trzecia wieku. W 1963 roku rozmawiałam z małżeństwem z Raciborza, mówiącym piękną literacką polszczyzną. Byli z siedmioletnim dzieckiem. Nagle matka odezwała się do niego po niemiecku. Ono nie znało polskiego! Aż mną rzuciło... Matka uważała, że dziecko nie potrzebuje znać polskiego, że jak szkoła będzie chciała, to nauczy. Ci ludzie, o których narodowości jeszcze decydowali rodzice-Ślązacy, przestali się czuć Polakami.

Irena i Stanisław Słowakowie urodzili się niedaleko Gliwic tuż przy dawnej niemieckiej granicy. Ojciec Stanisława - uczeń trzech powstań śląskich - w obawie przed represjami w 1922 roku wyniósł się z Rzeszy do Polski. Stanisław jest z wykształcenia ekonomistą, ona filologiem. Oboje ukończyli wyższe studia. Ich synowie mają również wyższe wykształcenie. Mieszkają w bloku, w niedużym M-4. W przedpokoju zdejmujemy buty. Choć gospodarze nie prorsili nas o to, z wdzięcznością podsuwają kapcie. Ten mały gest nastroja ich bardzo przychylnie. Pani Irena wnosi kawę i herbatniki i szybko znika w kuchni. Zachowuje się jak przystoї Ślązaczce. Goście przyszli przeciw do męża. Ona więc nie przeszkadza. Siada na kanapie dopiero wtedy, gdy on woła: "Irenko, chodź tu do nas i przypomnij, jak to było!" Pani Irena, nawet gdy wspomina najtragiczniejsze w życiu swojej rodziny momenty, ma uśmiechniętą, pogodną twarz. Oboje są życzliwi ludziom, nie zapiekli w żalu i zafascynowani swoim Śląskiem. Na regale leżą solidarnościowe bibeloty.

Stanisław Słowak: - Germanizacji Śląska najbardziej przysłużyli się Bismarck, Hitler i Polska Ludowa. Jednym z pierwszych zarządzeń władzy radzieckiej było internowanie wszystkich mężczyzn od 16 do 60 roku życia na terenach należących przed wojną do Rzeszy. Po polskiej stronie dawnej granicy internowano tylko podejrzanych. A podejrzani byli ci, którzy należeli do niemie-

ckiej organizacji Kriegerverein, SA na równi z tymi, którzy działali w podziemnych organizacjach polskich - ZWZ i AK. Wszystkich traktowano jednakowo i pędzono w jednym szeregu. Wuj żony, członek AK, w czasie wojny aresztowało SA. Siedział w obozie. Po wyzwoleniu trafił do łagru, spał z tymi z SA na jednej pryczy i pracował z nimi w kopalni. Szczęśliwie wrócił w 1950 roku. Duża część wywiezionych w 45 nigdy nie wróciła, a reszta, w latach pięćdziesiątych, w okropnym stanie.

Irena Słowakowa: - W czasie wyzwalań moich rodzinnych Krzeszowic Rosjanie uważali, że są już na terenie Rzeszy z 39 roku i poczynali sobie strasznie. Gwałcili kobiety, podpalali domy, potem kazali je gasić i strzelali do ludzi, łącznie z niemowlętami w becikach. Zginęło ponad 80 cywilów. Żołnierze przeważnie byli pijani... Drugi mój wujek - celnik, musiał się przez całą okupację ukrywać, bo Niemcy uważali go za szczególnie niebezpiecznego. Zbliżał się front, wrócił więc do rodziny. Siedział w piwnicy, gdy weszli Rosjanie, na podwórku znaleźli karabin maszynowy. Kazali wychodzić. Ludzie się bali i powiedzieli wujowi: "Tyś się przed Niemcami ukrywał, tobie nic nie grozi, pogadaj z nimi". Nie pytano go o nic. Zastrzelono.

Ślązacy zawsze byli bici. W czasie okupacji byliśmy polskimi świniami, przyszli Polacy i staliśmy się szwabami. Stąd asekuracja, żeby się nie wychylać.

Stanisław Słowak: - "Wuj żony zginął w Oświęcimiu, drugi siedział w Dachau - ten na szczęście wrócił. Dwaj następni byli internowani do Rosji. Jeden wrócił, drugi nie. Obaj działali w śląskiej AK. Stryj siedział w obozie hitlerowskim, bo nie chciał do niemieckiego wojska pójść. Dziś są jeszcze ludzie, którzy czekają tu i modlą się, żeby wyjechać do RFN. A tam będą się spotykać wieczorami, gadać po polsku, śląskie kawały opowiadać, śpiewać "Karolinkę".

Karol: - To jest paranoja, że człowiek, którego rodzice zginęli w obozie hitlerowskim, wyemigrował do RFN. Ale taka jest prawda. Znam wielu takich. Pamiętam rozmowy z dzieciństwa - o tym, jak zostali wcieleni do armii niemieckiej, dostali się do niewoli pod Stalingradem, jako jeńcy szli po placu Czerwonym w Moskwie, jak ich później kościuszkowcy z obozów wyciągali. Ci ludzie, gdy znaleźli się w Polsce Ludowej, po dziesięciu, piętnastu latach złożyli papiery do RFN, gdzie uważani są za Niemców, mimo że wyjeżdżając nie znali słowa po niemiecku. Ile pokoleń można walczyć?

Bronisław Motyka: - Zaraz po II wojnie wyjechało sporo ludzi, ale przeważnie byli to ci, którzy czuli się Niemcami i mieli tam rodziny. Teraz wyjeżdżają Ślązacy. Pamiętam taki jeden transport - dwie trzecie wagonów z Raciborza, reszta z Rybnika. Niemców prawie wcale. Sami śląscy Polacy. To bolało i nadal boli. Choć może coraz mniej. Do niedawna, jak ktoś uciekł, czy został za granicą, to się mówiło z pretensjami: "Popatrzcie, to był taki Polak...". Dziś, gdy ludzie zostają, to człowieka nie boli. Sam, gdybym był o piętnaście lat młodszy, to bym się chyba długo nie zastanawiał i związał stąd. Teraz ludzie nie buntują się na tego rodzaju zjawiska. A kiedyś ubolewali i wręcz gorszyli się. "Mój Boże, ludzie którzy mieli takie znaczenie, tyle zrobili dla Polski, jak oni mogli wyjechać?" Teraz macha się ręką na wszystko.

Karol: - Ludzie, którzy mieszkają w tym strasznym burdelu, niezorganizowanym społeczeństwie, pracują w źle zorganizowanym zakładzie i każdego roku atakowani są przez znajomków, krewnych przyjeżdżających z cywilizowanego kraju i opowiadających o swoich wyjazdach na Majorkę, są naprawdę pod straszną presją psychiczną.

Wielu jednak nie wyjeżdża. Bo są Polakami mimo wszystko. Ale ciągnie ich... "Bo jak Hubert wyjechał 20 lat temu, to teraz jest mu fajnie. Patrz, jak on fajnie żyje. Ale my już nie wyjademy." Wyjazd jest tragedią, bo z emigracji powrotu już nie ma. A czy da się żyć bez tego kawałka ziemi z kopalnią, ze strasznym podwórkiem, do którego jest się przywiązany mimo wszystko? Nie wiem. Ja nie jestem w stanie przełamać się i wyjechać. Bo gdy jadę tam i widzę, jak wspaniale oni żyją, na luzie, to nie jestem pewien, czy nie śni im się ta cholerna "Wilhelmina" czy "Wujek". Ale do tego oni się nie przyznają. Za to przyjeżdżają, tu wspaniałymi wozami i człowieka szlag trafia. Ale dla nas wszystkich nie jest rozwiązaniem wyjazd do ziemi obiecanej, do tej Kanady, ale zrobienie porządków tutaj, w tym kraju.

## CNOTY LOKALNE

Stanisław Słowak: - Śląsk był nietolerancyjny. Wobec tych, którzy wyłamywali się z odwiecznej śląskiej tradycji, czy w sprawie porządków, sposobu bycia, mieszkania. Ślązacy są mało wyrozumiali wobec wad, słabości ludzkich, autorytatywnie wygłaszają poglądy, jakie wynieśli ze swoich domów. I to do dzisiaj przetrwało. Zastanawiam się nad samym sobą nieraz i zauważam, że ciągle wyłazi ze mnie śląska nietolerancja - przy synach, przy wnukach. Dzisiaj bardzo wiele ludzi uważa, że brud, bałagan na Śląsku, to są polskie cechy, że to są polskie porządki, polski bałagan, polnische Wirtschafft... Powtarzają to za Niemcami. A co bardziej światli i świadomi zdają sobie z tego sprawę, że jest to związane z naszym systemem, ustrojem. Skrzyżowanie naszych z tych cech narodowych z niestabilną gospodarką socjalistyczną, bałaganiarską, daje makabryczne efekty. Wcześniej nabranie kogoś, czy niewykonanie roboty solidnie, było niemalże przestępstwem. Ludzie się odwracali, nie kłaniali, takiemu człowiekowi nie podawało się ręki. Wokół niego wytwarzała się pustka. To nie był partner do rozmowy. Łączyło się z tradycyjnym konserwatyzmem śląskim. W obawie przed takim traktowaniem ludzie woleli być solidni. Z pogardą mówiło się o kimś niesolidnym: "to jest cygon". Albo "wichlerz" - czyli kombinator, taki, który zamieszka, obieca, a nie wykona. I tego mi żal, że można było na słowo wlezyć. Słowo powiedziane było czymś świętym.

Sam śmiałem się, kiedy słyszałem starych Ślązaków w latach 1945-46, gdy trzeba się było deklorować kim się jest: "Jo nie Polok, jo nie Niemiec, jo jest Ślązok". Bo co to znaczy - nie-Polak, nie-Niemiec, tylko Ślązak? A w tym powiedzeniu było dużo prawdy. Dzisiaj to rozumiem. Znam moich rówieśników, mieszkających głównie w okolicach Gliwic, którzy dość silnie odczuwają różnice między Ślązakami, a tymi, którzy tutaj przyjechali, napiwowymi. W dalszym ciągu kwalifikują kto nasz, a kto nie. Ja już nie...

W najbiedniejszych rodzinach, gdzie była kupa dzieci, nie do pomyślenia było, żeby w sobotę nie było generalnego kąpienia. W ten dzień do śląskiego domu nie chodziło się. Pracujący chłop to był pan i władca, który zawsze musiał mieć stos uprasowanych koszul i nie zdarzało się, żeby on zakładając koszulę zauważył, że nie ma guzika. Cóż to by była za żona, co za gospodyni, która by do tego dopuściła! Gdy on wychodził do pracy, ona jeszcze ze szcztoką do niego podbiegała. Te kobiety na pozór wydawały się służącymi. Mąż nieraz traktował je ostro, ale to ona była głową, duszą i sercem śląskiego domu. To ona dysponowała pieniędzmi. Mąż oddawał jej pobory. I ona potem wydzielała: na tytoń, na piwo, a przeważnie sama kupowała, tyle, ile uważała za stosowne. Jeżeli

była tolerancyjna, a widziała, że mąż ma ochotę na wódkę, to mu ćwiartkę kupiła, żeby ją sobie w domu wypić, a nie wałęsał się. Jeśli przyszli goście, to mąż siadał z nimi do stołu, ona była w kuchni i nigdy się do rozmowy nie włączyła. Ale mąż był mocny na pozór. Cudowne kobiety...

#### NA GRUBA CZY NA SZKOŁA?

Stanisław Słowak: - Przed wojną Ślązaków ze średnim wykształceniem na palcach można było policzyć. Jeżeli ktoś szedł do szkoły, to rodzice chcieli, żeby został księdzem, w bardzo niewielkich wypadkach prawnikiem czy lekarzem. Prawdą jest, że większość Ślązaków, którzy kończyli szkoły, wynaradawiała się. Nawet w rodzinach, które miały możliwości kształcenia zdolniejszych dzieci, robiono to z niechęcią, bo zdawano sobie sprawę, że jest to równoznaczne z utratą dziecka. Wykształceni często żenili się z Niemkami, co uważano za zdradę. Niemiec to był KTOS - z brzuszkim, dewizką, kto pięknie mieszkał, potrafił się zachować - ale mimo to starzy Ślązacy bali się, że ich dzieci doszłusują do tej warstwy zamożnej... Muszę jednak przyznać, że nigdzie poza Śląskiem nie spotkałem ludzi o podstawowym wykształceniu, którzy by mieli tak szerokie zainteresowania. Tu było mnóstwo samouków, ludzi, którzy zdobywali kwalifikacje na dodatkowych kursach. Mój ojciec był prostym człowiekiem, skończył tylko szkołę powszechną, a nauczył się francuskiego i mógł czytać francuskie gazety. W domu było dużo książek i słowników. Od ojca słyszałem o Arystotelesie, Sokratesie, o Platonie. A od dziadka, prostego górnika uczyłem się historii Polski.

KAROL: - Miałem przed laty bardzo zdolnego kolegę, Ślązaka, który był szczególnie uzdolniony. Ojciec jego był solidnym spawaczem. Gdy dowiedział się, że syn chce iść na studia, omal go nie roztrzaskał: "Czy on, kurde, zgłupiał? Do roboty niech idzie, nie?"

Stanisław Słowak: - To, że ktoś jest technikiem-górnikiem, w Warszawie nie jest powodem do dumy, a na Śląsku jest. Tutaj babcie mówią: "Bo mój wnuk on jest technik, on technikiem skończył. On jest fachowcem dobrem. Gdyby dziadek żył, jaki on byłby dumny z tego".

Irena Słowakowa: - Jeszcze teraz często ojciec nie chce, by jego dzieci studiowały. Ogólna zasada jest taka, żeby dziecko jak najprędzej zaczęło zarabiać. Potem może sobie wieczorówkę skończyć i zostać sztajgrem na kopalni. I to jest szczyt marzeń. Z tym, że coraz więcej młodych Ślązaków studiuje i to jest bezwzględnie zdobycz Polski Ludowej. Największa. Nie wiem, jak byśmy byli zawzięci na komunę, to o tym zawsze musimy pamiętać, że otworzyła ona drzwi do oświaty.

#### DOBRE TA ROBOTA ZROBIĆ

Karol: - Na Śląsku istnieje tradycja zorganizowanej, rzetelnej pracy dla wspólnego dobra, o którym ludzie kiedyś nie myśleli, że jest to dobro zaborcy. Od grafa na zamku daleko było do kmiotka, który przez setki lat mówił po polsku, i nikt od niego nie wymagał, by mówił po niemiecku. Tradycja, bez względu na wszystko kazała: "Dobrze ta robota zrobić". Nie przypadkiem w Polsce międzywojennej i ludowej inwestycje poważne, często nawet wbrew zdrowej logice, starano się lokalizować tutaj. Tu byli od dzieciaków lat, prawie setek, wykwalifikowani pracownicy, przyzwyczajeni do dobrej, solidnej roboty. Tradycja tej dobrej roboty

pokutowała jeszcze piętnaście, dwadzieścia lat temu. Na moich oczach nastąpiła jej degradacja.

Ludzie, którzy dziesięć, dwadzieścia lat temu przenieśli się ze Śląska do Puław, Tarnowa, Polic, Konina, mówią, że organizacja produkcji była tam nieporównywalnie gorsza niż na Śląsku. Na mój pomysł przeprowadzki ze Śląska w głąb kraju koledzy mówili: "Stary, ty chyba zwariowałeś. Jeśli chcesz sobie zorganizować robotę, dogadać się z ludźmi, to poza Śląskiem ci się to nie uda". Nonsensem jest przenosić się ze Śląska na przykład do Gdańska. Stąd można się przeprowadzić jedynie do Monachium. Znam ludzi, którzy prowadzą prywatną inicjatywę w centralnej Polsce i starają się pozyskać robotników, którzy pracowali na Śląsku. Jak taki znajdzie Ślązaka, to wie, że ma gościa. To jest reguła. Ale może ja powtarzam utarte poglądy, które powstały dwadzieścia, trzydzieści lat temu? Może to jest tylko mit?

Lekarka - pneumolog z drugim stopniem specjalizacji, urodziła się we Lwowie, medycynę skończyła w Krakowie. Jej mąż jest nauczycielem. Jak wszyscy napływowi mieszkają w osiedlu, w bloku. Pani doktor znana jest w całym mieście. "Niewyparzony język" namiętna jej wiernych przyjaciół, ale też i wrogów. Do Jastrzębia przyjechała złudzona mirażem pracy w przychodni specjalistycznej, tak bardzo potrzebnej górnikom, która do dziś dnia nie powstała. Jest zażartą przeciwniczką papierosów, alkoholu i chamstwa. Czuje się tutaj bezradna, osamotniona i ciągle myśli o znalezieniu nowego miejsca do życia.

Lekarka: - W ciągu ostatnich trzech lat nie zwiększyła się liczba wypadków. Ale za to zwiększyła się liczba samouszkodzeń. Jest też cała masa wypadków zwinionych, których ludzie szukali. Chcieli mieć ten wypadek. Świadczy to o upadku etosu pracy. Przychodzi na przykład górnik ze złamanym piątym palcem u lewej ręki, albo z pośladekami poparzonymi kwasem z lampy. Są zdemoralizowani. Taki już w szkole górniczej po skończeniu trzeciej klasy dostaje 150 tysięcy na zagospodarowanie. A w drugiej klasie zarabia więcej niż mój mąż.

#### HANYSY - GOROLE

Marysia ma 30 lat. Pracuje w biurze. Nie pali papierosów, a spodnie nosi tylko na wczasach. Ma na sobie zagraniczną, różową bluzkę. Kupiła ją w Cieszynie, do którego cały Śląsk zjeżdża na specjalne zakupy. Jest panienką. Na pytanie, jaka partia na Śląsku jest najlepsza, bez namysłu odpowiada, że górnik po dwóch zawałach serca, ale z milionem na książeczce.

Marysia: - "Wy hanysy, wy gorole!" od takich wyzwick zaczynali się w latach sześćdziesiątych wielkie bitwy w okolicach. "Lepiej perszinga w stodołę, niż gorola przy stole" - mawiała matka mojej koleżanki, która chodziła z chłopcem z Polski centralnej.

Karol: - Na Śląsku były dwie wielkie fale napływowe. Powojenna, w latach 1945-47, a następna od lat sześćdziesiątych do dziś. Różnie one wpłynęły na oblicze Śląska i Ślązaków. Pierwsza do miast wysiedlonych - Bytomia, Zabrze, Gliwic. Ludzie z Sambora, Stanisławowa, trzymali się na nowym miejscu razem. Z początku myśleli tylko o powrocie na Wschód. Były szalone animozje. Ci ludzie mieli inne przyzwyczajenia, co innego jedli na Wigilię. Oni przygotowywali kutię, a my moczke. Miałem kolegów, którzy nie wyobrażali sobie, że można mieć dziewczynę nieślązacczkę. Nie znali ani słowa po niemiecku, ale mówili "dziewczyna z Polski". Przybysze przyzwyczajali się do Śląska, wrastali w środowisko i przestawali myśleć o powrocie. Zobaczyli świat w miarę dobrze



zorganizowany i niektórzy włączyli się w tutejsze życie. Oni nawet polubili ten koszmarny Śląsk.

Druga fala napłynęła w czasach budowy ROW-u w latach sześćdziesiątych i Huty Katowice w siedemdziesiątych. Ci napływowi mają dokąd wrócić. Stąd ich wioska na Kielecczyźnie czy w Lubelskiem wydaje im się czymś zielonym i pięknym. Mimo to próbują się żyć z Jastrzębiem, Żorami i mówią: "Ja już siedem lat pochodzę ze Śląska". Przychodzi na przykład kafelkarz, złota rączka, subordynowany jak Ślązak, robi wspaniałe, ale mówi, że zbiera pieniądze i chce się stąd jak najszybciej wynieść. Jego rodzina została tam, a on przyjechał tylko na kilka lat dorobić się.

Bronisław Motyka: - Ludzie z hoteli robotniczych nigdy wcześniej nie mieli pieniędzy. A tu od razu dostawali kożuch, umundurowanie, łóżko z prawdziwego zdarzenia, buty na zmianę i jeszcze ileś tysięcy złotych. Przy takim hotelu - jeden stał niedaleko naszego domu - trudno się było pokazać. Nawet w 1945 roku tak nie było. Każda bijatyka kończyła się zabójstwem. To najczęściej walczyli miejscowi z werbusami. Później były inne kłopoty... W latach sześćdziesiątych miejska komisja zdrowia w Rybniku miała problem z 800 kobietami ściągniętymi z rzeszowskiego do Huty "Silesia", w której brakowało rąk do pracy. Po trzech miesiącach zwołano posiedzenie komisji z udziałem dyrektora i różnych czynników. Co zrobić? 500 kobiet w ciąży. Same panienki. Rwali sobie dyrektorzy włosy z głowy, bo chcieli rąk do pracy, a dostały im się żłobki do budowy. Później wszystkie zakłady broniły się przed takim wərbunkiem.

Stanisław Słowak: - Pamiętam hotel robotniczy w Sośnicy i okrzyki "bić Krzyżaków!" Zdarzało się, że atakowali autobus i bili w nim wszystkich. Ale znamy też sympatyczne wypadki, gdy faceli z Lubelskiego czy Kieleckiego osadzali się na Śląsku. Z początku, gdy rodzice dowiadywali się, że córka chodzi z "łapancem", to ojciec za pas się łapał. "Łapaniec" był to synonim pijaka, nieroba, nieporządnego, bluzgającego łaciną, a na Śląsku się nie przeklińało. Najgorsze to było - "pieronal" Z tym narzeczonym "łapancem", "werbusem" często dziewczyny zachodziły w ciążę. Ojciec poznawał go wtedy lepiej, przekonywał się, że nie taki on straszny i dochodziło do ślubu. I wtedy zaczynała się metamorfoza - ten młody człowiek był już ich. Wypiło się więc z nim raz, drugi, jak okazywało się: chłop do rzeczy, to z niego robili na siłę Ślązaka. On uczył się gwary śląskiej. "Chłopie, jakżeś już jest moim zięciem czy szwagrem, no to ci pomożemy tę chałupę wybudować. No, bo co to za Ślązak, który mieszka pod Gliwicami i swojej chałupy nie ma?" I wtedy cały klan rodziny zaczyna tę chałupę budować. Potem, gdy nadarzała się okazja, wysyłano zaproszenia do rodziny białostockiej czy kieleckiej, jego wbijano w garnitur i teraz ambicją śląskiej rodziny było, żeby się pokazać, co oni zrobili z tego oberwańca-werbańca. W Jastrzębiu natomiast te procesy przebiegały inaczej, bo większość przychodziła z rodzinami, albo ściągała je. Tam mieszkała w blokach. Ale i tam jest podział. Zwerbowni siedzą w blokach. A ci wżenieni przyjęli się do prawdziwych rodzin śląskich. I ciągle jest atmosfera nieufności.

Ksiądz wikary jest Ślązakiem. Urodził się tuż po wojnie. W jego domu, jak mówi, nadal kulturuje się tradycje i niechętnym okiem patrzy na napływowych. Jego ojciec, górnik, jak prawie wszyscy tutaj, służył w Wehrmachcie. W jego rodzinie - nietypowej - wszyscy: siostra i bracia skończyli wyższe uczelnie. "Nie chcę, żeby moje dzieci były górnikami" - mówił ojciec i tak też się stało. To pokolenie księdza wikarego robiło Solidarność i pewnie

dlatego daje się odczuć szczególną więź między nim a tymi aktywnymi.

Wikary: - W Jastrzębiu jestem od 1975 roku. Ludzie przyjeżdżali tu z biedy i nie z biedy. Ale dostawali wszystko, a przede wszystkim mieszkanie. Byli młodzi i tu zobaczyli szansę dla siebie. W tych czasach, kiedy mieszkań nie było nigdzie, oni dostawali tutaj po kilku miesiącach i to jakie - nawet kawaler mógł dostać M-6. Czegóż tu, poza tym, nie miało być? Same parki i ogrody. Koniec lat siedemdziesiątych to kres ludzkich marzeń i złudzeń. Rok 1981 to było wielkie hurra. Teraz wróciliśmy do nastrojów z końca las siedemdziesiątych, a może nawet jeszcze gorszych? Ludzie są zgaszeni. kobole czują się robotami. Buduje się bardzo mało. Kolejne problemy - mieszkania dla tych, którzy się tutaj wychowali, brak szkół w Jastrzębiu. Najliczniejsze są teraz siódme i ósme klasy podstawowe i nie dla wszystkich będą miejsca w szkołach średnich. A następny wyż już puka do bramy. W tym roku szkoły podstawowe w Jastrzębiu skończy około dwóch tysięcy i nie ma dla nich miejsca. Ile talentów pogrzebano przez to? Ile dziewcząt nie dostaje się do szkół i czeka rok, dwa...?

Adam, absolwent zasadniczej szkoły górniczej, ojciec dwóch córek, do Jastrzębia przyjechał z Pomorza. Dostał tutaj M-5. Ma wszystko, co konieczne jest do życia człowiekowi: pralkę automatyczną, telewizor, magnetofon, dużą lodówkę, regał z książkami i parkę kanarków śpiewających w pokoju dziewczynek. Zarabia około 33 tysięcy miesięcznie. Jego żona, Ślązaczka, "jeden porządny człowiek w rodzinie" jak dowcipkuje Adam - nie pracuje, bo nie musi: Adam nie pije, nie pali i nie zamierza kupować samochodu. Jest pracownikiem sprawiającym pracodawcy dużo kłopotów: zadaje dozorowi docieklive pytania, nie chce brać tradycyjnej butelki wódki na Barbórkę. Dlatego pracuje nie w samym Jastrzębiu, ale w kopalni odległej około trzydzieści kilometrów. Ma to swoje złe strony, ale też i dobre - wstaje o 4 rano, wraca o 5 po południu, ale dostaje za to 5 tysięcy złotych "rozwiąkowego".

Adam: - Jastrzębie nie potrzebuje już siły roboczej, bo zasoby węgla oblicza się maksimum na 50 lat. W kopalni "Moszczenica" brakuje węgla i powoli zacznie go brakować w innych kopalniach. Kopalnia "ZMP" jest zbudowana w źle rozpoznanym terenie i nie ma w niej tych pokładów, które miały być. Zastanawiam się, czy przy tej gospodarce węgla starczy na 20 lat. Kiedyś były ładne plany. Dziś tereny pod projektowane centrum administracyjno-handlowo-kulturalne podzielono na... działki pracownicze. Za 20, 30 lat ten teren zacznie się wyludniać, ludzie będą wyjeżdżać za pracę. Mit o wielkim Jastrzębiu już w zasadzie umiera. Mówi się, że to "trójkąt bermudzki: praca - knajpa - dom, czyli sypialnia".

Ksiądz proboszcz Bernard Czernecki jest synem powstańca śląskiego, górnik z kopalni "Wujek". W Jastrzębiu jest 13 lat. Kiedy tu przyjechał w 1974 roku, miasto liczyło już 40 tysięcy mieszkańców i miało tylko jeden kościół - przedwojenny w Zdroju. Ksiądz wprowadził pewne novum - duszpasterstwo uliczne. I jeśli "miasto nie spoganiało" - to właśnie dzięki takim niestereotypowym zachowaniom księży. Dzisiaj proboszczuje w górującym nad miastem kościele, który przypomina silosy zbożowe.

Proboszcz: - Rocznie wyjeżdża z Jastrzębia od 700 do 800 rodzin. Wracają w swoje strony z zaoszczędzonymi pieniędzmi, emeryturami. Kiedy przyjechali tutaj, dostawali mieszkania, urządzali je na wysoki polysk. Po latach i domy, i mieszkania

ulegały dewastacji. Oni niewiele w nich robią. Co najwyżej zamieniają telewizor czarno-biały na kolorowy. Dlatego trudno jest mówić o patriotyzmie jastrzębskim. Tu nie ludzi nie trzyma poza mieszkaniem w bloku. Często słyszymy w czasie koledy, że gdyby mieli dokąd, wyjechaliby natychmiast. A kopalniom to odpowiada. Zwalniają się mieszkania. Ludzie nie przywiązują się do Jastrzębia, można więc tu w nic nie inwestować. Nie trzeba budować nowych domów, można czekać, aż skończy się węgiel.

Irena Słowakowa: - Wuj miał gospodarkę w Szerokiej koło Jastrzębia. I bloki, które tam pobudowano, wchodziły mu prawie w gospodarstwo, w ogród. Wujek był zrozpaczony - bloki pobudowali, ale żadnych sklepów. Ludzie po ziemniaki szli na wujka pole, po jabłka do ogrodu. Nocą.

Stanisław Słowak: - Dorabianie się tubylców w okolicach Jastrzębia wzbudza podziw, ale i przeraża. Ci rodzimi robotnicy pękają z dobrobytu, a szczególnie ci w okolicznych wsiach - mieszkają w takich willach, takimi samochodami jeżdżą! Ale to są ludzie zaharowani; po szychcie przyjeżdżają do domu i budują tę willę z całą rodziną, klanem. Nie wiedzą nawet, kiedy im mija życie. Są to ludzie solidni, porządni, ale nadmiernie zmateriałowani.

Marysia: - Werbuny więcej mówią i mniej robią. Ogólnie uważa się, że Ślązak jest zaradny, pracowity, a "gorol" tylko myśli: tu wykombinować, tam ukraść. Niektórzy tak się wyrażają: "gorol dwie lewe ręce, a wielki pysk."

#### GÓRNIK PONAD WSZYSTKO

Lekarka: - Marzę, żeby uciec stąd jak najszybciej. I do dzisiaj klnę godzinę, w której tu przyszedłem. Miasto bez kina, teatru. Kiedyś przyjechała do Jastrzębia pani Grychotówna. Miał być wspaniały koncert. Ale nie był, bo przerwała go w połowie. Inteligencja jastrzębska jak się zaczęła częstować cukierkami, Chryste Panie! Tu ludzie nie potrafią się zachować - ani na koncercie, ani na pogrzebie, ani na procesji Bożego Ciała, ani w teatrze. Cała ich kultura to telewizja. Górnicy uważają siebie za nadludzi. Wszyscy inni, którzy nie są górnikami, to śmiecie.

- Proszę się rozebrać do majteczek - mówię do pacjenta, który przychodzi na badanie okresowe.

- Do czego?

- Do majteczek. Ma pan pod kałesonami majteczki?

- Mam, a co to panią obchodzi?

- Proszę się rozebrać do majteczek. Będę pana badała.

- Zgłupiała baba. Tyle lat żełm przepracował na kopalni, a ona mnie do majtek będzie rozbierała.

Zdarzają się i tacy, którzy powiedzą: "Ty stara k...., co się wygłupiasz?!" Nie wierzyłam, jak mi to mówili koledzy, którzy uciekali z górnictwa. Pieniądże przewracają w głowie. I to, że wszyscy o tych górnikach mówią. W kościele słyszą, że są najważniejsi. W radio tylko górnicy. W prasie też. Wmawia im się, że są nadludźmi. I oni w to uwierzyli. Mówił to Bierut, Gomułka, Gierek, Jaruzelski, Prymas, Bednorz. Jestem wierząca, ale nie lubię do kościoła chodzić na te uroczystości, bo słyhać tam tylko: górnik i górnik. A ja jestem śmieć. Górnik, który pracował rok w kopalni, napisał skargę na lekarkę, która miała wiele lat praktyki i dawno skończoną czterdziestkę, że to dzięki jego pracy się wykształciła. Tłumaczy kiedyś takiemu, że najważniejszy jest rolnik, bo jak on nie posieje, to ty się tym swoim węglem nie najesz, a on sobie drzewa utnie i napali w piecu. I dlatego dla

tych ludzi nie można nic zrobić, bo nie ma z ich strony żadnej współpracy. Ja piszę receptę, on przychodzi po pięciu dniach i mówi, że mu moje leki nie pomogły. Biorę księżeczkę zdrowia, a ze środka wypada recepta. Ślężacy i ich synowie, którzy poszli do pracy na dół, potrafią się kulturalniej zachowywać. Bo gdyby ojciec dowiedział się, że jego 18-letni syn naubił lekarzowi, to by mu pysk sprął. Werbusy, zwłaszcza ci wytatuowani od szyi do pięt, to na nich nie ma żadnej siły.

Zofia Motykowa: - Bez łaciny trudno jest cokolwiek wyegzekwować. Tak mówią wszyscy z kopalnianego dozoru. Nasza córka była 10 lat radcą prawnym w kopalni "Jankowice". Poszła stamtąd do advokatury, bo nie mogła słuchać wyzwisk. Wchodzi kiedyś do gabinetu dyrektora, on rozmawia przez telefon i bluzgi takie idą, że aż uszy puchną. Odkłada słuchawkę i mówi: "przepraszam, koleżanko...".

Lekarka: - Chamstwo na dole? Przecież ci ludzie przyzwyczajeni do tego w życiu codziennym. Jak mu na dole sztygar coś grzecznie powie, to jeszcze się sam narazi na przykrości.

#### CZŁOWIEK KOSZTUJE NAJTANIEJ

Stanisław urodził się w Galicji Wschodniej w 1943 roku. Po wojnie repatriował się z rodzicami w okolice Legnicy. Tam ożenił się. W latach siedemdziesiątych przyjechał do Jastrzębia, gdzie wreszcie po latach mieszkania kątem stał się właścicielem kopalnianego M-4. Mówi: "Mam aż 50 metrów 85 cm kwadratowych!" Pracuje w kopalni na dole na niebezpiecznych stanowiskach i oprócz tego jest sanitariuszem dołowym, mimo iż ma kłopoty ze wzrokiem i na co dzień nosi okulary. Jest aktywnym członkiem jastrzębskiego przykościelnego koła PTTK "Pielgrzymi" i Bractwa Trzeźwości. Tegoroczny urlop przeznaczą na rodzinne wczasy oazowe. Odmawia pracy w niedzielę. Jest człowiekiem głęboko wierzącym. Nadal czuje się członkiem Solidarności.

Stanisław: - Tutaj tak się utarło, że człowiek w kopalni jest niczym. Taka jest atmosfera. Czasem górnicy ze sobą porozmawiają. Ale z dozorem nie ma mowy. W 1981 roku była rzeczywistość atmosfera życzliwości w kopalniach, ale obecnie już nie. Górnik nie może zareagować ani na chamstwo, ani odmówić wykonania niebezpiecznej pracy, bo nie ma w nas jedności. Jesteśmy społecznością podzieloną i rozbitą.

Lekarka: - Pacjenci uważają, że lekarz jest tylko po to, żeby zwolnienie wypisywał. Nie dbają o własne zdrowie, ani o zdrowie swoich najbliższych. Liczy się tylko: zarobię tyle a tyle tysięcy, z tego tyle a tyle przepięję, tyle przepalę, tyle przejem i dalej idę do pracy zarabiać na to samo od początku. O tym, czy lekarz zakładowy dostanie premię, decyduje jego kierownik, a to zależy od ilości skarg na lekarza. Ja mam pecha: na mnie jest dużo skarg, bo nie dają zwolnień.

Bronisław Motyka: - Sztygar ma obowiązek wyegzekwować pracę. Poza tym awansuje tylko ten dyrektor, który z roku na rok podwyższa plany wydobywania. Do Gwarectwa w Jastrzębiu przyjechał niedawno pan premier Messner. Górnicy zaczęli mu się skarżyć, że nie ma kina, sklepów itd... Dyskusja coraz głośniejsza, a szanowny pan premier odpowiada: "Mnie gównem obchodzą te wasze problemy. Ja chcę mieć tony i jeszcze raz tony. A z tymi sprawami to możecie iść do swojego prezenta."

Stanisław: - Górnik traci cztertnastkę, jak ma wypadek, który uznają, że był z jego winy. Na przykład taśmociąg urywa rękę albo nogę czyszczącemu. To zawsze jest z winy górnika, bo taśmociąg

powinien być czyszczony na postoju. Ale zatrzymanie taśmociągu to zatrzymanie ściany, urobku, czyli zarobku i dla dołowych, i dla dyrekcji, bo ona też ma płacone od ton. Nawet po wypadku taśmociąg trzeba czyścić z mięsa na biegu.

Zofia Motykowa: - Większość wypadków, to wynik zmuszania ludzi do pracy niezgodnej z przepisami. Górnik może odmówić wykonania polecenia, ale to się łączy z mniejszym zarobkiem i często przeniesieniem na gorszą ścianę wydobywczą. Na 80 czy 90 tysięcy, które dostaje, tylko kilkanaście tysięcy to zasadnicza płaca. Keszta dodatki. "Chłopie, jeśli ja zatrud, to ja na paseczku będę miał jedną trzecią tego, co mam teraz. Przy tej samej mojej pracy przez siedem dni w tygodniu."

Prezes koła PTTK "Pielgrzym" pochodzi z Zamojszczyzny. Zbliża się do pięćdziesiątki. Ma dwoje dzieci: córka, która skończyła liceum ogólnokształcące, pracuje w biurze, syn dojeżdża do zasadniczej szkoły - wstaje o piątej rano codziennie, wraca do domu po dwunastu godzinach. Prezes do grudnia 1981 r. był dyspozytorem transportu kopalnianego. Teraz jest ślusarzem w magazynie. W Jastrzębiu mieszka ponad dwadzieścia lat i czuje się już Ślązakiem. Również jego ściągnęło tutaj mieszkanie. To ostatnie, trzecie z kolei, M-4, ma prawie 64 metry. Prezes jest również członkiem Bractwa Trzeźwości.

Prezes: - Górnik, jeśli nie będzie pracował w soboty, to zarobi o 25 tysięcy mniej miesięcznie. W 1982 i 83 byli tacy, którzy robili tylko w soboty i niedziele. Teraz jeśli choruje przez pięć dni w tygodniu, nie ma prawa pracować przez dwie wolne soboty. Dlatego wielu nie bierze zwolnień, a wykorzystuje urlopy, gdy są chorzy. Tak są zniewoleni.

Adam: - Mamy sąsiadów, których żony wypychają do pracy w weekendy, żeby zarobili na benzynę, na towary w sklepie "G".

Stanisław: - Ja do roboty w niedzielę nie chodzę. Mnie wystarczy pieniądze, które zarobię przez pozostałe dni. Mam teraz bardzo dobrego kierownika. Wierzącego. Poprzedni natomiast był bardzo paskudny, czerwony. Ja u niego miałem wszystkie "pańskie" dniówki po 648 złotych plus 30 % premii, czyli zarabiałem 852 złote dziennie i koniec. Obrywał mi wszystkie inne dodatki, których jest mnóstwo.

Adam: - Jest takie powiedzenie: jak ktoś popracuje dziesięć lat w górnictwie i powdycha metan na dole, to go nawet na świadka do sądu nie biorą. Bo niby rozum mu się psuje.

Lekarka: - Bardzo wielu młodych ludzi przechodzi na rentę z powodu schorzeń kręgosłupa, przewlekłych nieżytów dróg oddechowych, zapalenia oskrzeli, astmy oskrzelowej, nawracającego zapalenia płuc. Dlaczego tak jest? Gdy górnik przekroczy limit zwolnień, 25 dni w roku, traci prawo do "trzynastki" i "czternastki". W sumie ponad sto tysięcy złotych. Dlatego ludzie niewyleczeni idą na dół. Górnik z zapaleniem oskrzeli czy niedoleczonym zwykłym przeziębieniem na dole spoci się, zmarznie, owieje go, zakurzy i na nowo ma sprawy oskrzelowe. W krótkim czasie zaczyna go dusić i musi iść na rentę mając 32, 33 lata, bo nie jest zdolny do pracy na dole. Gdyby go przeniesiono na powierzchnię, to emeryturę obliczono by mu z zarobku na powierzchni, a nie na dole. To są po prostu niewolnicy. Niewolnicy systemu, który goni ich do tego rodzaju pracy. 40, 50-letni górnicy idący na rentę, to są już bardzo starzy ludzie. Porównując pięćdziesięcioletniego górnika z jego rówieśnikiem, robotnikiem z Warszawy, to niebo i ziemia. Tamten będzie wyglądać na swoich lat 50, ten na 70!

Górnik wyjeżdża z dołu, idzie do łaźni, myje się, z mokrą głową, bo tam nie ma suszarki, galopem pędzi do autobusu - jak mieszka na miejscu, to może pojechać następnym, ale jak dojeżdża na przykład 100 kilometrów, to później nie ma czym się do domu dostać. W efekcie nie ma górnika, który by nie miał zapalenia zatok.

W Jastrzębiu nie ma poradni chorób zawodowych. Wysłałam więc pacjenta z podejrzeniem pylicy do Katowic. Po trzech tygodniach przychodzi werdykt: "Zagęszczenia smużkowato-plamkowe, nie upoważniające do rozpoznania pylicy. Za rok do kontroli. Wskazane leczenie sanatoryjne". A te zagęszczenia smużkowate, to właśnie pylica! Pył krzemowy nigdy nie wycofuje się z układu oddechowego czy płuc. Po pięciu latach taki górnik będzie miał już guzy pyliczne. I wtedy przyzna mu się rentę. Ale leczenie jest już niemożliwe. Usuwa się jedno płuco, część płuca. Służba zdrowia nie chce człowiekowi definitywnie powiedzieć: masz pylicę, czy nie.

### RÓŻOWY ŚNIEG NA CZANTORII

Zofia Motykowa: - Chcieliśmy na starość się stąd wynieść. Postawiliśmy gdzieś w górach domek. Ale cały Beskid jest skażony. Na Czantorii, gdy wieją wiatry południowe, leży różowy śnieg. Olza nie tak dawno jeszcze była bardziej czysta niż Wisła w Wiśle. Dziś to czarne gnojowisko. Raz z Czechosłowacji idzie mazut, raz olej. W ubiegłym roku malowaliśmy dom. Dziś należałoby go pucować od nowa. Śląskie miasta przed wojną były idealnie czyste mimo zakopienia. Rybnik tonął w kwiatkach i zieleni. Po Poznaniu był drugim miastem w Polsce pod względem czystości.

Bronisław Motyka: - W końcu lat sześćdziesiątych byłem w radzie miejskiej. Dawaliśmy do badania pyły, zanieczyszczenia. Wszystkie wyniki były tajne. Sytuacja pogorszyła się, gdy dla emalierni Huty "Silesia" przestano sprowadzać emalie z zagranicy. Opracowano własne rozwiązanie, przewidujące postawienie wysokiego komina. Ale później wykombinowano oszczędność: zamiast nowego dużego wykorzystano się 26 starych niskich. Efekt? W promieniu kilku kilometrów nic nie rośnie. Huta płaci ludziom odszkodowania za zmarnowane ogródki, zwierzęta, bydło. Ale ludzie żyją tam dalej, są żłobki, przedszkola oraz nowe szkoły. Parę lat temu PAN robiła w okolicach Rybnika badania gruntów. Ziemia skażona jest do tego stopnia, że hodować tu można jedynie kwiatki i to najlepiej takie, których się nie wacha. Żeby uprawiać warzywa, trzeba by zdjąć półmetrową warstwę gruntu wywieźć i przywieźć z Polski świeży, nieskażony humus. A jeśli się nie zmieni nic w przemyśle, to po dwóch latach operację tę należałoby powtórzyć.

Doskonale sobie zdajemy sprawę, że życie w tym środowisku jest straszne i że powoli umieramy. Mój roczny wnuczek jest po operacji nerki. Prawie wszystkie dzieci leżące w Warszawie na Lindleya na urologii, są właśnie stąd. A jednak trzymamy się na Śląsku. Stąd przecież pochodzimy.

Andrzej, lekarz-położnik, przyjechał tu z Warszawy zaraz po studiach i mocno wrósł w ziemię śląską. Ma lat 50. Z niebywałą łatwością nawiązuje kontakty z ludźmi. Andrzej nakarmi głodnego, przenocuje bezdomnego, napoi złaźnionego. Jest bardzo ceniony przez przyjaciół.

Andrzej: - W dwóch ostatnich miesiącach 1986 roku zarejestrowano w samych Gliwicach 25 przypadków białaczki u niemowląt. Tyle, ile przedtem przez cały rok. To skutki gwałtownie pogarszającej się sytuacji ekologicznej na Śląsku. W ostatnich latach zauważam coraz więcej narodzin dzieci z wrodzonymi wadami ge-

netycznymi. Zespół Down'a, zdarzający się u noworodków urodzonych przez pierwiastki po 35 roku życia, teraz występuje u niemowląt młodszych matek, nawet dwudziestoletnich, nie obciążonych dzie-dzicznie. A my na Śląsku nie mamy możliwości robienia badań genetycznych. Wstępną poradę może uzyskać matka w Zabrze. Na badania płynu owodniowego natomiast musimy kierować do Centrum Zdrowia Dziecka.

Bronisław Motyka: - W Czechosłowacji i NRD dzieci z okręgów przemysłowych rokrocznie miesiąc spędzają na koszt państwa w zdrowych okolicach. Z rejonów najbardziej skażonych ciężkimi metalami wyjeżdżają w góry cztery razy w roku. Te wyjazdy są połączone z nauką. Niedawno znajomi starali się dla dziecka o zasiłek pielęgnacyjny. W ZUS-ie zażądano zaświadczenia od lekarza. Ten odmówił twierdząc, że wszystkim dzieciom w regionie śląskim powinien się taki zasiłek należeć, jak również specjalna opieka. Tutaj odycha się kwasem siarkowym. Mnóstwo dzieci ma astmę, anemię.

Karol: - Pamiętam, tu po wojnie było jeszcze zielono, było pięknie. Ale już w latach 1952-53 nie można było uprawiać ogródka działkowego. Niedaleko mego domu była elektrownia. W kotłach przystosowanych kiedyś do porządnego węgla palono wyłącznie miałem. Po dwóch, trzech godzinach po sprzątnięciu mieszkania na parapecie była warstwa pyłu, który zmiatało się miotłą. Moi sąsiedzi ściągali krzepkich dziadków 60-latków i oni im przez całą wiosnę wywozili taczkami "maraz", który osiadł w ogródku. Któregoś dnia powiedzieli: "No, my wywieźli czterysta karów i to już ostatni raz". Oczywiście, tego ogródka już nikt więcej nie uprawiał. Zginęła trawa, zginęła zieleń, zginęło wszystko. To był rok 1953. Niektórzy próbowali jeszcze wywozić popiół, ale była to szaryta praca. Od tego czasu minęły 34 lata. W jaki sposób może to działać na mentalność ludzi? Oni urodzili się i żyli na wspaniałej ziemi, która dawała im dobry chleb i pracę. Teraz gdy widzą jej dewastację, mają do wyboru dwie rzeczy - skapancieć, przestać dbać nawet o własne mieszkanie, w których trzeba sprzątać dwa razy dziennie, albo wyjechać, gdzie jest porządek, spokój. Większość zamyka się w sobie: "To ja już nie robię nic. To ja tu srom!".

#### BYŁO, MINEŁO

Bronisław Motyka: - Przeczytałem kiedyś żonie tekst napisany w sierpniu 1926 roku: "W Rybniku spędziłem piękny niezapomniany wieczór, po tylu dniach włączyłem po wsiach śląskich, gdzie na każdym kroku czai się niewiara, z każdego kąta gmachu pracy narodowej wieje pustką przeraźliwą, znalazłem tu znowu krzepiącą wiarę i otuchę". Dziś znowu wieje ta niewiara, każdy pilnuje tylko tego, żeby jego rodzina miała z czego żyć i nic poza tym go nie obchodzi. Ludzie są przygnębieni.

Zofia Motykowa: - Ale są też ludzie bardzo zadowoleni. Mają dobre zarobki, nigdy im się tak nie powodziło jak teraz.

Stanisław Słowak: - W naszych rodzinach mamy zawziętych "solidarnościowców", ale jednocześnie zażartych jej wrogów. Rodzwięk jest w rodzinie do dzisiaj, od roku 1980...

Irena Słowakowa: - To z tchórzostwa...

Stanisław Słowak: - Nie... Chociaż tchórzostwo też trochę tu zadziało. Może to nie tchórzostwo nawet, a bardziej konformizm, obawa przed utraceniem tego, co się zdobyło. Obawa przed utratą statusu społecznego.

Karol: - Kiedy działałem w jawnej Solidarności, ludzie dziwili się: "To ty pewnie nie jesteś Ślązakiem?" Ludzie nie wyobrażali sobie, że ja mogę być Ślązakiem z dziada pradziada. Było to dla nich zaskoczeniem.

Stanisław Słowak: - Ślązacy rzadko angażowali się w Solidarność, bo mieli smutne doświadczenia, z jednej i drugiej strony ginęli za wychylenia. Z żoną chodziliśmy często do rodziny. I od tych naszych Ślązaków usłyszeliśmy: "że jest niegodne Polaka występować przeciwko polskiemu generałowi. Bo to jest Polska". Moja kuzynka uważała, że "sprzeniewierzyłyby się pamięci ojca i matki, wielkich Polaków śląskich, którzy walczyli o polski Śląsk, bo to byłaby woda na młyn rewizjonizmu niemieckiego". Ręce nam opadły. Oni nie mają złudzeń, że jest to system zdegenerowany, zły, że Rosjanie tutaj dyktują, ale uważają, że lepsze to polskie zło, niż gdyby mieli tutaj przyjść Niemcy. Takie było stanowisko wielu polskich Ślązaków, tych co zostali. Oni uważali, że przyłączając się do Solidarności robiliby dobrą robotę dla Niemców, którzy tylko czekają na osłabienie organizmu polskiego. "Dobrze nie jest, ale bdy nie ma, po polsku mówimy, do polskiej szkoły dzieci chodzą, nikt nie bije nas za to, że wypowiadamy się w swoim języku, robota jest, a to dla Ślązaka bardzo ważne. Auta mamy, jakoś mieszkamy. Złe nam? No, wprawdzie to nie jest ta Polska, która być powinna i jaką sobie wymarzyliśmy, ale lepsze to niż gdyby miał przyjść tu Niemiec". Wiem, że podziłały są wszędzie, ale tu na Śląsku występują jeszcze z dodatkowych powodów. Mój przyjaciel, syn bardzo zasłużonego powstańca, członek ZBOWiDu i PZPR, zarzucał mi na przykład: "Jaki z ciebie Polak, przeciwko komu ty chcesz występować? Przeciwko armii polskiej, polskiemu generałom? Jeśli jesteś przeciwko, to ty nie jesteś Polakiem" Nikt z napływowych nie myślałby tak, że działając w Solidarności występuje się przeciwko Polsce.

Karol: - Pytacie, kim były kopidoły, które zjechały do kopalni 13 i 14 grudnia 1981 roku i zaczęły strajkować: Ślązakami czy napływowymi? Myślę, że akurat tego dnia zjechali strajkować i Ślązacy, i napływowi. Ale rzeczywiście, postawy miejscowych i napływowych są różne. Ma to swoje wytłumaczenie. Na terenie, na którym jesteśmy obcy, gdzie nie zostajemy dłużej, pozwalamy sobie na robienie różnych rzeczy, takich, z których nie będziemy musieli się rozliczać. Tam, gdzie chcemy zostać na zawsze, czy w miejscu urodzenia, jakiś wewnętrzny hamulec broni nas przed ich robieniem. Z drugiej strony, ludzie, którzy nie urodzili się na Śląsku, a tylko tu zamieszkali, chętniej idą na manifestacje. "Jak mnie wypieprzą, to najwyżej wrócę w Kieleckie" - myśli łapaniec. U napływowych z jednej strony spotykamy się z postawą naganną moralnie, z drugiej, z nieprawdopodobną odwagą i zdolnościami do brawurowej akcji. Na terenach natomiast tradycyjnie śląskich wygląda to blade. Ślązak nie jest zdolny ani do brawurowych akcji, ani do świństw. Na wszelki wypadek zjedzie do kopalni, bo złożył papiery do RFN. Albo - "jeszcze żem nie złożył, ale może złoza, nie?" I to boli bardzo. Lecz 13 grudnia było akurat inaczej. I tym, którzy mówią, że 13 grudnia kopidoły poszły kopać, należałoby to wciągnąć z powrotem w gardło. Determinacja śląskich górników brała się może stąd, że oni w pewnym sensie uznawali Solidarność za swoją władzę. I tej władzy, w tym momencie, oddali cześć. W kopalniach działy się wówczas rzeczy straszne. Świadomość ludzka nie wymaże tego tak szybko. Ci, co wtedy strajkowali i oglądali rozbijanie kopalń przez ZOMO, wciąż budzą się z tym wspomnieniem.



Paweł Gross przyjechał na Śląsk z Warszawy. Od 18 lat przykuty jest do wózka inwalidzkiego. Ma sparaliżowane obie nogi. Zmiażdżyła mu je winda w zakładzie pracy. Próbuje stworzyć ogólnopolski komitet niepełnosprawnych. Po 13 grudnia był wielokrotnie przesłuchiwany. W trakcie jednego z przesłuchań, poczęstowany przez panią prokurator carmenem, odpowiedział: "cena by mi płuca rozerwała!" Pali popularne. Dostaje 17 tysięcy renty na siebie i żonę.

**Paweł Gross:** - Niejeden kopydół na pytanie o składki mówi: "Ja tam se wolę wypić piwo". Z MKR Jastrzębie zostało nas dwóch - Jedynek i ja. Dlaczego młodzi górnicy są zastrachani? Bo mają ponabierane pożyczki. Gdyby zwolnili ich, musieliby płacić natychmiast ze sześćset tysięcy. Zostaliby w gołych ścianach.

**Stanisław:** - Wciąż jestem członkiem Solidarności. Zbiera się jeszcze składki. Jak komuś urodzi się dziecko, dajemy zapomogę, dajemy też na pogrzeb, czy jak ktoś jest chory. Mamy swoje pieniądze na ten cel... Ale zauważyłem, że dużo moich zaufanych kolegów ostatnio odeszło. Nie wiem dlaczego. Nawet ci wypróbowani, którzy chodzili zawsze na Mszę za Ojczyznę. Mam znajomego, który płacił składki, chodził na nabożeństwa, a teraz już nie. Twierdzi, że zniechęcił go ksiądz biskup, który po Mszy Barbórkowej zabrał dary złożone kościołowi przez górników. Inny przestał płacić składki i wyłączył się ze wszystkiego, bo chce wyjechać do Stanów i boi się o paszport. Innego znowu to wszystko znudziło. Ludzie przestali wierzyć. W naszej kopalni jest pięciu czy sześciu, z którymi można by coś zrobić. Garstka.

Jan Andrzej Górny w podziemiu od 13 grudnia 1981 roku. Działacz Solidarności Huty Katowice, po aresztowaniu Tadeusza Jedyńaka szef Śląsko-Dąbrowskiego RKW. Do dziś kieruje podziemną strukturą Związku.

**Jan A.Górny:** - Oceniam, że na Śląsku wychodzi regularnie ponad dwadzieścia pism. Są jeszcze periodyki "Solidarności Walczącej" i Konfederacji Polski Niepodległej, pismka szkolne - w sumie będzie ich ponad trzydzieści. To poważna ilość. Sam byłem nawet tym zaskoczony. Być może to wynika z tego, że każde miasto ma ambicje, żeby coś tam było. I robią to. Są jeszcze sprawy środowiskowe. W każdym mieście coś wychodzi, i to nieraz kilka pism. Najbardziej znaczące, to "RIS", czyli "Regionalny Informator Solidarności", "Górnik Polski", "Głos Śląsko-Dąbrowski", "Jesteśmy", "Ośc", "Vis". To chyba te ukazujące się z dużą systematycznością i na przyzwoitym poziomie.

**Karol:** - Zorganizowanie kolportażu w skali Śląska to taki problem jak kolportaż w skali kraju. Jak masz obsłużyć prawie pięć milionów ludzi, to musisz mieć skrzynki w Sosnowcu, Gliwicach, Jastrzębiu. A to są odległości sto, sto dwadzieścia kilometrów i jedzie się tam godzinami pociągiem. To nie jest tak, że sobie przejedziesz z jednej ulicy na drugą tramwajem. Musimy wciąż napędzać maszynę wewnętrzną. Tak wiele energii tracimy na własny obieg, że już nas nie stać, nie mamy czasu wydalić tego z siebie na zewnątrz. To nie znaczy wcale, że tu jest różowo, ale nie jest tak tragicznie, jak się wydaje z zewnątrz.

**Wikary:** - Jeżeli sytuacja się nie zmieni, nie za bardzo wierzę, żeby się ludzie pozbięrali. Człowiek, który raz stracił zaufanie, nie zaangażuje się już tak łatwo. Nie wiem, czy zupełnie stracili nadzieję, może nie aż tak. Ale często słychać pytanie - a co my możemy zrobić? Zgodzili się na to, co jest.

Z młodymi też jest trudno. Mam do czynienia z młodzieżą szesnastoletnią. Sześć lat temu mieli dziesięć lat. Trudno jest im wytłumaczyć, że moje kazania nie są polityczne, a jedynie dotyczą spraw społecznych, w których Kościół ma obowiązek zabierać głos. Zrobiłem mały sondaż wśród młodzieży, co sądzi o Kościele, jak go widzi? 75 % raziły te rzekomo polityczne kazania. Te opinie oczywiście usłyszeli w domach, a później tylko je powtórzyli. I teraz tłumacz im, co jest polityką, a co nie jest. Bo polityką jest wszystko - jeżeli powiem o pracy górnika w niedzielę, to ich zdaniem wytkam nos w nie swoje sprawy.

Karol: - Coraz bardziej denerwuje nas obecna sytuacja. Czujemy do niej nichęć i nienawiść. Zakładamy, że to samo muszą czuć wszyscy inni. Ale też powiedzmy szczerze, wszyscy jesteśmy zmęczeni. Również my tutaj siedzący w tym pokoju. Co postępuje szybciej? Zmęczenie czy złość? Co jest silniejsze? Co jest szybsze? Ja nie jestem w stanie tego ocenić. Tadek Jedynek twierdzi, że szybciej rośnie złość i nienawiść. Ja nie jestem pewien.

#### BEZRADNOŚĆ

Spotkali się, żeby pomówić o Mszy za Ojczyznę, zaplanowanej na drugą niedzielę kwietnia. Górnicy, kilku rencistów i Tadeusz Jedynek - szef śląskiej Tymczasowej Rady Solidarności. Z powodu naszej obecności rozmowa potoczyła się inaczej. Nadarzyła się okazja do głośniego wypowiedzenia tego, co leży na sercu. Ci, choć nie znali nas wcześniej, nie boją się. Nie zniżają głosu wymawiając słowo Solidarność. Wszyscy, bez wyjątku, są werbusami.

- Dlaczego tak wielu śląskich działaczy wyemigrowało?

Grzegorz: - Tu wszystko stało się za szybko... Na wybrzeżu zbierało się latami, gętowało się. Tutaj wybuchło nagle, ludziom spodobało się, a potem zostali zupełnie sami.

Czesław: - Idee zostały, ale zmieniła nas wojna. Jest mniej rozgrywek. Ludzie, którzy by się i tak nie sprawdzili, odeszli sami. Czas stanu wojennego scementował nas.

Grzegorz: - Moim zdaniem Związek popełnił błąd, że nie patrzył na jakość, ale na ilość. Do Solidarności przystąpiło wielu prowokatorów, którzy organizowali strajki...

Jan: - Ale czy było inne rozwiązanie? Przecież to był związek zawodowy, a nie partia, otwarty dla każdego zatrudnionego. Wina leżała gdzie indziej. Spotkałem się z zarzutami: "Czy wiesz z kim pracowałeś w komisji zakładowej?" Ja odpowiadałem: Wy powinniście wiedzieć, bo ja pracowałem z tymi, których wy wybraliście. Tylko, że te problemy mało wtedy ludzi interesowały. Mówili: wybraliśmy was, to teraz tyrajcie. Mówią dziś, że nic się nie dzieje. Gdy pytam: a co ty zrobiłeś? odpowiada - a ja mam dzieci! To ja mu na to: a co, ja mam prosięta?!

Nie ma nam kto doradzić. Ludzie wykształceni stronią od Jastrzębia, wolą Warszawę, i nikt, myślę, nie przeniósłby się tutaj. A kto poszedł do uczelni katowickich? Poszli karierowicze, którzy gdzie indziej nie nadążali za kolegami. Tu przyjęli odpowiednią orientację i legitymację. Śląsk był opuszczony przez intelektualistów wówczas, gdy mógł być ratowany.

Piotr: - Ślązaków nie można zbyt łatwo określać, oceniać. Do nich trzeba dotrzeć. I najgorsze, że nawet my tutaj mamy z tym trudności. Dlatego ruch oporu jest tutaj mniej widoczny. Wiele zależy również od dziennikarzy; polskich i zagranicznych. Wystarczy, że w Warszawie dwóch czy trzech ludzi coś zrobi, a

zaraz się o tym mówi. Dlaczego tak mało mówiło się o ostatniej Barbórce w Jastrzębiu? To była niezależna Barbórka, zrobiona przez górników. Przyjechało tylu ludzi, dziennikarzy, a było cichutko. Dlaczego tak mało mówiło się o Jedyaku, kiedy się- dział w podziemiu?

Jedynak: - O Barbórce pisano dużo. Był półgodzinny program w telewizji amerykańskiej.

- Może zbyt cicho krzyczycie?

Piotr: - Tutaj, co by się nie robiło, nie ma prawa stąd wyjść. Także to, co się dzieje na zewnątrz nie ma prawa dostać się do naszego regionu. Dośćownie, nic tu nie wejdzie i nic nie wyjdzie. Mamy uczucie, jakby dzieliła nas od reszty Polski jakaś zasłona.

Grzegorz: - Myśli niezależnej tak łatwo się nie zatrzyma. Gdzie się ostatnio nie wystąpi, tam widać książki, gazety niezależne i to w dużych ilościach.

Jedynak: - Przypomnijmy sobie, jak Śląsk był odbierany w czasach gierkowskich w kraju. Nie oszukujmy się, dopiero teraz odkłamyjemy wyobrażenie o nim. Ludzie w Polsce mają wypaczony obraz Śląska i stąd bierze się ta cisza propagandowa. Nie oszukujmy się, w Polsce centralnej Ślązak nie jest lubiany. Przecięt- ny człowiek uważa nas za robotli-kopidołów.

Grzegorz: - Śląska nie lubią z powodu tych ludzi, którzy ciężko pracują i dużo zarabiają. Ale jeśli zaczną się stąd roz- chodzić po Polsce pisma, choćby nawet tylko te lepsze, to okazuje się, że wcale nie jest prawdą, że tu jest pustynia.

Piotr: - Ale każdy woli przeczytać "Tygodnik Mazowsze" niż nasze gazety.

Jan: - Wysyła się na przykład człowieka z 50 egzemplarzami naszych pism, i oni mówią jemu: "Weźmiemy dwa bezpłatnie, a wy macie tu tysiąc "Mazowsza" i płaciecie od ręki". W centrali nie chcą znać naszych pism. Chyba tam jest trochę woli. My przecież też moglibyśmy tak myśleć, że na całe województwo kato- wickie wystarczy 10 "TM-ów": dwa na Jastrzębie, dwa na Chorzów...

Czesław: - Moim zdaniem, nam brakuje jakiegoś głośnego naz- wiska, intelektualisty, jakiegoś Onyszkiewicza czy Geremka...

- Chodzi wam o kogoś, kto układałby program?

Wszyscy: - Nie, nie!

Jedynak: - Chodzi nam o człowieka z autorytetem, który dałby przegląd sytuacji i udzielił rady. Na Śląsku nie ma człowieka, który mógłby być rzecznikiem, który potrafiłby wyartykułować nasze problemy.

- Naprawdę jest taka pustynia?

Jedynak: - Jest trochę fajnych ludzi, ale akurat nie takiego formatu jak Mazowiecki czy Geremek.

Jan: - Ale ja mówię, że jeżeli się nie wsiądzie na rower, to się nie nauczy jeździć. Jeżeliby ktoś wyszedł, nawet mniejszego formatu...

Jedynak: - Kiedyś Kazio Kutz miał szansę załapać się na ta- kiego, ale zrejterował. Człowiek poważny, znany reżyser... Właś- nie takiego potrzebowaliśmy. W Krakowie można pójść do Machar- skiego, we Wrocławiu do Gulbinowicza i czegoś się dowiedzieć - a tutaj nie ma gdzie. Nie czarujemy się. To jest region robotni- czy i my dobrze czujemy tę naszą słabość. Kiedyś mieliśmy profesora Czartoryskiego z Warszawy. W okresie Solidarności chodził na spotkania z rządem, rozmawiał z dziennikarzami, reprezentował interesy górników. Tak było jeszcze na początku stanu wojennego.

Ale on mieszka w Warszawie i w końcu nasze kontakty się urwały. Bywało, że na doradców pluiliśmy, ale jednak są nam potrzebni. Jeśli w okresie jawnej działalności Związku sporo pisano o nas, to dlatego, że pomagało nam kilka osób. Ale czy my możemy mieć pretensję do Warszawy czy Krakowa, że nie przedrukowują naszych informacji, jeżeli mało się nami interesują? Ale ostatnio zaczęło się chyba zmieniać. Na Barbórkę ściągnęło sporo ludzi, pod kopalnię "Wujek" również. Może będzie lepiej?

Jan: - O "Wujku" też mało się mówiło. A przyszło tyle tysięcy ludzi! Wystarczy mała akcja w Warszawie, a trąbi się o niej trzy dni. Rozgłośnią powtarza za rozgłośnią, agencja za agencją..

Jedynak: - Sam miesiąc wcześniej po agencjach jeździłem i rozwoziłem program. I dlatego tu byli, bo powiedziałem, że przyjadzie do nas sam Wałęsa. Gdybyśmy nie zapowiedzieli Lecha, może by ich tu trzech przyjechało?

Czesław: - Dobrze chociaż, że wyświetlili na Zachodzie film o Barbórcie. Niech ci, którzy wyjechali, widzą, że bez nich dalej działamy, że jesteśmy.

Piotr: - Nie chcę się żalić... ale w prasie krakowskiej były teksty na rocznicę Gdańska, Szczecina, a o jastrzębskiej rocznicy nie napisano ni słowa.

Jedynak: - Ale co my zrobiliśmy? Sami uderzmy się w pierś. W Szczecinie, Gdańsku, miesiąc wcześniej zawiadamiają, że walą pod tablicę z kwiatami i nastawiają się na represje. Podobnie jest w Ursusie, Radomiu. A u nas? Nie czarujmy się. Dziennikarze chcą sensacji. Przyjechali pod "Wujka", bo wiedzieli, że będzie demonstracja pod krzyżem, a nie dlatego, że odbędzie się jeszcze jedna msza.

Grzegorz: - A czy rozmowa z nami, po mszy, nie byłaby sensacją?

Jedynak: - Ale to trzeba ich zaprosić, powiedzieć, że takie spotkanie chcacie zrobić, że macie dużo do powiedzenia. Wtedy oni na pewno by tu przyjechali. Oni na to czekają.

Grzegorz: - Ale my nie mamy możliwości zorganizowania demonstracji pod pomnikiem...

Jedynak: - Mamy. Jak byśmy chcieli, to mamy.

Piotr: - Pod "Manifestem"?

Jedynak: - A dlaczego nie? A że tablica szpetna? Pod "Wujkiem" do dziś wisi szpetna tablica, chyba jeszcze gorza niż u nas.

Grzegorz: - My mamy lepszą w kościele tablicę. To może' lepiej tutaj?

Piotr: - Ale po "Wujkiem" jest jakieś miejsce.

Jan: - Według mnie "Manifest" nam nie wyjdzie ani pomnik nam nie wyjdzie. Ale wyjdzie z ludźmi na wielki plac autobusowy - to by wyszło.

Jedynak: - 1 maja spokojnie można by wyjść z kościoła.

Jan: - Nawet, jak pójdzie pięciu, to reszta powie: "Ja tylko chciałem zobaczyć" i już jest. Nie?

Jedynak: - A jak 1 maja wyjdziemy z kościoła i pójdziemy do Jaru z okrzykami, hasłami, transparentami Solidarności?

Piotr: - 1 maja zeszłego roku było więcej w mundurach niebieskich niż górniczych. Były ulotki, że będzie niezależny spacer pewnymi ulicami. No, i co było? Pełno było tych w granatowych płaszczach, a ludzi ilu było? No, dosłownie pięćdziesięciu. A tamtych było ze stu.

Czesław: - Górnik wie, że musi przepracować tyle i tyle lat i pójdzie na szczęśliwą emeryturę, dostanie 40-50 tysięcy, a co

Jemu trzeba więcej? On się trzyma tego rękami i nogami. Przecież z niektórymi górnikami nie można w ogóle pogadać. On nie chce słyszeć o gazetkach. Może i po cichu on ją weźmie, ale tak to on nie chce słyszeć o niczym. Oni chcieliby zmiany, ale jakimś kosztem.

Jedynak: - Zaraz powyjściu z więzienia poleciałem z żoną pod "Manifest", żeby tam kwiatek złożyć. Wyszedłem z czerwoniaka, patrzę stoi tam mój znajomy hydraulik, z którym pracowałem razem i on ucieka przede mną. W końcu zatrzymałem go i pytam: "Co jest?" A on mi na to: "Ja mam jeszcze dwa lata do emerytury i chcę spokojnie przerobić". Mówię mu: "Człowieku, przecież ja nic nie robię, stoję tylko na przystanku".

Czesław: - Co się będziemy dziwić? Jest kilka osób, które czegoś chcą, pogadać z nimi można, ale żeby powiedzieć im, że trzeba coś zrobić, to już nic nie wyjdzie. Żyją tylko pieniędzmi, kłócą się o soboty i niedziele, żeby więcej zarobić. I tylko tyle ich obchodzi.

### ... I DIABŁU OGAREK

W osadzie przy czeskiej granicy stoi mały fiacik przed domkiem z początku wieku. Mieszka tutaj ekonomistka, pani Basia, absolwentka Śląskiej Akademii Ekonomicznej, jej mąż pracujący w dozorze, jak mówi się tutaj o wszystkich kierowniczych stanowiskach, dwoje dzieci. Pani Basia pracowała w kopalni "Borynia". Teraz jest na urlopie wychowawczym. Do Solidarności nie zdążyła się zapisać. Szef, starszy i doświadczony człowiek, poradził jej poczekać. "Zanim wyczekałam, Solidarności już nie było". Zapisała się więc do nowych związków.

W wolną sobotę przed południem w salonie pijemy kawę, jemy sernik, oczywiście domowej roboty. Przychodzą dwie koleżanki, prawie równolatki. Obie mają średnie wykształcenie. Krysia jeet urzędniczką w "Społem". Należała do Solidarności i do nowych związków nie zapisała się. Wiesia - referent piacowy w kopalni "Moszczenica" - była członkiem Solidarności, teraz należy do nowych związków zawodowych. Mąż kręci się koło domu. Gdy kilkakrotnie pada słowo: związki, Solidarność - zaniepokojony zagląda do pokoju, siada w kącie i nasłuchuje. Jest członkiem PZPR i nowych związków. Wszyscy urodzili się tutaj i z dużym trudem starają się nie mówić gwarą.

Urzędniczka: - Przyszła fala i wszyscy zapisali się do Solidarności. A potem jak Solidarność upadła, to do nowych związków.

Referentka: - Szef powiedział nam, że trzeba się zapisać, żeby nie odczuć na stawce i innych rzeczach.

- A jakie ma pani z tego konkretne korzyści?

Referentka: - Konkretnie dostałam tysiąc złotych na dzień kobiet. W następnym roku załatwili nam "Kuchnię polską", ale trzeba było dopłacić jakieś pieniądze.

- Czy ci, którzy się nie zapisali, nie patrzyli na was koso?

Referentka: - Wszystkie urzędniczki się zapisały.

- A górnicy w pani kopalni?

Referentka: - Niestety, nie. Znam wielu pracowników dołowych, którzy mówili, że się do tej bandy nie zapiszą.

- A czy nie miała pani żadnych wątpliwości... Syła pani przecież członkiem Solidarności. Czy to czasem nie jest niewierność?

Panie apojrzały po sobie i zachichotały.

Referentka: - Jak to szło tak falą, żeby się zapisać... Jedni mi nic nie dali i drudzy mi nic nie dają. Jak chcą tak bardzo, to dlaczego mam się nie zapisać?

Urzędniczka: - Teraz najlepiej takim, którzy mają fałszywą mentalność. Oni są wszędzie. Gdy w Kole Gospodyń Wiejskich dzieła kawy - taka jest pierwsza; w kościele, jak Caritas dzieła - też jest; w partii - też jest i wszędzie jej dobrze; dla kleryków Uniwersytetu Lubelskiego zbierają - ona też.

Referentka: - Po co być czarną owcą?

Mąż: - W naszym zakładzie była taka mentalność, że nikt z dozoru nie był w Solidarności.

Urzędniczka: - Może i ja bym się do nowych związków zapisała, gdyby oni ich tak nie reklamowali. Ale oni chodzili jak Świadkowie Jehowy... Chodzili i agitowali.

Urzędniczka: - Ludzie już na Solidarność by się nie zdobyli, bo wiedzą, że wszystko zostanie stłumione... Nie, na pewno nie.

Mąż: - Lepiej pogadać o dupie Maryni, niż o polityce. U nas o polityce nigdy nie ma rozmów. Cnota za cnotami trzymać język za zębami. Szkoda język strzępić.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

x

Karol: - Są społeczności anarchiczne i społeczności spolegliwe, bardziej subordynowane. Ślązaków wychowano w subordynacji. To może być skarbem tego kraju. Jeśli odzyska on wolność, to ludzie, którzy są w stanie odpowiedzieć pozytywnie na wezwanie władzy, będą skarbem. I będziemy błagać, żeby tych Ślązaków było w Polsce dużo. Przekleństwem dla nas będzie nie Śląsk, ale Warszawa. Denerwujecie się? Ale to jest prawda. To może być nasze zbawienie.

- Ale sam przyznasz, że tradycyjne wartości śląskie też uległy zniszczeniu?

Karol: - Na pewno. Nie ma już dobrego prawa i dobrej roboty. Ale korzenie mogą odrosnąć.

- Podcięte korzenie?

Karol: - Może trochę przesadziłem. Już sam w to nie wierzę tak bardzo. Myślę, że sytuacja jest najgorsza z możliwych: trudno będzie odbudować zaufanie do władzy, a jednocześnie nie wykształciły się u tych ludzi zachowania niezbędne w momencie kiedy żądzą władzę chce się zmienić na inną lepszą. Dlatego tak trudno tu budować zbiorowy opór.

Stanisława Domagańska

Jarosław Szczepański

JACEK SZYHANEŁSKI

# Polacy '84 i '85

## - próba interpretacji

Postaram się przedstawić polityczne wnioski, jakie można wyprowadzić z prowadzonych ostatnio badań socjologicznych, związanych z ogólnopolskiego badania "Polacy 84". Uzyskane w badaniu wyniki ilościowe podaje się z dużą dokładnością, jednak trzeba pamiętać, że przytaczanie takich danych, jak np., że zaufanie do MO wyraża 33,2 % społeczeństwa, jest pewnym nadużyciem. Tak dokładne oszacowanie, co myśli całe społeczeństwo na podstawie zbadania niewielkiej grupki nie jest możliwe. Błąd w granicach 5 do 10 % jest bardzo prawdopodobny. Jego wielkość zależy również od rodzaju pytania. Ponadto zawsze pewna grupa odpowiadających /może to być np. około 10 %/ nie myśli zbyt dokładnie co mówi. Iwa to samo pytanie zadane po kwadransie, ludzie ci mogą odpowiedzieć inaczej. Są tacy, którzy starają się dawać odpowiedzi, które zadowoliliby zadającego pytania i to nie dlatego, że się boją, a dlatego, że chcą być mili, dobrze wypaść w oczach pytającego itp. Istnieje również na pewno grupa ludzi, którzy boją się odpowiadać na pytania polityczne. Analiza danych wskazuje, że ludzie ci głównie odmawiali odpowiedzi, a nie po prostu kłamali. Tłumaczenie pewnych odpowiedzi tylko zwykłym strachem jest jednak na ogół nieprawdziwe.

Będę unikał podawania dużej ilości liczb; wszystkie przytoczone wielkości należy traktować jako przybliżenie a nie jako dokładny pomiar. Nie będę również przytaczał technik interpretacyjnych, które doprowadziły badacze do pewnych wniosków.

### Istota konfliktu

Przynajmniej sześciu na każdych dziesięciu dorosłych Polaków uważa, że w Polsce ma miejsce konflikt społeczny, prawdopodobnie dwóch powie, że nie ma konfliktu i dwóch nie będzie miało zdania. Jakies 4/5 spośród tych, którzy są zdania, że konflikt istnieje powie, że jest to konflikt między władzą a społeczeństwem. Około 10 % twierdzi, że konflikt występuje między władzą a "Solidarnością", reszta mówi o konflikcie między miastem a wsią itp.

Czego dotyczy konflikt? W badaniach na ogół nie zadawano wprost pytania na ten temat. Socjologowie twierdzą, że konflikt rozgrywa się między społecznymi aspiracjami, oczekiwaniami, a kształtem i efektywnością systemu polityczno-gospodarczego. Słowem system uniemożliwia rozwój i zaspokojenie istniejących już potrzeb i aspiracji. Czy konflikt dotyczy zmiany systemu? Czego dotyczy konflikt? W badaniach na ogół nie zadawano wprost pytania na ten temat. W społeczeństwie polskim występują przynajmniej dwa wzajemnie nakładające się na siebie konflikty. Pierwszy z nich rozgrywa się między społecznymi aspiracjami, oczekiwaniami, a kształtem i efektywnością systemu polityczno-gospodarczego. Nie jest to bezpośrednio polityczny konflikt o władzę, jest to raczej walka pewnej części mieszkańców Polski o życiową samo-

realizację. Drugi konflikt - ściśle związany z pierwszym, to konflikt między władzą a opozycją. Ma on charakter polityczny, jest to walka o poparcie. Opozycja to "Solidarność" w podziemiu, Lech Wałęsa, Bujak, Kuroń. W konflikcie system - aspiracje nikt nie pozostaje obojętny, bo nie można pozostać obojętnym wobec problemu zadolenia z własnego życia, poczucia sensu i spełnienia. W konflikcie władza - opozycja bezpośrednio zaangażowane jest po obydwu stronach nie więcej niż około 30 % społeczeństwa, natomiast przynajmniej 70 % społeczeństwa zachowuje postawę kibica. W ogromnej większości czują oni sympatię do opozycji, co nie znaczy, że mają zaufanie, iż pomoże ona realizować ich aspiracje.

Konflikt, w którym z jednej strony stoją aspiracje, jakie ludzie chcieliby realizować, a z drugiej warunki uniemożliwiające ich realizację, jest konfliktem dotyczącym sensowności pracy i wysiłków podejmowanych przez ludzi. Pojęcie sensu wydaje się bardzo ważne w analizowaniu stanu politycznej świadomości społeczeństwa. Jeżeli ktoś powiada, że istnieje konflikt między jego aspiracjami a systemem, który uniemożliwia ich realizację, to znaczy, że jest on przekonany, iż swoją pracą przy posiadanych umiejętnościach, zdrowiu i sile mógłby owe aspiracje zrealizować. Na przeszkodzie do ich realizacji stoją czynniki zewnętrzne.

Aparat partyjno-państwowy od szeregu lat nie potrafi zapewnić prawidłowego funkcjonowania państwa. Wszyscy, a zwłaszcza mieszkańcy wielkich miast, zależni są od sprawnego działania ogromnych organizacji, które czynią realnym związek między działaniem człowieka a celem, dla którego to działanie podjęto. Gospodarstwa domowe umieszczone w wielkich blokach wymagają bez przerwy dostarczania z zewnątrz wody, ciepła, energii, żywności, usuwania śmieci itp. Wszystko to zależy od sprawnego funkcjonowania olbrzymich organizacji. Organizacje te utożsamiane są z państwem i wszystkie należą do sfery polityki. Ich coraz mniej sprawne działanie jest prawdopodobnie główną przyczyną lęków społecznych. Obywatele nie mają wpływu na utrzymanie sprawnego funkcjonowania państwa.

Szczególnie istotne znaczenie mają jednak te czynniki, które nadają sens pracy, które powodują, że między wysiłkiem i umiejętnościami włożonymi w pracę a wartością wykonanego dzieła i otrzymanym zarobkiem - istnieje zależność. Organizacje pośredniczące między wysiłkiem pracownika a gotowym dziełem muszą być na tyle efektywne, by pracownik był przekonany, że jego praca nie jest marnowana. Dopiero wówczas praca nabiera sensu. Aspiracja, by praca miała sens, by była podmiotowa, by pracownik czuł, że ma wpływ na swoją sytuację życiową, jest najważniejszą z aspiracji, które wchodzi w konflikt z systemem. Ogromna większość Polaków chce, by praca uzyskała sens dzięki usprawnieniu istniejącej organizacji, a nie poprzez jej zmianę. Co najmniej 70 % Polaków żywi przekonanie, że możliwa jest poprawa bez zasadniczych zmian. Wielu ludzi boi się konfrontacji z władzą i radykalnych zmian.

Organizacje przetwarzające pracę w rezultat są w ogromnej większości w dyspozycji aparatu politycznego. Są więc uważane za polityczne. Praca w państwowych zakładach jest powszechnie, przez około 70 % pracujących uważana jako środek niewystarczający do poprawy własnej sytuacji i to zarówno bezpośrednio, czyli dla uzyskania większych zarobków, jak i pośrednio, czyli przez ogólną poprawę funkcjonowania państwa. Ten brak możliwości wpływu na własną sytuację, przy jednoczesnym poczuciu zagrożenia kryzysem, jest źródłem niezwykle silnych napięć i lęków. Około 60 % ludzi twierdzi, że ich zarobki i sytuacja życiowa nie zależą od ich pracy.



W konflikcie aspiracje - system znacznie ważniejszą rolę odgrywiają aspiracje do uzyskania wpływu na własną sytuację niż roszczenia wobec władz /postawa roszczeniowa dominuje w grupie robotników niewykwalifikowanych/. Fakt ten ma olbrzymie konsekwencje polityczne. Siłąboć postawy roszczeniowej wynika prawdopodobnie nie tylko z przekonania, że rząd nie da się zmusić do spełnienia roszczeń, ale również dlatego, że powszechnie jest przekonanie, iż władza ze względu na załamanie gospodarki nie jest w stanie roszczeń zrealizować. To przekonanie jest prawdopodobnie wynikiem doświadczeń płynących z klęski roszczeń "Solidarności" jeszcze w czasie jej jawnego działania. Wymuszone na władzy podwyżki w ciągu kilku miesięcy utraciły znaczną część swej wartości. Jest to też prawdopodobnie jeden z powodów niechętnego stosunku do podejmowania akcji strajkowych i innych - o podwyżkę płac. Oczywiście, ważnym powodem jest również strach przed ZOMO. Jednak gdyby istniało powszechnie przekonanie o tym, że władza ma, tylko nie chce dać, to prawdopodobnie protesty miałyby większe poparcie.

Dążenie do uzyskania wpływu na własną sytuację prowadzi do nieuchronnej sprzeczności z PZPR. W świadomości społecznej dokonuje się jakby oddzielenie władzy ekonomicznej PZPR i konkretnej władzy politycznej PZPR - od panowania socjalizmu. Aspirujący do podmiotowości wypowiadają się zdecydowanie przeciw kierowniczej roli PZPR w gospodarce i we władzy. Jednocześnie zwolennicy podmiotowości mogą wyrażać ogólne poparcie dla ideologii systemu, chociaż odmawiają mu zastrężeń konkretnych.

Aspiracja do podmiotowości wiąże się z żądaniem zwiększenia roli Kościoła w życiu publicznym i dopuszczenia do niego opozycji. Są to żądania zasadniczej przebudowy systemu władzy, a nie próby uzyskania czepów od władzy. Dążenie do podmiotowości nie oznacza wcale szczególnie silnego poparcia dla "Solidarności" w podziemiu, Lecha Wałęsy itp. Na najważniejszym polu starcia system - aspiracje ludzie nie spodziewają się pomocy w realizacji aspiracji do podmiotowości od konkretnie istniejącej opozycji. Spodziewają się tej pomocy od jakiegóż w ogóle opozycji i od Kościoła.

Skoro państwo, które rozłożyło kontrolę nad niemal wszystkimi organizacjami nadającymi sens pracy, czyni te organizacje na tyle niesprawnymi, że zaspokojenie aspiracji nie jest możliwe, to w takiej sytuacji siła państwa mierzona jest na bardzo szczególnej skali. Jest to skala mierząca, co władza może ludziom zrobić złego. W to, że władza w jakikolwiek sposób może przyczynić się do zaspokojenia aspiracji, wierzy najwyżej 20-25 % dorosłego społeczeństwa. Powszechny jest strach przed represyjnym państwem; strach przed władzą jest powszechnie uważany za powód posłuszeństwa; zaufania do milicji obywatelskiej, sądów i prokuratury nie przekracza 35 %.

#### Mechanizmy poparcia dla władzy

Czym jest w sytuacji konfliktu między systemem a aspiracjami poparcie dla władzy?

Istota poparcia dla władzy polega na poczuciu sensu. Ci, którzy uważają, że żyją w świecie sensownym, to znaczy takim, w którym istnieje zależność między ich wysiłkami, środkami którymi dysponują, chęciami i osiągnięciami, ci popierają władzę. Bardzo często tego rodzaju poparcie dla władzy wynika z faktu, że dany obywatel potrafił przystosować się do sytuacji, potrafił wyrobić sobie tak zwane "dojścia", dzięki którym potrafił "załatwić" sprawy i zaspokoić swe aspiracje. Dotyczy to zarówno gospodyń domowych, które zorganizowały sobie cały system wychodzenia z pracy i "zdobywania" zakupów, jak i dyrektora wielkiego zakładu prze-

myślowego, który ma swoje "dojścia", by uzyskać np. dodatkowe fundusze i tysiące innych układów. W takiej sytuacji są rzesze pracujących, piszących roczne sprawozdania z wykonania planu, naciągających statystykę. Dla bardzo wielu osób zmiana systemu, zmiana władzy, reforma gospodarcza oznacza przede wszystkim zmianę układu stosunków, w których umieją się poruszać i "zakatwiać" sprawy. Ci ludzie boją się zmiany. Tego rodzaju "przystosowanie" do życia w socjalizmie było prawdopodobnie przez prawie cały okres ładu gomułkowsko - gierkowskiego głównym czynnikiem legitymizującym system. Obecnie trudno jest oszacować, ilu ludzi udziela systemowi tego rodzaju poparcia, ale jest to prawdopodobnie nie więcej niż jakieś 15 % /szacunek na podstawie wielu badań/.

Poparcie dla systemu może wynikać także z odpowiedniego zmniejszenia własnych aspiracji. Lęk przed niezrealizowaniem się w życiu może być tak duży, że człowiek stara się wierzyć, iż tu w Polsce nie może być lepiej, że nikomu nie uda się doprowadzić do zasadniczej zmiany na lepsze i najrozsądniejszą drogą postępowania jest zaufanie do PZPR. Dodatkowym czynnikiem zmniejszającym aspiracje, a zatem gorąco popieranym przez propagandę, jest przekonanie, że wysokie aspiracje są czymś w rodzaju "wyzwania losu". Są obrazą wobec przodków, którzy, zwłaszcza w czasie wojny, żyli w znacznie gorszych warunkach. Ten czynnik, który można by nazwać postawą "wdzięczności za to, co mam", odgrywa prawdopodobnie istotną rolę. Postawa ta może występować we wszystkich środowiskach społecznych, ale częściej niż w innych występuje wśród chłopów i osób pochodzenia chłopskiego, także częściej wśród ludzi wierzących niż niewierzących. Takie ograniczenie aspiracji wynikające z przekonania, że nie może być lepiej, jest racjonalizacją ułatwiającą całkowity konformizm i jednocześnie przekonanie, że jest się "kowalem własnego losu". Przy takiej postawie fakt, że nikomu innemu nie udało się, jest ważnym źródłem satysfakcji. Stąd niechęć do nowinkarzy i reformatorów, niechęć do tych, którzy robią karierę i którym udało się.

Ten rodzaj lęku, który można by określić jako wynikający z ograniczenia własnych aspiracji, lęk przed zmianą na lepsze, jest prawdopodobnie jednym ze źródeł bierności wobec władzy. Określenie ilości ludzi prezentujących tę postawę jest praktycznie niemożliwe, gdyż nie wyklucza ona pewnego krytycyzmu wobec władz. Granice tego krytycyzmu są takie, by "mieć rację" w danej sytuacji, często bardzo konkretnej rozmowie itp. Prawdopodobnie do tej grupy można zaliczyć ludzi mających pozytywny stosunek do socjalizmu, ale wypowiadających się krytycznie o roli PZPR w gospodarce.

### Ucieczka w prywatność

Jednym z ważnych sposobów osiągania złudzenia, że ma się wpływ na to co się robi, czyli realizacji aspiracji do podmiotowości w sporze system - aspiracje, jest ucieczka w prywatność. Ponad 50 % badanych godziło się z następującym zdaniem "Władze mają bardzo niewielki wpływ na to, co ludzie tacy jak ja faktycznie robią". Ludzie, którzy tak twierdzą, mają świadomość, że nie mają żadnego wpływu na wyznaczone im zadania robocze, że mają niewielki wpływ na swą sytuację materialną, że wszystko to zależy od władzy. W tych warunkach stwierdzenie, że władza nie ma wpływu na to co człowiek taki jak ja faktycznie robi, oznacza ograniczenie "ja" tylko do sfery prywatnej. Tego typu ucieczka w prywatność charakteryzuje ludzi nie spodziewających się korzystnej zmiany swej sytuacji ani od władzy ani od opozycji. Taka ucieczka w prywatność pozwala jakby ukryć się zarówno przed konfliktem aspiracje - system jak i konfliktem władza - opozycja, jednak

powoduje pojawienie się podwójnej moralności, poczucie zatraty tożsamości i poczucie izolacji. Ucieczka w prywatność zmusza do ograniczenia własnych aspiracji, zdolności, przebojowości i energii życiowej. Charakterystyczne dla uciekających w prywatność jest poczucie zmęczenia.

Przeciwieństwem poparcia dla władzy w konflikcie aspiracji z systemem nie jest poparcie dla opozycji, a uznanie, że państwo jest nieefektywne, że występuje głęboki kryzys i nie ma szans na to, by władza zapewniła realizację aspiracji. Pamiętajmy, że tego typu stanowisko nie oznacza wcale samo przez się wiary, że opozycja zapewni realizację tych aspiracji. Odmowa poparcia dla władzy polega więc na rozpoznaniu bezsensowności pracy i wysiłków. Działania nie mają sensu, bo polityczny czynnik łączący pracę z rezultatem odbierze pracy sens ze względu na swą nieefektywność. Od tego, czy człowiek jest przekonany, że może poprzez działanie kontestacyjne wpłynąć na ów czynnik polityczny czy nie, zależą postawy przeciwników władzy.

#### Ograniczone zaufanie

Można wierzyć, że działania polityczne są właściwym środkiem do celu, to znaczy doprowadzą do przywrócenia sensu pracy i życia w kraju, zmniejszą stopień zagrożenia kryzysem. Jest to postawa łącząca brak poparcia dla systemu w konflikcie system - aspiracje z poparciem dla opozycji w konflikcie władza - opozycja.

Można wierzyć, że działania polityczne zawsze będą sztumione, ale gdyby nie zostały sztumione, to doprowadziłyby do pozytywnych rezultatów. Takie przekonanie niesie ze sobą głęboką frustrację, gdyż istnieje poczucie zagrożenia kryzysem i bezsensownością. Z tej postawy istnieje przejście do postaw popierających władzę. Wiedzie ono poprzez przekonanie, że skoro działania zostaną zawieszane sztumione przez władzę, to podejmowanie ich nie ma sensu. Ta postawa może być echem klęski ekonomicznych żądań "Solidarności" jeszcze w latach 80-81. Uzyskano porozumienie o podwyżkach, ale poziom życia spadł. Nie uda się więc wymusić na władzy poprawy sytuacji ekonomicznej bez zasadniczej zmiany politycznej, a na to władza się nie zgodzi. Należy więc pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy i starać się przystosować. Tak więc sztumienie buntu w konflikcie władza - opozycja, może prowadzić do uzyskania przez system poparcia w konflikcie system - aspiracje.

Można wreszcie uważać, że brak sprzeciwu w sytuacji, w której system odbiera sens pracy, jest sposobem zachowania sensu życia właśnie przez kontestację. Jest to postawa marginalna, spotykana w ogóle rzadko, ale najczęściej wśród ludzi bardzo młodych.

Jeżeli założymy, że polityka polega na zdobywaniu społecznego poparcia i integrowania ludzi wokół realizacji jakichś celów społecznych i gospodarczych, to władza aparatu jest niepolityczna. Aparat pragnie uzyskać nie tyle poparcie dla jakichś konkretnych działań, co zaufanie dla wszystkiego, co robi i co zrobi. Zaufanie to powinno być udzielane przywódcom lub instytucjom legitymizując w ten sposób wszystko, co te instytucje robią i głoszą. Poparcie dla tak rozumianej władzy nie może być selektywne. Wszelka selektywność, lubienie za coś, a nielubienie za coś innego, polityzuje tę władzę w świadomości społecznej.

Takie bezdyskusyjne zaufanie do władzy ma jednak nie więcej niż 5 do 10 % dorosłego społeczeństwa. Natomiast ponad 60 do 70% ma cząstkowe zaufanie do władzy lub głoszonej przez nią ideologii. Jakies 8-10 % odmawia zaufania wszelkim instytucjom władzy i hasłom ideologicznym. Około 10-20% to ludzie, którzy unikają odpowiedzi lub nie mają zdania odnośnie głównych spraw dotyczących polityki i ideologii. Siłę władzy w zasadzie powinno się mierzyć

tylko liczbę zgłaszających bezwzględne zaufanie, powiększoną co najwyżej o tych, którzy tylko w nielicznych, mało ważnych sprawach zgłaszają wątpliwości.

Najbardziej dezintegrujący zaufanie dla władzy jest stosunek do prawa stosowania przemocy wobec obywateli. Mniej niż 10 % przyznaje władzy prawo do rozbijania strajków przy pomocy wojska i demonstracji przy pomocy policji. Prawa do stosowania przemocy odmawiają władzy również ludzie będący w partii i przekonani o słuszności jej podstawowych zasad ideologicznych, mający zaufanie do instytucji rządowych i partyjnych, a więc ludzie, których można by uznać za audytorium władzy.

Z drugiej strony, niezbędnym warunkiem udzielenia władzy jakiegokolwiek poparcia, nawet najsłabszego, ograniczonego do wybranych aspektów, jest przekonanie, że socjalizm lepiej zapewni ludziom pracę i pewność jutra niż kapitalizm. Przekonanie, że socjalizm ma jakąkolwiek przewagę nad kapitalizmem /a polega ona na większym bezpieczeństwie socjalnym/, jest jakby warunkiem wstępnym podjęcia jakiegokolwiek dyskusji na temat poparcia dla władzy. Przekonanie powyższe podzieliła około 70 % polskiego społeczeństwa. Nie chodzi tu nawet o państwo opiekuńcze, a raczej o państwo "asekurujące", udzielające każdemu zasiłku na bardzo niskim poziomie bytowania, ale bardzo utrudniające za to możliwość kariery finansowej i wybicia się bardziej sprawnym. Spośród owych 70 % uznających, że "socjalizm lepiej zapewni pracę i pewność jutra niż kapitalizm", znaczna większość ma niezaspokojone aspiracje. Jednak przyjęcie tego twierdzenia daje jakby złudzenie wyboru - czegoś za coś. Aspiracje są wprawdzie niezaspokojone, ale żyje się w "bezpieczniejszym" systemie. Taka wiara jest szczególnie potrzebna w sytuacji zagrożenia kryzysem i niemożności podjęcia działań obronnych. Można uznać, że przyznanie racji twierdzeniom takim jak wspomniane wyżej i takim, że "socjalizm ma większe możliwości rozwoju gospodarczego niż kapitalizm" /tę ostatnią opinię wypowiada około 45 % społeczeństwa/, jest racjonalizacją, która ułatwia zaniechanie oporu wobec władzy. Badania nastrojów, poziomu narzekania na zdrowie itp. wskazują, że społeczeństwo jest zmęczone; duże napięcie nerwowe trwa już wiele lat. Długotrwała klęska aspiracji w konflikcie aspiracje - system, poczucie bezsilności i braku sensu, męczy coraz bardziej. Dlatego trzeba jakoś odbudowywać poczucie sensu nawet przez takie zabiegi jak absurdalna wiara, że socjalizm ma większe możliwości rozwoju gospodarczego niż kapitalizm. Z drugiej strony, władza, która nie potrzebuje poparcia, a chce tylko spokoju społecznego, może zadowolając się nawet najsłabszym zaufaniem, aby tylko zabezpieczyć ono przed cywilnym nieposłuszeństwem.

#### Kto udziela władzy poparcia

Jacy ludzie udzielają władzy poparcia? Jacy mają do niej zaufanie? Kto odnajduje swą podmiotowość w kontestacji? W zasadzie nie występują żadne wyraźne zależności między poglądami politycznymi a cechami położenia społecznego jak zawód, wiek, wiek, a nawet dochód. Poglądy polityczne w niewielkim stopniu są związane ze stosunkiem do religii, miejscem zamieszkania w kategoriach wieś - miasto, nieco silniej, ale również słabo zależą od wykształcenia. Brak zależności między poglądami politycznymi a miejscem w strukturze społecznej, brak jasno wyodrębnionych grup interesów potwierdza ogromne znaczenie elementu psychologicznego. Jest to ciągle jeszcze konflikt zaufania, a nie konflikt interesów politycznych i ekonomicznych. Można powiedzieć, że konflikt aspiracje - system nie zdążył wyjść z fazy psychologicznej i zostać przełożony na język polityki, na język konfliktu o władzę.

Brak wyraźnych grup interesów wyodrębnionych przez wspólny zawód, wykształcenie, położenie społeczne, jest zjawiskiem nowym i nie jest charakterystycznym dla krajów realnego socjalizmu. Doświadczenia ZSRR w latach 1951-54, Czechosłowacji w pierwszej połowie 1968 roku oraz Polski w latach 1956-57 wskazują, że w okresie otwarcia politycznego natychmiast powstaje znaczna ilość grup interesów nie mających w zasadzie ochoty na zdobycie władzy, a jedynie chcących, by władza uwzględniała ich specyficzne interesy. Można takie grupy interesu w socjalizmie nazwać opozycją sektoralną, by odróżnić je od zachodnich lobbies. Obecnie w Polsce interesy sektoralne są bardzo słabo zarysowane. Za Gierka, tego typu interesy były bardzo istotnym elementem postaw politycznych. Obecnie podział podstawowy: za systemem lub przeciw, krążyuje się z podziałem na grupy interesów. Ogólne poczucie zagrożenia powoduje, że myślenie w kategoriach interesu grupowego często wydaje się przestarzałe wobec bankructwa całego systemu. Podział i krystalizacja interesów grupowych wśród ludzi, którzy nie wierzą w skuteczność całego systemu, jest niejasny.

Wśród tych, którzy pragnęliby zachować system, równie trudno wyodrębnić grupy interesów; jedni będą wierzyć, że da się zachować system poprzez jego reformę i dalej porozumienie narodowe; są tacy, którzy zachowanie systemu widzą we wzmocnieniu władzy i pogonieniu ludzi do roboty. Słowem, wśród zwolenników ograniczenia roli PZPR znajdują się tacy, którzy uważają, że jest to źle konieczne dla ratowania władzy; tacy, którzy uznają, że jest to potrzebne, by podnieść poziom życia, zwiększyć produkcję i tacy, którzy w ogóle są przeciwni systemowi. Wymuszone niedziałanie i niemożność w związku z tym sformułowania programu działania /bo działać i tak nie można/ powoduje, że zamiast grup interesów mamy do czynienia z sektami zwolenników jakichś teorii i wyobrażeń o rzeczywistości. Nie wyklucza to faktu, że pewne grupy mogą być świadome swych interesów.

#### Zaufanie do przywódców

W opinii wielu Polaków sprawa zaufania do przywódców ma zasadnicze znaczenie. Chodzi tu o dwie sprawy. Po pierwsze umieszczenie konfliktu w perspektywie etycznie-ludzkiej czyni go zrozumiałym. Po drugie - daje możliwość porozumienia bez zmiany ustroju, która to możliwość budzi różne lęki. Najpowszechniej darzą Polacy zaufaniem Papieża, drugie miejsce pod względem powszechności zaufania zajmuje kardynał Glemp. Do Papieża ma zaufanie prawie 95 %, około 2 % zgłasza brak zaufania, około 4 % nie wypowiada się. Do Prymasa ma zaufanie powyżej 80 %. Do Jaruzelskiego 60-69%, do Wałęsy 35-45 %.

Poszukiwanie instytucji jakby ogólnopolskiej paradoksalnie odbija się w zaufaniu do wojska, około 65% ludzi twierdzi, że ma zaufanie do wojska, 30% - do MO, 40% - do PZPR /ale tylko około 19% popiera scentralizowaną władzę opartą na kierowniczej roli PZPR, a umocnienie roli PZPR w gospodarce popiera około 27%. Wojsko, mimo że użyte w wojnie domowej, stale jest postrzegane jako instytucja ogólnopolska. Zaufanie do Solidarności w podziemiu wyraziło 11-13%. Więcej ludzi zgłasza zaufanie do telewizji, Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej i innych związków zawodowych.

#### Wobec Solidarności

W stosunku do nowotworzonych jawnych instytucji Solidarności ludzie zachowują się dziś coraz częściej jak pełni sympatii kibice, ale nie jak uczestnicy. Obecnie zalecanie jakichkolwiek działań może powodować odwrotne skutki - to znaczy traktowanie przywódców opozycji jako ludzi oderwanych od życia. Solidarność

jest na ogół w świadomości społecznej wspaniałym ruchem, czystym moralnie, patriotycznym, chcącym rzeczy dobrych i słuszych. Takie generalnie stanowisko ma około 70 % dorosłej ludności. Mniej niż 10 % ma zdanie przeciwne, około 20 % nie ma zdania w tej sprawie. Solidarność została rozbita w stanie wojennym, klęska ta była nieuchronna - przekonane o tym jest około 60 % społeczeństwa. Ktoś musi być winny temu, że ten wspaniały i słuszny ruch poniósł klęskę. Im wspanialsza jest tradycja, tym intensywniejsze pragnienie znalezienia winnego. Wskazywanie na zwycięską władzę jest zabiegiem skazanym na niepowodzenie, ponieważ uznanie, że to wyłącznie władza jest winną zniszczenia tej wspaniałej i szlachetnej instytucji, zmusza do protestu, a ludzie protestować nie chcą, bo protest jest nieskuteczny. Między 50 a 60 % Polaków ma zdanie, że "wszystko mogłoby się potoczyć inaczej, ale Solidarność opanowali radykalni ekstremiści"; między 30 a 35 % nie wypowiada się w tej sprawie, pozostałe około 15 % nie zgadza się z tym poglądem. Ponadto bardzo ciężko w sensie wytrzymałości psychicznej jest uważać przemoc, która stale wygrywa, za całkowicie pozbawioną słuszości. Poszukiwanie jakiejś racji moralnej stojącej za siłą jest normalnym sposobem rozładowywania lęku przed świadomością, że żyje się w świecie przemocy, wrogi i nieobliczalnym.

Szczególnie ciekawy jest poziom zaufania do Lecha Wałęsy, Zbigniewa Bujaka i Jacka Kuronia. Wszystkie te osoby z różną częstotliwością /najczęściej Wałęsa/ wymieniane są przez środki masowego przekazu, zawsze bardzo negatywnie. Mimo to więcej osób ma do Wałęsy stosunek pozytywny niż negatywny, odpowiednio między 35 a 45 % pozytywny i między 30 a 40 % negatywny, między 20 a 25% obojętny. W przypadku Bujaka i Kuronia zaufanie do nich ma między 5 a 15 %, nie ma zaufania między 30 a 45 %, reszta - mniej więcej równo podzielona - jest albo obojętna, albo nie zna tych nazwisk. Wałęsa jest prawdopodobnie ciągle bardziej utożsamiany z Solidarnością niż traktowany jako przywódca. Solidarność nie jest przez większość respondentów traktowana jako konkretna organizacja związkowa. Jest to rodzaj ideału, funkcjonującego w konflikcie system - aspiracje. Tak też widziany jest Lech Wałęsa. Bujak i Kuroń postrzegani są wyłącznie jako strona w sporze władza - opozycja.

#### Wobec reformy

Stworzenie wizji programu jest tym trudniejsze, że bardzo słabo rozwinięte są poglądy polityczne i ekonomiczne. Wizja musiałaby pokazywać perspektywę zmiany w zrominowanych kategoriach, a to jak wskazują badania socjologiczne jest praktycznie niewykonalne. W sierpniu 1980 strajk w celu uzyskania poprawy sytuacji i zmuszenia władzy do wzięcia pod uwagę interesów strajkujących, był zachowaniem znanym i wielokrotnie z powodzeniem stosowanym. To co chciano wówczas uzyskać, również przynajmniej z pozorów - było jasne. Obecnie ogromna większość ludzi jest za wzmocnieniem roli samorządu w zakładzie, ale nie jest to pogląd integrujący jakiekolwiek inne poglądy. Odnośnie pluralizmu politycznego społeczeństwo jest wyraźnie podzielone. Za dopuszczeniem opozycji do życia publicznego wypowiada się około 40 % społeczeństwa, podobna ilość jest przeciw, około 20 % nie ma zdania.

Można powiedzieć, że około 75-85 % społeczeństwa jest niezadowolona z tej władzy i chciałoby mieć władzę lepszą. Jednakże to jaka władza jest lepsza rozpatrywane jest nie w kategoriach formalno-ustrojowych, a w kategoriach moralno-intelektualnych kwalifikacji elity władzy. Istnieje wyraźna preferencja we wskazywaniu na czynnik ludzki zarówno jako na źródło kryzysu

/cytowani już ekstremiści w Solidarności/oraz bardzo powszechna wiara w to, że "wzięcie się do roboty" może wyprowadzić kraj z kryzysu/ten ostatni pogląd podziela ponad 80 % społeczeństwa/. Ta przewaga czynnika ludzkiego w społecznym myśleniu o polityce ma kilka ważnych przyczyn.

Przed wszystkim dyskusja w kategoriach formalno-ustrojowych jest nierozwinięta, bo trudno jest ludziom rozwijać pogląd wobec nieistniejącej rzeczywistości. Ponadto argumenty strukturalne zawsze mogą być skontrowane przez wątpliwość czy zmiana doprowadzi do poprawy, czy owa teoretyczna rzeczywistość, o której mówiłaby ewentualna wizja, będzie lepsza.

Rozwijanie dyskusji wokół spraw moralnych jest powszechnie zrozumiałe, podczas gdy dyskusje na tematy przebudowy strukturalnej wymagają większych kwalifikacji intelektualnych.

Najważniejszą chyba przyczyną powodującą dominację czynnika ludzkiego w myśleniu politycznym jest to, że taka perspektywa czyni ewentualne porozumienie narodowe jakby bardziej realnym. Przeniesienie dyskusji na płaszczyznę strukturalną powoduje nieuchronny konflikt z prerogatywami PZPR, a to /jak uczy doświadczenie/ pociąga za sobą użycie przemocy i klęskę.

Można przypuszczać, że obecnie nastawienie społeczeństwa jest takie, iż żadne programy, z których wynika konfrontacja, nie znajdują szerokiego poparcia. Kompleks klęski Solidarności polega na tym, iż protest jest uważany za nieskuteczny i kosztowny. Klęskę Solidarności można do pewnego stopnia porównać z klęską AK. Ogromna większość Polaków kocha bohaterką Armię Krajową, zapala świeczki na cmentarzach, ale klęska koncepcji walki była tak wielka, że przez 42 lata nikt nie chwycił za broń. Podobnie sympatia do Solidarności jest wielka, ale kompromitacja środków działania podejmowanych przez nią była taka, że obecnie nie znajdują one liczącego się poparcia tak długo, jak długo będą uważane za nie mające szans.

W konflikcie system - aspiracje, zwolennicy systemu, czyli ci, którzy uważają, że ich aspiracje w tym systemie są możliwie najlepiej zaspokojone, są w naturalny sposób przeciwnikami reformy systemu. Przy czym pamiętajmy, że zaspokojone aspiracje mogą mieć również ci, którzy odpowiednio przystosowali aspiracje i w konflikcie system - aspiracje nie muszą być zwolennikami reform. Wielu będzie zwolenników zmiany systemu - dotyczy to zwłaszcza kierowniczej roli PZPR. Ale np. zwolennicy systemu nie muszą być zawsze zwolennikami władzy, a w sporze władza - opozycja, są oni na ogół przeciwni używaniu przez władzę przemocy. Prawdopodobnie szczególnie zagorzałymi przeciwnikami reformy są ludzie, którzy przystosowali swe aspiracje do możliwości systemu i zmiłana na lepsze mogłaby przekreślić ich wybór życiowy. Ponadto wyrobili sobie "dojścia" i układy, które wszelka reforma może zniszczyć.

Zwolennicy reform to m.in. ci, którzy widzą w reformach jedyny sposób zachowania systemu, z którego czerpią korzyści polityczne. Są to zwolennicy wprowadzenia elementów gospodarki rynkowej, jednocześnie wyrażający zsuwanie do ideologii i pragnący utrzymania "kierowniczej roli" dla PZPR. Jest ich około 10 %. Należy podkreślić, że członkowie PZPR nie mają jednolitego stanowiska w sprawie reform zmierzających do "urynkowania" gospodarki.

Zwolennikami reform w kierunku urynkowania są też oczywiście ludzie posiadający aspiracje do podmiotowości. Pokreślają oni przede wszystkim chęć ograniczenia roli PZPR, ale nie mają jednoznacznych i spójnych opinii odnośnie innych spraw. W tej grupie znajdują się zarówno zwolennicy całkowitej zmiany systemu jak

i tylko ograniczonej reformy. Potwierdza to jeszcze raz opisany już fakt, że grupy interesów są nieskrystalizowane. Ludzie mają świadomość, że znajdują się na tonącym statku, jednocześnie nie mogą podjąć skutecznych działań obronnych. Dyskusja o reformie ma swoich protagonistów /są to ludzie zaangażowani w sporze władza - opozycja/ i ogromną masę przeróżnych kibiców, którzy wypowiadają różne niespójne poglądy.

Należy przypuszczać, że ostatnio przynosi efekty umiejętnie prowadzona propaganda władzy. Otóż spodziewany krach nie nastąpił. Żyje się gorzej w porównaniu do lat siedemdziesiątych, ale nie gorzej niż dwa-trzy lata temu. Fakt ten łagodzi lek wywołany niemożnością działania w katastrofalnej sytuacji i zwiększa liczbę ludzi znajdujących poczucie bezpieczeństwa w zaufaniu do systemu. Wielu przystosowało się do nowych kryzysowych warunków.

Zwolenników reform i przeciwników systemu znacznie częściej można znaleźć w grupach ludzi z wyższym wykształceniem i robotników wykwalifikowanych, zwłaszcza z wielkich miast. Robotnicy niewykwalifikowani, ludność wiejska i małych miast, szuka raczej poczucia bezpieczeństwa w przystosowaniu, nie są więc zwolennikami zmian. Wielu zwłaszcza mieszkańców wsi może przypuszczać, że korzyści płynące ze zmian będą niewarte wysiłków przystosowania się do nowej sytuacji. Ludność rolnicza osiągnęła pewne korzyści w okresie Solidarności, boi się je utracić, a nie wierzy w możliwość jakiegś zasadniczej poprawy.

### Rola Kościoła

Około 85 % Polaków wyraża zaufanie do Kościoła. Zaufanie do Kościoła nie jest związane w sposób widoczny ani z przynależnością do partii, ani Solidarności, ani nowych związków. Zaufanie do Kościoła nie wpływa na poglądy polityczne ani w ogólnym ideologicznym wymiarze, ani w bardziej konkretnym dotyczącym polityki gospodarczej czy praw obywatelskich. Szczególnie warto podkreślić, że zaufanie do Kościoła wykazuje również niewielki związek ze stosunkiem do religii. Również ludzie niewierzący i niepraktykujący wykazują w większości zaufanie do Kościoła. Zaufanie do Kościoła może towarzyszyć wszelkim postawom i poglądom politycznym. Stanowi ono jakiś inny, jakby ogólniejszy wymiar.

Wszystkie badania wskazują, że podział społeczeństwa w Polsce jest bardzo głęboki. Nie ma instytucji prezentujących całość, reprezentujących Polskę w ogóle jako jedność społeczną i jedność tradycji. Stosunek do PZPR głęboko dzieli społeczeństwo i jest ważnym elementem postaw politycznych w Polsce. Widać to doskonale, gdy ludzie wyrażają poglądy na tematy gospodarcze. Poglądy te są przede wszystkim manifestacją postawy ideologicznej, w której stosunek do PZPR odgrywa dominującą rolę. Również stosunek do ideologii socjalistycznej dzieli a nie łączy, podobnie jest ze stosunkiem do tradycji. Dla większości społeczeństwa polskiego nie istnieje ciągłość polskiej tradycji narodowej. W czasach Gierka w 1974 r. w badaniach nad dziećmi szkolnymi w ponad 90 % odpowiedzi stwierdzano, że ojczyzna ma lat 30, a nie tysiąc. Czasy Solidarności i walka Solidarności o tradycję spowodowały, że dla wielu osób polska tradycja narodowa kończy się na 45 roku. Dla innych zaczyna się w tym właśnie roku. Jakkolwiek będzie, ogromna większość społeczeństwa uważa, że rok 45 to wielka zmarszczka historii kończąca wielkie "przed" i zaczynająca jakieś nowe "po". Rola Kościoła polega przede wszystkim na tym, że jako jedyna instytucja nie podlega on tej samej periodyzacji historycznej co polityczne dzieje narodu polskiego. Dla Kościoła rok 1945 jest jednym z wielu w długim trwaniu i nie jest rokiem końca "starego" i początkiem "nowego". Kościół po drugiej wojnie



był również instytucją żywą, codzienną, a nie tylko nawiązującą do jakichś starych czasów. Zmagał się z prześladowaniami i wygrał w osobie Papieża, który w roku 1979 w czasie pierwszej pielgrzymki odegrał rolę sztagardu narodowego, jedyne i niewątpliwe symbolu łączącego Polaków. W powojennej historii Polski znaki narodowe straciły jednoznaczność, używali ich wszyscy, "my" i "oni". Papież to międzynarodowe zwycięstwo Polaka, pierwsze od 59 lat i nad tym samym wrogiem. Ktoś nie uznający Papieża przestaje być stroną w sporze wewnątrz-narodowym. Ktoś, kto nie wyraża zaufania do Papieża, stawia się poza narodem. Takiej jednoznaczności nie udało się uzyskać przedtem nigdy. Podział według stosunku do Papieża przebiega nie na tych, którzy mają zaufanie i tych, którzy nie mają zaufania, a na tych, którzy mają zaufanie i się z tego powodu cieszą i tych, którzy muszą deklorować zaufanie. Tym należy tłumaczyć fakt, że zaufanie do Papieża i zaufanie do Kościoła nie koreluje się z postawami politycznymi. Zwolennicy władzy wyrażający zaufanie do Kościoła i Papieża to ludzie, którym zależy na narodowej legitymacji.

Kościół jest więc jedyną wspólną polską instytucją /zaufanie do Kościoła ma około 85 %/, uznawanie Kościoła jest dla władzy warunkiem koniecznym porozumienia narodowego. Zwolenników władzy można by więc podzielić na dwie grupy w zależności właśnie od stosunku do Kościoła. W około 20 % grupie popierającej system w konflikcie aspiracje - system, a więc mającej zaufanie do instytucji władzy i ideologii, ale niekoniecznie popierającej władzę w konflikcie władza - opozycja, nie wyrażającej poparcia dla użycia przemocy i dla konkretnych rozwiązań politycznych i gospodarczych, około 85-90% to ludzie również mający zaufanie do Kościoła, reszta to ludzie nie mający zaufania do Kościoła. Ta bardzo nieliczna grupa stanowiąca nie więcej niż 3-4 % polskiego społeczeństwa w większości również przyznaje państwu prawo do użycia przemocy, są więc to zwolennicy rozwiązania konfliktu z pozycji wojny, w której władza jest traktowana jako najeźdźca podbijający społeczeństwo. Jeżeliby dokonywał szacunku, to ludzi popierających koncepcję podboju jest w Polsce około 09 - 1 miliona. Są to ludzie mający świadomość, że są stroną w sporze nie tyle władza - opozycja, co władza - społeczeństwo, ale nie poszukują żadnej wspólnej płaszczyzny, są zwolennikami narzucenia społeczeństwu pewnego ładu bez brania pod uwagę społecznych aspiracji i całkowitego uniemożliwienia działania przeciwnikom. Są zwolennikami ideologii socjalistycznej, używania przemocy i bezwzględnie kierowniczej roli partii. Co szczególnie ważne: w tej grupie można jednak znaleźć ludzi nie mających zaufania do PZPR i Wojciecha Jaruzelskiego. Istnienie tej grupy - "radykałów władzy" - ma też pewne znaczenie dla politycznego krajobrazu Polski.

Mimo powszechnego zaufania do Kościoła naród nie oczekuje, że Kościół rozwiąże polityczne i ekonomiczne problemy. Za zwiększeniem udziału Kościoła w życiu publicznym jest tylko między 40 a 50 % społeczeństwa.

Można też spojrzeć inaczej. O ile w wypowiedziach oficjalnych powtarza się często słowa pojednawcze wobec Kościoła, to jednak stale w środkach masowego przekazu istnieje antykościelna propaganda podkreślająca, że Kościół nie powinien mieszać się do spraw politycznych. Mimo to około 30 % uważa, że nie powinno ograniczać się działalności Kościoła do spraw czysto religijnych i prawdopodobnie nieco ponad 30 % uważa, że należy zwiększyć udział Kościoła w życiu publicznym. W latach 1980-1985 nasilenie żądań zwiększenia roli Kościoła w życiu publicznym stopniowo malało, natomiast odpowiedzi na temat ograniczenia roli Kościoła do spraw czysto religijnych odpowiadają natężeniem propagandy w tej

sprawie. Należy podkreślić, że sformułowanie "rola Kościoła w życiu publicznym" jest w propagandzie zdecydowanie rzadsze. Stwierdzenie zaś o ograniczeniu do spraw czysto religijnych sformułowane wprost, występuje bardzo często. Ponadto zgadza się ono z powszechnym przekonaniem, że każdy powinien się zajmować swoimi sprawami itp. Stwierdzenie, że Kościół nie powinien ograniczać się do spraw czysto religijnych, jest zżmianiem dwóch czynników działających w przeciwną stronę: propagandy telewizyjnej i obiegowej "mądrości", że każdy powinien pilnować swoich spraw. Wskazuje to, że dążenie do tego, by Kościół w jakiś sposób zajmował się życiem narodu jest bardzo silne, jednocześnie wielu uważa, że Kościół nie powinien stać się stroną w sporze społecznym, a powinien być mediatorem, osadzając, co moralnie dobre; a co złe. Istnieje wyraźne oczekiwanie tego rodzaju. Można postawić tezę, że nie oczekuje się od Kościoła, że powie co robić, oczekuje się, że powie jak myśleć.

Interesująca jest grupa ludzi, którzy deklarują zaufanie do Kościoła i jednocześnie chcą ograniczenia Kościoła do spraw czysto religijnych /około 40-45% ludzi/. Jeżeli są to dość nieliczni ludzie, zwolennicy władzy, to pogląd jest spójny, deklarują po prostu zaufanie do Kościoła jako świadectwo gotowości porozumienia, ale nie chcą, by Kościół w jakikolwiek sposób interweniował w sprawy władzy. Deklaracja o zaufaniu jest używana jako podpora legitymizacyjna.

Człowiek będący przeciw systemowi w konflikcie system - aspiracje, deklarujący zaufanie do Kościoła i jednocześnie domagający się, by Kościół nie wychylał się poza sprawy religijne, jest człowiekiem zastraszoną. Takich ludzi jest na szczęście niewiele nie więcej prawdopodobnie niż około 20%.

Miejsce Kościoła w ewentualnych próbach porozumienia jest więc miejscem zasadniczym. Tylko dzięki wspólnemu uznaniu Kościoła jako instytucji, która musi istnieć i pełnić swą rolę moralnego autorytetu w podzielonym narodzie i rolę symbolu narodowego, strony sporu stają się partnerami. Uznanie Kościoła jako niezależnej instytucji jest dla władzy bardzo ważnym i potrzebnym elementem polityki. Tylko bowiem uznając prawo Kościoła do istnienia i działania władza umożliwia sobie prowadzenie jakiegokolwiek innej polityki wobec społeczeństwa, innej niż polityka podboju. Taka możliwość jest konieczna by zachować władzę w rękach cywilnego aparatu partyjnego i odsunąć groźbę terroru, który przy prowadzeniu polityki podboju jest zawsze możliwy i może się obrócić również przeciw aparatowi partyjnemu. Lekcja stalinowska jest - jak się zdaje - ciągle obecna w świadomości aparatu partyjnego. Aparat, który chciałby trwałego posłuszeństwa cywilnego musi w tej chwili uznawać autorytet Kościoła jako siły niezależnej, polskiej, ale nie będącej stroną sporu. Daje to Kościołowi dość duże możliwości określenia, na jakich warunkach zgodzi się on nie być stroną sporu.

Władza musi uznawać Kościół jako niezależną instytucję, by zaświadczyć swą chęć porozumienia i zakończenia wojny. Czy jednak władza musi uznać, że Kościół jest autorytetem moralnym, a więc tym samym ubiegać się o bycie uznaną przez ten autorytet, czy wystarczy, by władza uznała, że Kościół ma prawo istnieć, ale powinien ograniczyć się do spraw czysto religijnych, rozumianych niezwykle wąsko, w zasadzie jako liturgia? Odpowiedź na to pytanie jest trudna i nie może być jednoznaczna. Istnieje pewien "deficyt legitymizacyjny", brak wiary, że władza przywróci sens życiu społeczeństwu, że owe wielkie organizacje zaczną prawidłowo funkcjonować, że będzie istniała zależność między wysiłkiem a rezultatem pracy. Brak legitymizacji władzy wywodzi się z bardzo

różnych źródeł, których tu nie będziemy opisywać. Obecnie, niezależnie z jakich źródeł się wywodzi, polega przede wszystkim na tym, że władza nie włącza ludzkich działań w logiczną całość, a uzurpuje sobie prawo do kontrolowania prawie wszystkich działań ludzkich. Kryzys legitymizacji dotyczy zwłaszcza tej super władzy która chce zastępować ludzką inicjatywę i ludzki zdrowy rozsądek.

Rola legitymizacyjna Kościoła polega nie na tym, by korzystając z autorytetu w najmniejszym nawet stopniu poprzez władzę lub opozycję, chociaż to ostatnie byłoby mniej ryzykowne. Opozycja traci zresztą powoli autorytet również na tej samej zasadzie, że nie ma warunków, by podjąć działania umieszczające życie ludzkie w sensownym środowisku. Kościół jako jedyna instytucja ma taką możliwość, jednak nie poprzez dokonanie zmian - tego oczekuje niewielu ludzi - a poprzez opisanie i ocenę sytuacji. Żadna ze stron sporu władza - opozycja nie będzie wysłuchana przez ludzi w tym sensie, co Kościół. Od każdej ze stron ludzie żądają pokazania działań konkretnych. Żadna ze stron nie ma programu, lub jest on nierealizowalny bez zgody drugiej strony. Natomiast zgoda jednej ze stron na przyjęcie programu drugiej znaczyłaby jakąś przegraną. To czuje każdy, dlatego wszelki program i wszelka zgoda jest podejrzana dla owej wielkiej grupy ludzi, którzy nie są zwolennikami ani władzy, ani opozycji, którzy kibicują konfliktowi z narastającym poczuciem zagrożenia. Żadna ze stron nie ma programu i żadna nie wie, jaki mogłaby mieć, by był realny w konkretnych warunkach.

Kościół nie może zająć stanowiska w sporze władza - opozycja. Natomiast chyba może i powinien zająć stanowisko w sporze system - aspiracje. Powinien wypowiedzieć się po stronie aspiracji do przywrócenia sensu pracy i podmiotowości człowieka, a także demaskować i wskazać fałszywe mity, w które ucieka człowiek zagrożony i nie mogący się bronić. Miliony ludzi, które poniosły klęskę w sporze władza - opozycja, są skłonne myśleć, że nie miały słuszności, co do aspiracji. Zwycięstwo władzy w tym sporze zaczyna coraz powszechniej stanowić legitymizację systemu w sporze system - aspiracje, bo po prostu dużo trudniej żyć w świecie, w którym zwycięzca nie ma racji.

Nie należy - jak się wydaje - formułować żadnych konkretnych haseł, ani że ludzie powinni angażować się w pracę /byłoby to poparcie władzy/, ani np. że należy wprowadzić rynek na wolny obrót kapitałami /byłoby to poparcie opozycji/. Obydwa te argumenty i wszystkie inne konkretne rozwiązania podane cząstkowo znajdują zawsze dobre kontrargumenty i licznych przeciwników. Nie należy nawoływać do prób odzyskania podmiotowości pracy w istniejącym systemie, ani twierdzić, że zmiana systemu przywróci podmiotowość pracy. Należy przede wszystkim szeroko wytłumaczyć na czym polega to, że życie w Polsce straciło sens zarówno w wymiarze pragmatyczno-organizacyjnym jak i egzystencjalnym. Ludzie bowiem czują się zagrożeni, ale nie rozumieją własnej sytuacji.

Jacek Szymanderski

JACEK KURCZEWSKI

# Co to jest klasa średnia w Polsce?

Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Jesienią 1980 roku wygłosiłem w Oddziale Warszawskim Polskiego Towarzystwa Socjologicznego referat, którego tytuł "Dawny ustrój i rewolucja" został rozmyślnie skopiowany z wielkiego dzieła Alexisa de Tocqueville'a poświęconego badaniu przyczyn Rewolucji Francuskiej. Skopiowałem tytuł dlatego, że spośród klasyków nauk społecznych właśnie de Tocqueville okazał się najbardziej wnikliwy w analizie procesów zmiany i rewolucji. Powtórzmy jeszcze raz Tocqueville'a: "Najniebezpieczniejszą chwilą dla ziego rządu bywa zwykle ta, w której zaczyna on wprowadzać reformy".

Trudno było nie dostrzec tego zjawiska na przełomie 1979 i 1980 roku kiedy to zapomniana wkrótce ekipa Babiucha gwałtownie usiłowała zreperować doprowadzoną przez innych do katastrofy gospodarkę. "Zio, które ludzie znosili cierpliwie jako nieuniknione, wydaje się nieznośne z chwilą, gdy w umysłach zaświta myśl, że można się spod niego wyłamać". Pesymizm wynikających stąd zaleceń socjotechnicznych jest oczywisty, ale na szczęście rzeczywistość społeczna poddaje się socjotechnice tylko częściowo i znane są w historii przykłady arcykonserwatystów, którzy nagle zostali zmuszeni do reform i zmiany.

W referacie, do którego nawiązuję, powiedziałem, że w "sierpniu wystąpiła do walki nowa klasa średnia, ludzi podlegających bezpośrednio władzy w zarządzanych przez nią instytucjach i zakładach pracy, ludzi lepiej wykształconych lub lepiej zarabiających w porównaniu z niższymi, prawdziwie sproletaryzowanymi w warstwach czy też klasami społecznymi. Istnieje naprawdę coś takiego, jak dorobek społeczny Polski Ludowej, a jest nim faktyczne zatarcie różnic między ludźmi pracy umysłowej i fizycznej, statystyczna umowność podziału na robotników i pracowników umysłowych. Właśnie awans kulturowy i ekonomiczny milionów ludzi pracy doprowadził do wykształcenia się tej nowej klasy średniej, która w swym dalszym awansie została zablokowana przez - z jednej strony - zamknięty charakter klasy rządzącej, a - z drugiej strony - przez zahamowanie rozwoju społecznego wywołane nieudolnością rządzących wynikającą z istotnych cech całego systemu". /Konflikt i "Solidarność", IWZZ, Warszawa 1981, s. 30-31/.

W owych czasach konfrontacji słowa te znalazły przychylnie zainteresowanie tylko w jednym środowisku. Zgodziła się ze mną *horribile dictu...* "Rzeczywistość". Dlaczego łatwo to wytłumażyć, jeśli pamięta się, co Stanisław Ossowski pisał o perswazyjnej funkcji rozmaitych schematów różnicowania klasowego."W okre-

---

Nieautoryzowany tekst referatu wygłoszonego 22 maja 1987 r.w  
Oddziale Warszawskim Polskiego Towarzystwa Socjologicznego  
- redakcja

---

sach walk społecznych tendencja ujmowania istniejącego ustroju w schemat dychotomiczny, odwracania uwagi od pozycji pośrednich pomiędzy ścierającymi się grupami staje się ważnym czynnikiem propagandy ze strony tych, którym strategia walki sugeruje uwadnianie jednej tylko linii frontu". Gorący czas nie sprzyjał więc komplikowaniu zagadnienia podstawowego. Za to w zimie stanu wojennego od czasu do czasu odwoływała się do mego pomysłu "strona społeczna" zajęta dyskusją nad przegraną i dalszymi planami.

Poddali go krytyce tak poważni badacze struktury społecznej jak Krzysztof Zagórski. Inni, mam tu na myśli grupę prowadzących swoisty serial ankietowy rozpoczęty "Polakami 80". zaczęli z kolei nabierać coraz lepszego o nim zdania. O narodzinach nowej klasy średniej w Polsce wspominałem zresztą w słowie i na piśmie jeszcze przed Sierpniem, ale pod dziś dzień waham się ilekroć koncepcję tę mam wyrazić.

Słowo się jednak rzekło i teraz, gdy zwrócono się do mnie z propozycją odpowiedniego referatu w ramach konferencji o strukturze społecznej Polski współczesnej czuję się w obowiązku jeszcze raz ten pomysł przynajmniej zreferować, skoro nie znalazłem argumentów, które każałyby mi z niego zrezygnować.

Słowo "klasa" użyte w tych rozważaniach nie może nie wzbudzać podejrzeń. Czy autor chce dokonać odmiennej interpretacji schematu teoretycznego związanego historycznie z marksizmem? Czy chce na to miejsce wprowadzić znany z praktyki amerykańskiej taki sposób użycia tego terminu, który pozbawia go w istocie jakiegokolwiek interesującego sensu teoretycznego?

Ani jedno, ani drugie. Sądzę po prostu, że słowo "klasa" może być stosowane w analizie społecznej nie tylko w ramach tradycji marksistowskiej. Mówiąc o klasach społecznych mam na myśli te wielkie zbiorowości społeczne, które wchodzą w konflikty i w kooperację wewnątrz danego układu społecznego, a przynależność do nich nie jest określona z góry, przypisana do jednostki, ale jest wynikiem działania jednostki w danych społecznie okolicznościach. Struktura klasowa tak rozumiana jest więc istotnym osiągnięciem ludzkości wtedy, gdy zastępuje bardziej stabilne i zniewalające jednostkę i grupy stanowe czy kastowe różnicowania społeczne.

Oczyszczenie dróg ruchliwości międzyklasowej, zabieganie o to, aby współzawodnictwo klasowe dokonywało się w płaszczyźnie stosunków horyzontalnej równości raczej niż w płaszczyźnie zależności pionowej, hierarchicznej, wydaje mi się ważnym celem działania społecznego. Ludzie byli, są i będą różni. Te różnice wybierają w skali masowej postać różnicowania klasowego, etnicznego, politycznego, religijnego. Różnicowanie klasowe wyróżnia się tym, że oparte jest na podziale pracy społecznej. Podział ten może dokonywać się w warunkach wzajemnej zależności i współpracy, bądź też może wyrażać się w stosunkach panowania i podporządkowania.

Uznanie rzeczywistych różnic wobec wiary w możliwość ich całkowitego zaniku zdaje się prowadzić do obsesyjnej wręcz rozbudowy stosunków władzy jako podstawowych w architektonice społecznej. Trzeba więc może mniej wiary w likwidację wszelkich różnic społecznych i w nadejście królestwa równości, a więcej praktycznych zabiegów zmierzających do wyrównania stosunków społecznych i międzyludzkich w kraju.

Jeden przykład niech tu wystarczy. W latach 60-ych Irena Nowakowa, a w 70-ych Wacław Makarczyk, w swoich badaniach stwierdzili społecznie i ekonomicznie marginalną pozycję tzw. robotników niewykwalifikowanych. Powołałam się tutaj na analizy ś.p. Makarczyka, wybitnego socjologa Polski powojennej, który porównywał dane z dwóch badań ogólnopolskich; pierwszego zrealizowanego

w 1960 r., i drugiego z 1975 r., kiedy to skorzystano z próby losowej liczącej 2472 osoby. Makarczyk zmierzał do charakterystyki głównych grup społeczno-zawodowych wydzielonych konwencjonalnie jako rolnicy, niewykwalifikowani pracownicy fizyczni, wykwalifikowani pracownicy fizyczni, pracownicy umysłowi bez wyższego wykształcenia i pracownicy umysłowi z wyższym wykształceniem. Charakterystyka grup brała pod uwagę różnorodne cechy demograficzne, społeczne i psychologiczne /Wacław Makarczyk, "Struktura społeczna a warunki życiowe", PAN IFiS, Warszawa 1978/

Nie miejsce tutaj na drobiazgowo przedstawienie uzyskanych przez Makarczyka wyników. Zainteresowani za trudem wprowadzić, ale mogą trafić do wydanej w 300 egzemplarzach pozycji. Najbardziej wstrząsającym dla mnie wynikiem było ustalenie, że robotnicy niewykwalifikowani prawie pod każdym względem pod uwagę przez Makarczyka względem są na nierzad dramatycznie niższym miejscu niż pozostałe wzięte pod uwagę grupy społeczno-zawodowe. Zobaczmy to w następującym zestawieniu odsetków osób deklarujących niezaspokojenie jakiegś potrzeby materialnej bądź duchowej; przy czym po robotnikach niewykwalifikowanych podana zostanie informacja o tych, którzy mają stosunkowo najbliższą im sytuację i o tych, którzy mają się pod danym względem najlepiej.

Robotnicy niewykwalifikowani najczęściej deklarują małe i bardzo małe dochody z wykonywanej pracy /37,1% w porównaniu z rolnikami /29,6% i robotnikami wykwalifikowanymi /21,1%/. Najczęściej uważają, że ich dochody są o wiele za małe w porównaniu z potrzebami /41,5% w porównaniu do pracowników umysłowych bez wyższego wykształcenia - 27,6% i pracowników umysłowych z wyższym wykształceniem - 22,9%/. Mają najczęściej niezaspokojone potrzeby należytego odżywienia /20 % wobec 10,7 % robotników wykwalifikowanych i 1,4 % pracowników umysłowych z wyższym wykształceniem/, potrzebę odpowiedniej odzieży /51,9% wobec 36,7% robotników wykwalifikowanych i 18,2% rolników/ i tzw. pierwsze potrzeby /6,5% mówi, że nie starcza im na nic, wobec 4,3% robotników wykwalifikowanych i ani jednego spośród pracowników umysłowych z wyższym wykształceniem/.

Robotnicy niewykwalifikowani w tych badaniach mają najbardziej zagrzeszczone mieszkania /23,4% ponad 2 osoby na 1 izbę wobec 22,1% rolników i ani jednego spośród pracowników umysłowych z wyższym wykształceniem/, najczęściej też oceniają swoje warunki mieszkaniowe jako złe lub bardzo złe /30,8%, wobec 29,1% robotników wykwalifikowanych i 20,8% pracowników umysłowych z wykształceniem wyższym.

Upośledzeniu materialnemu towarzyszy upośledzenie w kontaktach międzyludzkich. Robotnicy niewykwalifikowani najczęściej oceniają swoje życie rodzinne jako układające się "średnio" lub złe /34,6%, wobec 27,2% rolników i 15,1% pracowników umysłowych bez wyższego wykształcenia/, najczęściej oceniają swoje stosunki z sąsiadami jako "średnie" lub złe /22,3%, wobec 21,1% rolników i 7,2% pracowników umysłowych z wykształceniem wyższym/, najczęściej nie mają w ogóle ani jednego przyjaciela /39,7%, wobec 36,2% rolników i 4,8% pracowników umysłowych z wykształceniem wyższym/. I - co nie dziwi w świetle dotychczas przytoczonych wyników - najczęściej też mówią, że nie mogą liczyć na niczyją pomoc w ważnych sprawach życiowych /38,9% wobec 28,2% robotników wykwalifikowanych i 13,3% pracowników umysłowych z wykształceniem wyższym/

Ci wydziedziczeni i wykorzeni proletariusze Polski Ludowej najczęściej też w ogóle nie utrzymują kontaktów z osobami spoza najbliższej rodziny /26,5%, wobec 18,8% rolników i 2,4% pracowników umysłowych z wyższym wykształceniem/, nie biorą też udziału w spotkaniach towarzyskich poza domami /73,5%, wobec 69,4% rol-

ników i 15,7% pracowników umysłowych z wyższym wykształceniem/.

Sprawy ulegają nieco zmianie, gdy przenosimy się do miejsca pracy. Tutaj robotnicy niewykwalifikowani najczęściej oceniają swe stosunki z przełożonymi jako bardzo dobre lub dobre /85,7%, wobec 82% pracowników umysłowych bez wyższego wykształcenia i 79,6% robotników wykwalifikowanych/, a za to najrzadziej oceniają jako bardzo dobre lub dobre swe stosunki z kolegami /85,6%, wobec 89,5% robotników wykwalifikowanych i 92,8% pracowników umysłowych z wyższym wykształceniem wyższym/. W gruncie rzeczy wynikać to może z tego, że jako proletariusz robotnik czy robotnica niewykwalifikowana rzadziej wchodzi w konflikt z przełożonym do którego czuje uzasadnioną brakiem wykształcenia i kwalifikacji niższość.

Sytuacja robotników niewykwalifikowanych w Polsce lat 70-ych, poprawiona zresztą w stosunku do 1960 roku, jest dobrym przykładem pewnej nierówności, która wydaje się z jednej strony nieunikniona, z drugiej zaś, powinna skłaniać do działań zaradczych. Jest bowiem jasne, że zawody niewykwalifikowane w obecnej organizacji ekonomiczno-społecznej będą kojarzyć się z niższymi zarobkami, niższym wykształceniem i innymi cechami upośledzającymi proletariusza. Z drugiej jednak strony, można wyobrazić sobie, że zamiast marnotrawstwa rozmaitych środków pomocy społecznej właśnie permanentne działanie na rzecz rekompensaty, wobec upośledzenia robotników niewykwalifikowanych poprawa sytuacji mieszkaniowej i - mówiąc ogólnie życiowej, poprzez inne niż zapłata za pracę kanały tzw. spożycia zbiorowego, mogłaby łagodzić sytuację proletariuszy i przełamywać indywidualne granice obszarów nędzy.

Sytuacja robotników niewykwalifikowanych na tle innych wyróżnionych kategorii społeczno-zawodowych pozwala też - jak sądzę - zobaczyć, jak konwencjonalne są w gruncie rzeczy granice pomiędzy tymi kategoriami. Przecież, w zależności od tego czy innego kryterium dobrobytu ludzkiego, zmienia się w powyższym wyliczeniu kategoria tych, którym jest relatywnie najlepiej. Nawet jeśli najczęściej najlepiej wiedzie się pod różnymi względami pracownikom umysłowym z wyższym wykształceniem, to jednak musimy zauważyć, że: po pierwsze - nie jest tak pod każdym względem, a po drugie - kategoria ta obejmuje osoby znajdujące się w dużo bardziej różnicowanej sytuacji życiowej - od rozpoczynającego swój zawodowy staż dyplomowanego kancelisty gryziopiórka do ministra, ambasadora czy światowej sławy kompozytora - dużo bardziej różnicowanej niż wewnętrzne różnicowanie pozostałych kategorii społecznych.

Uderza monotonia z jaką właśnie robotnicy niewykwalifikowani pojawiają się w roli najbardziej upośledzonych. Tak, jak gdyby różnica między nimi a robotnikami wykwalifikowanymi była większa niż różnica między tymi ostatnimi a np. inteligencją. Ale właściwie dlaczego nie przyjąć, że tak właśnie jest? Dlaczego trzymać się jakichś przestarzałych przyzwyczajeń, zgodnie z którymi specjalista tokarz, spawacz czy górnik, wraz ze swym przygotowaniem zawodowym i wynikającym z sytuacji materialnej dostępem do udziału we współczesnym standardzie spożycia dóbr materialnych i duchowych ma być traktowany jak sprzątaczką, palacz czy kopacz na budowie, a nie jak jego syn inżynier czy brat urzędnik?

Jałowość społeczna stosowanych tradycyjnie podziałów na różne kategorie pochodzenia społecznego czy kategorie społeczno-zawodowe, wydawała się od lat oczywista. Ale dopiero Sierpień 1980, i dalej Solidarność, dostarczyły jak najbardziej naturalnego testu socjologicznego pozwalającego na ustalenie, jakie są rze-

czywiste układy konfliktu i kooperacji w społeczeństwie polskim. W stosunku do testu wyniki badań ankietowych mogą stanowić tylko element wtórny. Przytoczymy jednak parę przykładów, aby wskazać, że tak dobitnie wyrażony w latach 1980-1981 podział społeczny zachowuje moc również i w latach bardziej nam współczesnych.

Na przełomie 1983 i 1984 roku przeprowadziliśmy wywiady m.in. z przedstawicielami 195 wylosowanych gospodarstw domowych z Warszawy /M.Fuszara, I.Jakubowska, J.Kurczewski, "Warunki życia w ocenie i przewidywaniach mieszkańców Warszawy i wsi podlaskiej"/. Obok innych spraw poruszono zagadnienie zróżnicowania społecznego

Chcieliśmy ustalić jak badani sami określają miejsce swoje i swojej rodziny w odniesieniu do warunków życia przeciętnej rodziny w kraju. Podobnie jak w innych tego typu badaniach większość badanych mieszkańców Warszawy /57%/ określiła swoje warunki życia jako takie same jak przeciętna krajowa. 25% badanych mówiło o swojej sytuacji jako będącej poniżej przeciętnej, w tym 7% jako o znacznie gorszej, z drugiej zaś strony 17% badanych określiło swoje położenie jako powyżej przeciętnej krajowej, w tym 2% jako znacznie lepsze.

Wyniki te porównywaliśmy z odpowiedziami udzielonymi przez 180 wylosowanych mieszkańców wsi wokół Drohiczyzna, z którymi rozmawiano w lecie 1983 roku. Na wsi rozkład odpowiedzi na pytanie o położenie własne i rodziny przedstawiał się odmiennie gdyż swoją sytuację jako odpowiadającą przeciętnej krajowej widziało 32 % badanych, a poniżej przeciętnej sytuowało się 45% badanych, w tym 21% znacznie poniżej przeciętnej. Różnica ta odpowiada stwierdzanym niejednokrotnie w toku badań różnicom na niekorzyść wsi, jeśli chodzi o posiadanie rozmaitych dóbr codziennego użytku

Na pytanie: jakim kategoriom ludności powodzi się w kraju najgorzej? większość badanych z Warszawy wymieniła emerytów i rencistów /55%, wskazując na tych z tzw. starego portfela. Wymieniano też, jako kategorie upośledzone materialnie, rodziny wielodzietne /13%, młode małżeństwa /10%, samotne matki /6% i w ogóle ludzi samotnych /3%. Jeśli chodzi o tradycyjne warstwy społeczne, to 10% wskazało na upośledzenie robotników, 7% na upośledzenie inteligentów, a 3 % na upośledzenie materialne urzędników.

Na wsi natomiast najczęściej wymienianą kategorią upośledzoną materialnie byli rolnicy /37%, a następnie robotnicy /12%. Wewnętrzne zróżnicowanie sytuacji materialnej na wsi sprawiło zapewne, że obok tego 14% badanych na wsi wymieniało tych, którym nie chce się pracować, jako tych, którym powodzi się najgorzej.

Znacznie mniejsza - i to jest znamienne - była różnorodność odpowiedzi na pytanie o to, komu w kraju powodzi się najlepiej. W mieście najczęściej w tym wypadku wskazywano na inicjatywę prywatną i różne jej odłamy /48%, na ludzi zajmujących wyższe pozycje władzy /31%/ oraz na wszelkich spekulantów, kombinatorów i oszustów /14%. Z tradycyjnych warstw społecznych rzadko wspomniano o robotnikach /5%, rolnikach /4%/ i inteligencji /4%. Mieszkańcy wsi jako uprzywilejowanych wymieniali najczęściej ludzi władzy /39%, później inicjatywę prywatną /12%, kombinatorów i spekulantów / 11%, samych rolników /8%, inteligencję/8%, urzędników /8%/ i mieszkańców miast w ogóle /6%/.

Interesujące w tym wyliczeniu jest, że podstawowe granice między tymi, którym jest najlepiej i tymi którym jest najgorzej - zdaniem większości badanych - przebiegają poza tradycyjnie wyróżnianymi warstwami społecznymi. W związku z tym można powiedzieć, że podział na rolników, robotników, inteligencję i urzędników nie stanowi układu wzajemnych animozji i konfliktów społecznych. Większość badanych przeciwstawia swą "średnią" pozycję



sytuacji ludzi zajętych prywatną przedsiębiorczością i ludzi władzy z jednej strony, i sytuacji byłych pracowników najemnych na stanowiskach szeregowych, ludzi starych, samotnych i zniechęconych - z drugiej strony.

Zdaniem większości badanych wówczas przez nas osób /64% w Warszawie i 57% na wsi/ różnice między warunkami życia najbiedniejszych i najbogatszych powiększyły się w stosunku do końca lat 70-ych. Większość /46% w Warszawie i 45% na wsi/ przewidywała na najbliższą przyszłość w warunkach utrzymującego się kryzysu dalsze powiększanie się rozpiętości warunków życia w Polsce.

Co do wartości tych danych, to warto sobie uświadomić, że nawet stosunkowo mała - prawie dwustuosobowa próba losowa pozwala z dużym prawdopodobieństwem oszacować rzeczywisty rozkład zmierzających populacji. O zasadności tych szacunków przekona nas porównanie powyższych wyników z ustaleniami rządowego Centrum Badania Opinii Społecznej na temat odczuwanego przez rozmaite kategorie społeczne wzajemnego dystansu.

Badając w 1984 r. próby losowe 840 robotników i 215 kierowników wydziałów urzędów wojewódzkich oraz 940 chłopów CBOS doszedł do wniosku, że "opinie chłopów i robotników są zbliżone i niemal we wszystkich punktach rozbieżne z poglądami urzędników /.../ Istotny jest również fakt, że obok grup, których dochody tradycyjnie budzą zastrzeżenia /prywatni właściciele/, znaleźli się pracownicy aparatu partyjnego, wyżsi urzędnicy państwowi i dyrektorzy przedsiębiorstw". /Biuletyn CBOS, 2, Warszawa 1985, s.123-125/. Urzędnicy - należący do niższych szczebli władzy - wyłaczali spod postulowanej w pytaniu kontroli dochodów właśnie aparat władzy, czując największy dystans wobec właścicieli prywatnych przedsiębiorstw. Dla robotników i chłopów natomiast aparat partyjny był pod tym względem prawie równie podejrzany, co przedsiębiorcy prywatni.

Szczególnie wyraźne jest to w wypadku robotników. Na przyjętej przez badaczy z CBOS skali dystansu społecznego najdalej od nich znaleźli się właściciele prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych i usługowych /74%/, bliżej dyrektorzy dużych przedsiębiorstw /67,7%/, członkowie rządu i urzędnicy państwowi wysokiego szczebla /67,4%/, aparat partyjny /67,3%/, lekarze prowadzący prywatną praktykę 59,1%, potem właściciele dużych gospodarstw chłopskich, gospodarstw specjalistycznych, szklarni itp. /57,8%/ i milicjanci /55,1%/. Górnicy, księża, artyści, adwokaci, wojskowi czy pracujący na kontraktach zagranicznych stanowili przedmiot nieufności już tylko dla mniejszości badanych robotników.

Również inne wyniki badań przeprowadzonych w latach 80-ych przez CBOS uzasadniają zaproponowany przez nas obraz struktury społecznej. Czytamy więc, że poczucie wpływu na bieg wydarzeń w zakładzie pracy ma około 28% odpowiadających, wpływu wydarzeń w miejscu zamieszkania 19% odpowiadających, a na bieg wydarzeń w kraju - 5%. Osób mających wpływ na bieg wydarzeń w kraju jest w przeciętnej populacji tak mało, że nie poddano ich bardziej szczegółowej analizie.

Dowiadujemy się za to, że silniejsze poczucie wpływu na bieg wydarzeń w miejscu zamieszkania mają mieszkańcy wsi /27,2%/ niż miast /16,4%/; partyjni /38,5%/ niż nie należący do PZPR /17,9%/; nie należący do Solidarności /22,4%/ niż jej członkowie /14,8%/; wyższe kadry kierownicze /47,1%/ i rolnicy /40,7%/ niż pracownicy handlu i usług /14,9%/ i inteligencja /15,5%/. Względnie wysokie poczucie wpływu na to, co dzieje się w miejscu zamieszkania mają więc albo ludzie żyjący na wsi, we względnie izolowanych środowiskach lokalnych, albo ludzie władzy.

Poczucie wpływu na bieg wydarzeń w zakładzie pracy częściej deklarują partyjni /60,2%/ niż bezpartyjni /29%/; kadry kierownicze wyższego /82,4%/ i średniego szczebla /51,5%/ niż personel biurowy /22%/, robotnicy wykwalifikowani /25,4%/ i niewykwalifikowani pracownicy usług /15,7%/; nie należący do Solidarności /35,4%/ niż jej członkowie /27,8%/.

I w tym wycieceniu z badań przeprowadzonych wiosną 1986 r. /Elżbieta Gorajewska, Beata Rolka, "Opinie o potrzebie i możliwości wpływania na życie społeczne", Biuletyn CBOS, 1-2/5/1986/ zwraca uwagę, że poglądy dzielił raczej tych, którzy mają udział we władzy i tych, którzy są go pozbawieni, choć ze względu na specyfikę pytania nie pojawia się już, zachowująca się odrębnie przy poprzednim pytaniu, kategoria rolników.

Wreszcie, CBOS nieraz w swych pracach starał się bardziej szczegółowo rozpoznać różnice poglądów mające dzielić inteligencję od robotników. Porównując np. robotników wielkoprzemysłowych i inteligencję z wykształceniem wyższym we wrześniu 1984, stwierdzono, że inteligencja rzadziej od robotników ocenia pozytywnie sytuację ekonomiczną kraju. Rozkład odpowiedzi na temat zmian w nasileniu konfliktów społecznych był jednak zbliżony. Opisujący wyniki Jerzy Bartkowski pisał: "Możliwe więc, że inteligencja o wiele bardziej odczuwa skutki kryzysu gospodarczego niż robotnicy".

Inteligenci częściej od robotników sądzili, że nie panują nad własnym życiem /45,9%, wobec 36,8% robotników/ i nad życiem społecznym /63,5%, wobec 43,3% robotników/. Obie grupy wymieniły na pierwszym miejscu pozycję materialną, a następnie poglądy polityczne, stanowisko pracy i przynależność do PZPR, jako takie cechy różnicujące ludzi, które mogą stać się przyczyną niechęci i konfliktów, choć ogólnie cechy te były częściej wymieniane przez inteligentów.

Podobieństwo poglądów, przy odmiennościach w stylu i ich nasileniu, dało się zauważyć także przy innej okazji. Stwierdzono bowiem, że skala dystansu do różnych instytucji oficjalnych jest taka sama, chociaż odsetek wyrażających zaufanie do tych instytucji jest wśród inteligentów niższy niż wśród robotników/"Robotnicy i inteligencja o sytuacji społeczno-ekonomicznej kraju", Biuletyn CBOS, 3, 1985/.

Myślę, że najlepsze podsumowanie tych wyników znaleźliśmy w ogólniejszym opracowaniu /Jana K.Solarza, który dokonując szacunkowej typologii dominujących postaw politycznych /Biuletyn CBOS, 3, 1985/ i wyróżniając szereg takich postaw: od "awangardowej", przez "wspierającą", "centrystyczną", "krytyczną", do "nieprzejednanej", z boku od "centrum" reprezentowanego - jego zdaniem - przez szeregowych członków PZPR nie należących do związków zawodowych, ludzi starszych, mieszkańców wsi i robotników niewykwalifikowanych, wymienia przynajmniej się nadal do członkostwa w Solidarności, robotników wykwalifikowanych i inteligentów z małych miast /orientacja "krytyczna"/ oraz inteligencję wielkomiejską /orientacja "nieprzejednana"/.

Tak to, przekopując się przez dziesiątki szczegółowych i tradycyjnych podziałów, dochodzimy pośrednio najbardziej nas tutaj interesującego faktu; a mianowicie podstawowego pokrewieństwa poglądów robotników wykwalifikowanych czy też wielkoprzemysłowych i inteligentów nie sprawujących funkcji kierowniczych. We wszystkich tych szczegółowych analizach rzecz jest bardzo często zamącona właśnie przez niewzięcie pod uwagę faktu, że koniec końców inteligencja dzisiaj stanowi także bazę rekrutacyjną dla władzy, chociaż władza rekrutuje się nie tylko z tego środowiska społecznego. Podaż stanowisk władczych jest za mała w stosunku do aspi-

racji, a kanały rekrutacyjne dla większości niewłaściwe. Nie należy więc porównywać ogółu ludzi z wyższym wykształceniem z przeciwstawionemu innym kategoriom. Udział we władzy jest kryterium różnicującym społecznie, a podział na władzę i klasę średnią krzyżuje się ze statystyczną kategorią ludzi z wykształceniem wyższym.

Obraz społeczeństwa polskiego malowany tak, że przedstawia osobno inteligencję, robotników i chłopów wydaje się należeć bardziej do realizmu magicznego niż odtwarzać rzeczywistość. Pewnie, najrozsądniej byłoby przyjąć kilka wzajemnie uzupełniających się punktów widzenia tak, aby ująć to społeczeństwo w całym bogactwie jego zróżnicowań. Inaczej może wyglądać obraz od święta takiego jak okres 1980-1981, a inaczej w czasach szarej codzienności.

Nie mogę jednak traktować zupełnie poważnie zarzutu pomijania rozmaitych różnic między składowymi owej klasy średniej. Różnic między inteligentami a robotnikami wykwalifikowanymi nie mam zamiaru negować. Tak, jak nie mam zamiaru negować różnic między poszczególnymi regionami kraju. Chociaż inteligencji żenią się częściej z inteligentkami, a Ślązacy ze Ślązaczkami, to i ci, i tamci mogą należeć do pewnej struktury społecznej, z której nawet do końca nie zdają sobie sprawy.

Solidarność, 1980 i 1981 roku, nie była ruchem, który zwracał szczególną uwagę na ustalenie własnej tożsamości w procesie społecznym i historycznym. Cele i przeszkody na drodze ich realizacji wydawały się oczywiste. Tak, że właściwie można było zrezygnować z dyskusji nad nimi. Tożsamość była zagwarantowana przez wspólną przynależność organizacyjną do związku zawodowego, który miał znane, a dziś już zacierające się w pamięci, niecodzienne cechy. Był więc to ruch przekraczający tradycyjne podziały pomiędzy zawodami i branżami, co naruszało tradycje właśnie ruchu zawodowego; był to też ruch, w którym inteligenci uczestniczyli obok robotników, a tylko przeszkody zewnętrzne powstrzymywały prywatnych taksówkarzy i rolników indywidualnych od dołączenia się. Na ile było możliwe utrzymanie na dłużej podobnej heterogeniczności w obrębie jednej organizacji nienarodowej, tego pewnie już nie dowiemy się nigdy. Ale poczucie wspólnoty interesów wynikało z oporu.

Dobrze może przypomnieć kilka cech portretu społecznego Solidarności z okresu rozkwitu /J.Kurczewski, "Solidarność" od wewnątrz, Warszawa 1981/. Przynależność do związku była mniej więcej równie częsta wśród kobiet jak i mężczyzn, choć pewna przewaga mężczyzn wynikała z faktu, że było ich więcej wśród ogółu zatrudnionych w gospodarce narodowej. Związek był najbardziej popularny wśród ludzi między 20-ym a 29-ym rokiem życia, nieco mniej wśród starszych, a w drobnym tylko odsetku należeli doń ludzie w wieku emerytalnym. Najsilniej Solidarność była reprezentowana wśród mieszkańców miast liczących ponad 20 tysięcy mieszkańców, ale spory był też odsetek członków Związku wśród mieszkańców wsi /ok. 20%/, chłopo-robotników czy chłopo-urzędników.

Ówczesne dane różniły się, gdy usiłowano ustalić wykształcenie i zawód członków związku. Było jednak jasne, że w Solidarności znajdowała się bardziej wykształcona część świata pracy. Przeciwny poziom wykształcenia był w Związku wyższy niż wśród ogółu zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej. Pewne było też, że najlicniejszą kategorię wśród członków Związku /między 42% a 58%/ stanowili robotnicy wykwalifikowani, a drugą co do liczebności kategorią byli pracownicy umysłowi bez wyższego wykształcenia /między 23% a 29%/. Odpowiadało to proporcjom wśród ogółu

zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej. Udział w Solidarności był za to stosunkowo rzadszy wśród robotników niewykwalifikowanych z jednej strony, a wśród pracowników z wyższym wykształceniem - z drugiej, o ile nie weźmiemy pod uwagę piastowania przez wielu spośród tych ostatnich kierowniczych i doradczych stanowisk w hierarchii politycznej władzy.

Gdy w badaniach przeprowadzonych w dwóch regionach związkowych zapytywałem o to, do jakiej klasy społecznej zaliczają sami siebie członkowie związku, wówczas odpowiedzi prowadziły często do zamiennych komplikacji obrazu. Tak więc do "klasy robotniczej" w jednym z regionów zaliczyło siebie 84% pracowników fizycznych i 16 % pracowników umysłowych. Skądinąd żaden pracownik fizyczny nie zaliczył się do "inteligencji", gdzie znalazło się 77% pracowników umysłowych. Podzielił odpowiadał więc w zasadzie wykształceniu i pełnionej funkcji. W zasadzie, bo wśród "inteligentów" pojawiła się skłonność do utożsamiania się z klasą robotniczą.

Trzeba jednak przypomnieć o tym, że w terminologii związkowej w okresie do 13 grudnia 1981 roku coraz częściej występowało pojęcie "świata pracy", "ludzi pracy" czy "interesów pracowniczych" jako najlepiej zaspokajające potrzeby autoidentyfikacyjne związkowców. Bo istotnie, Solidarność ani nie była "robotnicza" ani "inteligentka". Podzieliła między ludźmi z Warszawy, a ludźmi z Wyrbrzeża czy ze Śląska, zdawały się odgrywać w praktyce ważniejszą rolę niż podzieliły według tego, w najlepszym razie tylko jednego, z wielu kryteriów różnicujących wewnątrznie wielomilionową rzeszę członków Związku.

Należy przy tym zwrócić uwagę na pewne cechy samego ruchu społecznego, który wyrażał interesy nowej klasy średniej. W wystąpieniu na Zjeździe Socjologicznym w Łodzi w 1981 roku usiłowałem pewne takie cechy wskazać, mówiąc o pięciu funkcjach Solidarności: 1/ aktywizacja i totalizacja uczestnictwa społecznego; 2/ jednocześnie i polaryzacja społeczeństwa; 3/ cywilizacja i zarazem demystyfikacja przeciwnika; 4/ egalitaryzacja bez egalitaryzmu; 5/ instytucjonalizacja rewolucji.

Zauważyłem przy tej okazji, że "napotykać na stały opór biurokracji partyjno-państwowej Solidarność umacnia się, ale ta siła staje się jednocześnie jej obciążeniem. Służy bowiem, chcąc nie chcąc, jako parasol, pod którym chronią się dla osłony przed władzą rozmaite tendencje, kierunki i ruchy społeczne. Powtarza się znany efekt św. Mateusza, polegający na tym, że silny uzyskuje coraz to większą moc. Ta moc jest jednak kłopotliwa, dlatego, że: /1/ Solidarność niezależnie od przekonań i poglądów większości czy też jej interesu jako organizacji jest obciążona konsekwencjami tego, że służy jako osłona dla rozmaitych ugrupowań, jak np. KPN; /2/ opóźnia się proces rozbudowy samorządności społecznej i zamiast szerokiej gamy rozmaitych stowarzyszeń i ruchów Solidarność jest coraz bardziej wielokierunkowa; /3/ Związek podlega "totalizacji" w ogólnym sensie tego słowa przez to, że obejmuje całokształt aktywności publicznej większości swoich członków; /4/ wewnątrz Związku dokonuje się proces określany przez Marksa jako przekształcenie "klasy w sobie" w "klasę dla siebie", albowiem opór aparatu partyjnego sprawia, że rozmaite różnice środowiskowe między poszczególnymi kategoriami członków Związku schodzą na drugoplanowe miejsce a pierwszeństwo uzyskuje jedność interesów; /5/ jak to zwykle bywa z jednoczeniem większości aktywnej części społeczeństwa postępuje proces polaryzacji ludzie muszą opowiadać się po jednej albo po drugiej stronie i w rezultacie ostrego konfliktu wyraźnie przeciwstawiają się sobie dwa obozy; /6/ ta polaryzacja z kolei prowadzi w sposób naturalny

do koncentracji i jednoczenia się w drugim obozie, przy czym z natury rzeczy osłabieniu ulega pozycja tych jego grup i frakcji, które są bliskie poglądom części obozu Solidarności. Polaryzacja zaostrza konflikt i powoduje oddalanie się stanowisk wypadkowych /J.Kurczewski, "Funkcje społeczne NSZZ "Solidarność", Sprawy Związkowe, wrzesień 1981, s.28/. Konsekwencje tej postępującej polaryzacji są na tyle znane, że nie trzeba tłumaczyć się z braku satysfakcji z trafności diagnozy.

Przy całej swej nowości Solidarność była nieodrodnym dzieckiem społeczeństwa socjalistycznego. Zalety ruchu wynikały z wad systemu. Szeroka, prawie powszechna, klientela Związku wynikała z masowego charakteru społeczeństwa, gdzie brak należącego zróżnicowania ról ekonomicznych doprowadził do sytuacji, w której dyrektor przedsiębiorstwa czuje się obiektywnie równie poddany arbitralnym decyzjom administracji, co najniższy urzędnik w jego sekretariacie. Choć bowiem większość związkowców /ok.75%/ zajmowała w pracy stanowisko szeregowe, to jednak ok. 20% miała stanowisko pośrednie, a 4 % piastowało stanowiska kierownicze niższej lub wyższej rangi.

Prawo dyrektorów przedsiębiorstw do przynależności związkowej było przedmiotem spektakularnej debaty w tamtych latach. Totalny w istocie charakter zainteresowań Związku - od planu politycznej przebudowy instytucji krajowych i stosunków międzynarodowych, do przerywania ciąży i organizacji przedszkoli - stanowił tylko odbicie totalności zainteresowań organizacji rządzącej.

Tak często, a niesłusznie, krytykowany nacisk na demokrację proceduralną wynikał z opozycji wobec diametralnie przeciwnych praktyk życia urzędowego. W tym kontekście można więc powiedzieć, że liberalizujące efekty Solidarności wynikały z jej współistnienia z państwem socjalistycznym w jego już coraz bardziej antykwarycznej postaci.

Dziś pewne rzeczy wydają się oczywiste. Tak więc, dopóki nie zostaną wprowadzone jakieś zasadnicze korekty, które związałyby decydującą grupę w społeczeństwie z rządzącymi, dopóty też będzie odbywało się owo "stałe wypróbowywanie tak przez rządzących, jak i przez poddanych, jakie są ich możliwości działania i odkrywanie, jakie są granice posłuszeństwa i nieposłuszeństwa", żeby powtórzyć słowa Barringtona Moore'a Juniora.

Socjologowie, ulegając retoryce życia potocznego, zbyt często mówią w tym miejscu o społeczeństwie jako całości przeciwstawionej władzy. Dopóki władza nie będzie wykonywana przez osoby spoza społeczeństwa lub nie przez ludzi, dopóty retoryka taka jest pozbawiona sensu. Trudno za społeczeństwo uważać tylko tych, którzy w żaden sposób we władzy nie partycypują. Twórcy nazwy Solidarność mieli pod tym względem więcej wyobraźni socjologicznej, gdyż nazwa to, a solidarność doskonała obejmująca wszystkich, którzy władzy nie mają jest nieosiągalnym ideałem, nie mówiąc już o solidarności ogarniającej całe społeczeństwo.

Przecież nawet u szczytu swego powodzenia Solidarność nie obejmowała wszystkich. Byli tacy, którzy jej nienawidzili, tacy którzy jej nie lubili, tacy którzy bali się w ogóle, tacy którym było gdzie indziej lepiej, tacy którzy nie mogli w niej być i tacy, którym była ona najzupełniej obojętna. Nawet jeśli pod koniec trudno już było wskazać jakieś ogólniejsze wyznaczniki tych indywidualnych decyzji organizacyjnych, skoro rozmaite były również motywy przynależności do związku, rozsądne wydaje się pytanie o to, w czym był on interesie.

Nadal trzymam się poglądu, że Solidarność najlepiej wyrażała interesy stworzonej wieloletnim wysiłkiem socjalizmu nowej klasy średniej; ludzi, którzy uzyskali wykształcenie, kwalifikacje,

a co ważniejsze, aspiracje do zajmowania w społeczeństwie miejsca odpowiadającego posiadanemu wykształceniu i posiadanym kwalifikacjom, a jednocześnie zostali zepchnięci przez system tzw. nomenklatury na stanowiska drugorzędne, a przez system zcentralizowanego zarządzania zostali pozbawieni tego, co nadaje sens życiu w pracy i w ogóle w działaniu publicznym, a więc poczucia odpowiedzialności za swoje i cudze postępowanie.

Co stanie się dalej, to już zależy od splotu okoliczności rozmaitej natury, wewnętrznych i zewnętrznych; od zamiarów ludzkich, tak jak i od nieprzewidzianych konsekwencji ludzkich działań. "Władza" zauważyła w 1980 roku swoją słabość i nadal zdaje sobie z niej sprawę. Bez przeprowadzenia analizy psychologicznej można zauważyć sprzeczne tendencje w postępowaniu rządzących. Można też wyczuć jak najbardziej przyziemne konflikty rozmaitych grup interesów.

Wstrząśnięci wprowadzeniem stanu wojennego i delegalizacją Solidarności nie doceniamy samoświadomości klasy, warstwy czy też ekipy rządzącej. Nie doceniamy też tego, że przynajmniej dla jej części stało się oczywiste, że kontynuacja, na dalszą metę, stanu rzeczy jaki w Polsce istnieje od 1944 roku, wymaga dokonania tego, co w dziejach Anglii nazwano "chwalebą rewolucją", a więc przemiany dokonanej odgórnie, tak aby ułożyć sobie nowy modus vivendi z szerszymi kręgami społecznymi, przede wszystkim właśnie z "nową" klasą średnią, ale także z chłopstwem czy innymi kategoriami społecznymi.

Z drugiej strony są jednak konkretne interesy, wynikające z możliwości kontrolowania całych obszarów życia społecznego; są naciski zewnętrzne; jest wreszcie krążące widmo Solidarności, które może zwolennikom pokojowych reform nie dać spać spokojnie. Występuje też bardzo konkretny opór społeczny tej warstwy, na której, de facto, opiera się codzienna władza ekipy rządzącej, a mianowicie aparatu czy aktywu. Warstwa ta podlegając wprawdzie władzy stwarza dla niej stałe zagrożenie poprzez potencjalną odmowę dalszego poparcia.

Mamy więc do czynienia z bardzo ciekawą historycznie sytuacją kiedy to klasa rządząca wie, że powinna pójść na daleko idące ustępstwa i zawrzeć nowy pakt społeczny, bardziej wszechstronny i bardziej szczerzy niż ten, który zapisano w porozumieniach z 1980 roku, a jednocześnie boi się i ludzi możliwością utrzymania status quo ante. A przecież formuła takiego paktu wydaje się oczywista. Solidarność powstała jako ruch totalny przeciwko państwu totalnemu. Jeśli rządzących będzie stać na to, żeby państwa było mniej, żeby ingerowało ono w znacznie węższe określone sfery życia i żeby podporządkowało się bezwarunkowo i zasadniczo a nie instrumentalnie jak dotychczas traktowanym ograniczeniom prawnym - wówczas może być też mniej społeczeństwa, ruchu społecznego, organizacji. Ilekroć w naszym życiu zaczyna być więcej państwa, tylekroć bardziej paląca staje się sprawa Solidarności.

Arystoteles rozważając optymalny układ społeczny napisał: "Takie państwa mogą posiadać dobry ustrój, w których istnieje liczny stan średni; silniejszy od obu pozostałych, lub jeśli nie, to chociaż od każdego z nich". Choć "średni" rzadko gdzie oznacza "najlepszy", jak tego chciał Stagiryta, tym niemniej formuła ta dziwnie dobrze sprawdza się w dzisiejszych rozwiniętych państwach demokratycznych.

Wypożyczeni ponad minimum, mający poczucie bezpieczeństwa materialnego, obywatele mogą za pomocą kartki wyborczej kontrolo-

wać swobodę ruchów klasy politycznej, która prowadzi zaciekle walki o władzę na forum publicznym. Choć niejednemu Arystotelesowski program złotego środka i umiaru może wydawać się zańadto umiarkowany, czułbym się przecież szczęśliwy, gdybym mógł patrzeć na jego realizację.

Jacek Kurczewski

# Maj - sierpień 1987

## PRZED PIELGRZYMKA

Grono osób zaproszonych przez Lecha Wałęsę, przewodniczącego NSZZ "S", zebrane 31 maja w Warszawie postanowiło przedstawić opinii publicznej następujące Oświadczenie

W przekonaniu, że trzecia pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny będzie wydarzeniem o doniosłym znaczeniu i dalekosiężnych skutkach, oczekując, że społeczeństwo nasze wyjdzie na spotkanie swego Papieża w poczuciu powagi, zespolone jak i poprzednimi razy wokół podstawowych wartości moralnych i społecznych, pragniemy dać wyraz naszemu wspólnemu stanowisku.

Obecna sytuacja społeczna, gospodarcza i cywilizacyjna kraju budzi najwyższy niepokój. Podstawowe problemy, które wciąż powodują wybuchy kryzysów społecznych i politycznych nie zostały dotąd rozwiązane. Konflikt między władzą a szerokimi kręgami społeczeństwa trwa nadal, rozwiewają się kolejne rodzaje się nadzieje na dialog, porozumienie i reformy. Dystans dzielący naszą gospodarkę od czołówki światowej powiększa się, życie codzienne staje się coraz trudniejsze, wiele rodzin polskich dotyka nędza. W nastrojach społecznych pogłębia się zwątpienie, poczucie bezsilności i lęk.

Wierzymy, że trzecia pielgrzymka polskiego Papieża do Ojczyzny otworzy nowe horyzonty. Nie czas dzisiaj w obliczu katastrofalnej sytuacji kraju rozważać rachunki krzywd, win i błędów. Jesteśmy przekonani, że udział społeczeństwa - zwłaszcza młodego pokolenia - w ponoszeniu odpowiedzialności za losy kraju zależy od odważnego i rozważnego dążenia do realizacji następujących praw naczelnych, bez których nie można mówić o normalnym rozwoju kraju:

1. Polacy - jak każdy naród świata - mają prawo do niepodległości. "Nie może być sprawiedliwej Europy bez niepodległej Polski na jej mapie." Zasady Karty Narodów Zjednoczonych, Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka i Aktu Końcowego w Helsinkach muszą zostać w pełni zrealizowane. Żadnego z problemów polskich nie da się rozwiązać bez zapewnienia Polsce niezbędnej suwerenności państwowej, przez co rozumiemy swobodę co najmniej w zakresie urządzeń wewnętrznych, wolność od ingerencji zewnętrznej i równoprawne stosunki z innymi państwami. Musimy też mieć prawo swobodnego utrzymywania stosunków rodzinnych, kulturalnych i społecznych z naszymi rodakami tak na Zachodzie jak i na Wschodzie. Mamy prawo wraz z nimi do kształtowania wspólnego losu naszego narodu. Wyprowadzenie kraju z dramatycznej sytuacji wymaga, aby Polacy byli gospodarzami swojej własnej Ojczyzny.

2. Polacy - jak każdy naród świata - mają prawo do życia w demokracji, wolności, w prawdzie, w poszanowaniu prawa. Żadna władza nie potrafi, jak dowiodła historia, skutecznie kierować życiem państwowym nowoczesnych społeczeństw cywilizowanych bez



szerokiej akceptacji społecznej, wyrażonej w sposób nieskrepowany i otwarty. Niezbędne jest zapewnienie rzeczywistej równości obywateli wobec prawa, eliminacja kastowych przywilejów społecznych, realizacja podstawowych ideałów społecznych uznawanych zarówno przez polską tradycję historyczną jak i przez naukę społeczną Kościoła. Bez wcielenia w życie ideałów takich jak wolność sumienia i przekonań, swoboda zrzeszania się w związki zawodowe, organizacje społeczne i kulturalne, wolność słowa - trudno mówić o normalnym funkcjonowaniu państwa, gospodarki i kultury. Wymaga to uznania zasady pluralizmu w życiu społecznym i politycznym. Nie ma współczesnej cywilizacji bez rzetelnego, godnego szacunku prawa wiążącego nie tylko rządzących, ale i rządzących, bez rzeczywistej niezależności sądów. Swoboda rozwoju oświaty i kultury, usunięcie barier w obiegu myśli i informacji, stworzenie możliwości istnienia niezależnych od władzy piśm i domów wydawniczych - są niezbędnym warunkiem utrzymania naszej tożsamości.

3. Polacy - jak każdy naród świata - mają prawo do samodzielnie kształtowanego ładu gospodarczego, który nadaje sens pracy, zapewnia skuteczność inicjatyw ludzkich, pozwala uczestniczyć w pożytkach rozwoju cywilizacyjnego, gwarantuje godziwe warunki życia, podtrzymuje właściwe relacje między człowiekiem a środowiskiem naturalnym. Już teraz trzeba usuwać przeszkody ograniczające lub wręcz uniemożliwiające prowadzenie tak indywidualnej jak społecznej, niezależnej od państwa działalności gospodarczej.

Z tych praw naczelnych Polacy zrezygnować nie mogą. One określają nasze działania i nasze nadzieje. Tkwi w tych prawach wielka siła twórcza. Tylko Polska, w której realizuje się te naczelnne prawa, może być aktywnym i stabilnym członkiem wspólnoty wszystkich krajów europejskich.

Zasadą naszych działań na rzecz tych praw jest wyrzeczenie się stosowania przemocy. Taki jest sens doświadczenia "Solidarności". Tę zasadę pragniemy uczynić częścią składową filozofii pracy dla kraju. Przesłanie "zło dobrem zwyciężaj" dało Polsce mądry i bogaty posiew.

Naszym głębokim pragnieniem jest, aby czerwcowa pielgrzymka Jana Pawła II stała się impulsem do uregulowania najtrudniejszych problemów polskich w imię wspólnego dobra. Wymaga to po obu stronach odwagi i wyobraźni.

Jesteśmy pewni, że obecność Ojca Świętego umocni polskie aspiracje, urealni polskie nadzieje.

Janusz Bekasiak, ekonomista; Jacek Bocheński, pisarz; Stefan Bratkowski, publicysta; Ryszard Bugaj, ekonomista; Zbigniew Bujak, robotnik i działacz związkowy; Andrzej Celiński, socjolog i działacz związkowy; Wiesław Chrzanowski, prawnik; Paweł Czartoryski, ekonomista; Roman Duda, matematyk; Kazimierz Dziewanowski, publicysta; Marek Edelman, lekarz; Bronisław Geremek, historyk; Władysław Goldfinger-Kunicki, biolog; Aleksander Hall, publicysta; Gabriel Jankowski, rolnik i działacz związkowy; Tadeusz Jedynak, robotnik i działacz związkowy; Ryszard Kapuściński, pisarz; Maja Komorowska, aktorka; Krzysztof Kozłowski, dziennikarz; Wojciech Lemantowicz, prawnik; Andrzej Łapicki, aktor; Jacek Merkel, inżynier i działacz związkowy; Adam Michnik, historyk; Jan Olszewski, prawnik; Janusz Onyszkiewicz, matematyk i działacz związkowy; Edmund J. Osmańczyk, publicysta; Joanna Pensonowa, lekarz; Jerzy Puciata, artysta malarz; Ryszard Reiff, publicysta; Henryk Samsonowicz, historyk; ks. Jacek Salij OP, teolog; Adam Stanewski, socjolog; Andrzej Stelmachowski, prawnik; Jan Strzelecki, socjolog; Klemens Szaniawski, filozof; Andrzej Szczepkowski, aktor; Józef Sliż, rolnik i działacz związkowy; Krzysztof Sliwiński, publicysta; Jerzy Turowicz, publicysta; Lech Wałęsa,

robotnik i działacz związkowy; Andrzej Wielowieyski, ekonomista; Wiktor Woroszyński, pisarz; Janusz Ziółkowski, socjolog; Tadeusz Zieliński, prawnik; Juliusz Żuławski, pisarz.

Warszawa, 31 maja 1987 r.

Następujące osoby, które nie mogły wziąć udziału w spotkaniu, wyraziły swoją solidarność z powyższym oświadczeniem:

Władysław Bartoszewski, historyk; Marian Brandys, pisarz; Władysław Frasyniuk, robotnik i działacz związkowy; Stanisław Janisz, rolnik i działacz związkowy; Jacek Kuroń, publicysta; Jan Józef Lipski, historyk literatury; Tadeusz Mazowiecki, publicysta; Halina Mikołajaska, aktorka; Maria Joanna Radomska, biolog; Jan Rosner, prawnik; Jan Józef Szczepański, pisarz; ks. Józef Tischner, filozof; Karol Taylor, biolog; Witold Trzeciakowski, ekonomista; Andrzej Wajda, reżyser; Halina Winiarska, aktorka; Krystyna Zachwatowicz, scenograf.

Tymczasowa Rada NSZZ "S", Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ "S", Przewodniczący NSZZ "S" Lech Wałęsa zwrócili się 23 V 1987 r. do Jana Pawła II:

"Ojczyzna Święta,

cała Polska żyje oczekiwaniem czerwcowego spotkania. Przybywasz do swej Ojczyzny, do Narodu, który kochaś i rozumiesz, który kocha i rozumie Ciebie. Cała "Solidarność" powita Cię godnie na ulicach polskich miast, będzie z powagą wsłuchiwać się w Twoje słowa. Będzie to wielkie święto dla nas wszystkich, pokrzepienie dla krzywdzonych i poniżonych, dla żyjących w niedostatku.

Polska potrzebuje dziś chleba i wolności, a nade wszystko potrzebuje nadziei. Jesteśmy przekonani, że spotkanie z Tobą i Twoim słowem polską nadzieję odrodzi.

Niejednokrotnie w przeszłości Twe nauki wskazywały nam drogę postępowania tak w życiu osobistym, jak i w społecznych obowiązkach, umacniały w nas wiarę i dodawały sił w naszej pracy związkowej. Wierzymy, że i tym razem Twa pielgrzymka do Ojczyzny wzmocni nas moralnie w walce o prawo do:

- życia w wolności, godności i prawdzie;
- wolnej Ojczyzny i suwerennego kształtowania narodowej kultury;
- nieskrępowanego organizowania się w instytucje samorządowe, kulturalne i środowiskowe;
- wolnych związków zawodowych broniących interesów pracowniczych;
- sprawiedliwego ładu gospodarczego, twórczej i godziwie opłacanej pracy;
- poczucia bezpieczeństwa gwarantowanego równością wobec prawa i niezawisłością sądów;
- demokratycznego uczestnictwa w życiu publicznym.

Po raz pierwszy podczas Tych pontyfikalnych pielgrzymek odwiedziś Gdańsk, stolicę "Solidarności", symbol porozumienia, miasto, w którym stoi pomnik pamięci ofiar robotniczego protestu. Będziesz też przy grobie ks. Jerzego Popiełuszki, męczennika "Solidarności". Pamięć o tych, którzy oddali życie dla naszej sprawy, umacnia nas w poczuciu słuszności prowadzonej przez nas walki.

Polscy potrzebne są głębokie przemiany. Aby powstrzymać rozpad gospodarczy i degradację naturalnego środowiska, aby zapobiec stałemu ubożeniu ludzi i rozpadowi więzi społecznych, konieczna jest zasadnicza przebudowa całego systemu. Uczynimy wszystko, aby stało się to możliwe, by symbolami naszej sprawy była zawsze nadzieja i solidarność."

Witamy Jana Pawła II Papieża - Polaka

Ojczyzna Święta,

my przedstawiciele Porozumienia Partii i Organizacji Niepodległo-

ściowych, z nadzieją i radością oczekujemy Twojej trzeciej wizyty w Polsce. Witamy Cię, nie tylko jako najwyższy autorytet moralny, lecz także jako niestrudzonego bojownika o wolność narodów. Zniewolony naród polski przeżywa dziś głęboki kryzys społeczny i moralny. My, niepodległościowcy stawiamy sobie za cel dalekosiężny - odzyskanie przez naszą Ojczyznę niepodległości i prawa stanowienia o sobie. Droga do tego celu wiedzie także przez uzdrowienie moralne narodu, oparte na zasadach zawartych w Piśmie Świętym i przez odzyskanie świadomości, że walka o niepodległość Ojczyzny jest wartością najwyższą. Dlatego błagamy Cię o błogosławieństwo dla naszej pracy, która, wierzymy w to, zaowocuje czynem pożytecznym dla narodu polskiego, jego zdrowia moralnego i NIEPODLEGŁOŚCI.

#### Porozumienie

Partii i Organizacji Niepodległościowych

Warszawa, 8 czerwca 1987 r.

Do członków Związku

W dniach 8 - 14 czerwca 1987 r. na trasach trzeciej pielgrzymki do Polski powitamy Ojca Świętego. Przyjedzie On do Ojczyzny z Dobrą Nowiną. Podzieli się z nami swą wiarą, nadzieją i miłością.

Powitamy Ojca Świętego jako członkowie NSZZ "Solidarność". Mamy moralne prawo zamianifestowania naszych dążeń narodowych i społecznych. Mamy prawo i obowiązek walki o legalną działalność naszego Związku.

Wzywamy do udekorowania naszych domów, ulic i miast flagami i emblematami narodowymi oraz związkowymi. Nie może ich zabraknąć również na spotkaniach z Ojcem Świętym. Nie może na nich zabraknąć nikogo z nas.

23 V 1987

Tymczasowa Komisja Koordynacyjna  
NSZZ "Solidarność"  
Przedstawiciele regionów: Dolny Śląsk, Gdańsk, Małopolska, Mazowsze Pomorze Zachodnie, Śląsko-Dąbrowski, Toruń-Bydgoszcz, Wielkopolska Ziemia Łódzka

#### "MÓWIĘ DO WAS I ZA WAS"

"Na zakończenie Mszy św. dla świata pracy i za cały świat pracy mówię do was i mówię za was. Był to dzień modlitwy za ludzką pracę w Polsce, za Solidarność, za wszystkie ważne sprawy naszej ojczyzny, które są jakby motywami naszej nadziei". Słowa wypowiedziane na Zaspie w Gdańsku, słowa Jana Pawła II, mogą służyć za najkrótsze podsumowanie całej pielgrzymki, która na Wybrzeżu miała swoją kulminację.

Nie wzięliśmy udziału w sporach, które nie przystoją ani świeckim, ani tym bardziej duchowym, zwłaszcza dostojnikom, w sporach nie licujących z powagą i wagą wydarzenia, jakiego byliśmy świadkami i uczestnikami w dniach od 8 do 14 czerwca, podczas III pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Sporach małych i małośtokowych, jak rozstrzygnięcie, czy słowo "solidarność", które tylekroć wypowiadał Ojciec Święty, powinno zostać zapisane wielką lub małą literą.

Najważniejszy był udział, bezpośrednie spotkanie z Papieżem i przeżycia, temu spotkaniu towarzyszące. Doświadczenie, które dane było co najmniej dziesięciu milionom Polaków. Teraz zostaliśmy z tekstami przemówień papieskich i tam przede wszystkim szukać należy prawdy o pielgrzymce. Niestety, bodaj łatwiejszy

był dostęp do samego Papieża niż do jego słów. Łączny nakład homilii i przemówień to zaledwie trzysta - trzysta kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy. W części zostały one okrojone o słowa dodawane do tekstów przygotowanych w Rzymie, o słowa dołączane spontanicznie przez Papieża, pod wpływem impulsów pochodzących z bezpośredniego spotkania z wiernymi, czyli o wypowiedzi najgorętsze i najsilniej odciskające się w pamięci.

Przesłanie papieskie było zbyt bogate i zbyt wielowątkowe. by można było pokusić się o rzetelne, całościowe podsumowanie. Jeśli najwięcej uwagi przykuwał wątek, nazywany "politycznym", to dlatego, że jego pojawienie się w tym wymiarze, jakiego byliśmy świadkami, nie było przewidywane podczas oczekiwania na wizytę z żądnej strony i według żadnej tendencji.

Prognozy okazały się zbyt uwikłane w przeszłość i w aktualne zdarzenia. Papież zaś kierował nas przede wszystkim ku przyszłości. Dlatego też kluczowymi słowami przemówień Jana Pawła II /uścisłając: tego ich wątku, który najczęściej bywa nazywany "politycznym"/ były "nadzieja" i "wierność", a ich sensem - wezwanie. Wezwanie do czynu, do aktywności, do porzucenia marazmu i bierności, wezwanie do działania w wierności i w nadziei.

Do oświadczeń składanych przed rozpoczęciem wizyty Jana Pawła II dołączyć należy także pisanie, skierowane "Do członków Solidarności" tuż po zakończeniu pielgrzymki przez Tymczasową Radę NSZZ "Solidarność".

"Dla naszego Związku, dla "Solidarności" spotkania z Ojcem Świętym i Jego słowa mają znaczenie szczególne. Nie żyjemy w kraju wolnym. Nie zawsze nasz głos może być słyszalny. Dlatego Papież mówił o nas i dla nas, a także - jak sam to podkreślił - za nas. W Jego słowach znaleźliśmy ocenę najistotniejszych problemów współczesnego świata. W imieniu Kościoła katolickiego Jan Paweł II określił również rolę, jaką w tym świecie odgrywa "Solidarność". /.../ Podkreślił, że "Solidarność" nie jest już tylko polską sprawą, że stała się sprawą ludzi pracy na całym świecie, wszystkich walczących o wolność, godność i prawo. Przesłanie Ojca Świętego zobowiązuje nas do trwania, do ciągłego cporu przeciw zniewoleniu, do nieustępliwego dążenia do wolności. Jest dla nas źródłem otuchy i nadziei. /.../ "14 VI 1987 r. Tymczasowa Rada NSZZ "Solidarność" Bogdan Borusewicz, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Tadeusz Jedynek, Bogdan Lis, Janusz Pałubicki, Józef Pinior.

#### LUdzie POKÓJ CZYNIĄCY

Ani policyjna, ani polityczna nagonka nie przeszkodziła Ruchowi "Wolność i Pokój" w zorganizowaniu międzynarodowego seminarium "Pokój międzynarodowy i Porozumienie Helsińskie". W dniach 7 - 9 maja w warszawskim kościele Miłosierdzia Bżęgo przy ul. Żytniej obradowało ok. 60 zagranicznych i 150 krajowych uczestników ruchów pokojowych. Po zakończeniu trzydniowych obrad część uczestników seminarium udała się jeszcze do Machowej w woj. tarnowskim, gdzie znajduje się grób Ottona Schimka.

Kilkudziesięciu chętnym z zagranicy nie udzielono wiz wjazdowych do Polski. Nie udało się przyjechać nikomu z Mnskiewskiej Grupy Budowy Zaufania i NRD-owskiej Inicjatywy Na Rzecz Pokoju i Praw Człowieka. Organizacje te przysłały na seminarium listy z wyrazami poparcia i deklaracje współpracy. Z Czechosłowacji udało się przybyć Iriemu Vancurze, członkowi Karty 77, z Jugosławii Tomaszowi Macnakowi z Grupy Pokojowej w Lublianie. Nie udzielono prawa wjazdu do Polski ok. 20 osobom z Europy Zachodniej. Dziennikarzom zachodnim akredytowanym w Polsce udzielano dobrych rad, by pomijali w swych korespondencjach wiadomości o seminarium. Mimo to obsługa prasowa obrad była wzorowa. wspoma-

gana ponadto przez rzecznika "WIP" na Zachodzie, Jana Minkiewicza z Amsterdamu.

Na uczestników Ruchu "Wolność i Pokój" w dniach poprzedzających rozpoczęcie obrad urządzono naprawdę łapankę policyjną. Próbowano zastraszyć naukowców zaproszonych z referatami lub do udziału w dyskusji. Od biskupów warszawskich domagano się wydania zakazu goszczenia seminarium w pomieszczeniach kościołach.

Sukces organizacyjny "WIP" jest tym więcej godny uwagi, że kontakty ruchów pacyfistycznych na Zachodzie i na Wschodzie były dotychczas sporadyczne i pełne wzajemnych nieporozumień. Jedyną większą wspólną akcją było tylko memorandum "Chnąć prawdziwe życie w Porozumienie Helsińskie" opracowane przez Europejską Sieć Dialogu Wschód-Zachód jesienią 1986 r., podpisaną przez ruchy pokojowe z Belgii, RFN, Kanady, NRD, Danii, Francji, Węgier, Włoch, Jugosławii, Holandii, Norwegii, Austrii, ZSRR, Hiszpanii, Czechosłowacji, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Szwecji, Szwajcarii i Polski. Seminarium warszawskie było oczywiście w skromniejszą liczebnie - pierwszą okazją do bezpośredniej konfrontacji sygnatariuszy memorandum, a nie w tego rodzaju działalności nie jest w stanie zastąpić bezpośredniego kontaktu.

Obrady nie były wolne od kontrowersji i ostrych starć polemicznych. Obrady toczyły się na sesjach plenarnych i w czterech grupach dyskusyjnych /polityka i opozycja; współpraca ruchów pokojowych na Wschodzie i na Zachodzie; walka bez przemocy i odpowiadanie służby wojskowej; ekologia/. W pracach seminarium uczestniczyli m.in. profesorowie Kerstenowa, Geremek, Holzer, Kieniewicz, Lepkowski, Szarota, o. Salij, red. Bratkowski, dr Lamentowicz, Krystyna Starczewska, Jan Lityński, Zbigniew Romaszewski. Przyjęto dokumenty: deklarację "Pokój a prawa człowieka", apel na Międzynarodowy Dzień Sprzeciwu Sumbienia, deklarację ekologiczną, protest w sprawie represji wobec Moskiewskiej Grupy Budowy Zaufania. Dokonano uzgodnień współpracy międzynarodowej grup pacyfistycznych. To dopiero początek dialogu - tym większa wartość "WIP-owskiego" seminarium.

#### KODEKS OBOZU PRACY

Mieliśmy już raz do czynienia z podobnym eksperymentem: zamiany całej gospodarki tzw. uspołecznionej w jeden gigantyczny obóz pracy. W stanie wojennym - powoli zaczynamy już o tym zapominać - zawieszona została nie tylko działalność związków zawodowych, chroniących pracownika przed nadzyciami administracji, a więc pewna praktyka, ale i jej podstawa prawna w postaci ochronnych przepisów kodeksu pracy. Militarystyczne stosunki pracy objęto nie tylko zakłady formalnie "zmilitaryzowane" lecz większość jednostek gospodarki uspołecznionej. Nie trzeba przypominać jak wielkie straty przyniosło to represjonowanej bezkarnie na wszelkie sposoby "sile roboczej" i że było to zgubne także dla gospodarki narodowej. Nie odniosła też spodziewanych korzyści administracja gospodarcza. Wiele kierowników co rzyżej odstępowало od stosowania nadzwyczajnych uprawnień.

A jednak najwidoczniej doświadczenia te tak silnie zaciążyły na wyobraźni pracodawców, że założenia zmian w kodeksie pracy są jakby poczęte z ducha stanu wojennego.

Kodeks pracy bbowlazuje od dwunastu lat i nikt nie przeczy, że zachodzi potrzeba jego zmiany; uzgodnienia z późniejszą uchwalonymi ustawami o związkach zawodowych i o przedsiębiorstwie państwowym oraz dostosowania do wymogów reformy gospodarczej.

We wrześniu 1985 r. premier powołał komisję ds. nowelizacji kodeksu pracy, powierzając jej w bliższym terminie opracowanie projektu najniezbędniejszej nowelizacji, zaś w dalszym terminie przygotowanie projek

komisji spotkały się z powszechną krytyką w środowiskach prawniczych i wśród ekspertów samorządowych i związkowych. Ogłoszono więc o wstrzymaniu prac. W istocie zaś wstrzymano ogłaszanie o nich informacji.

"Założenia zmian w kodeksie pracy opublikowano w zrecznie wybranym momencie - tuż przed przyjazdem papieża. Na konsultacje przeznaczono miesiąc, w dodatku nie określając ich trybu ani celów. Dokument przedstawiony opinii publicznej to nie - jak można by się spodziewać - prawniczy projekt zmian w kodeksie, lecz raczej propagandowy preparat: "tezy" opatrzone perswazyjnym komentarzem. W dodatku "założenia" zostały tak przedstawione, jakby zostały już "uzgodnione" pomiędzy Biurem Politycznym KC i kierownictwem OPZZ.

W najogólniejszej charakterystyce proponowane zmiany zmierzają do przeniesienia całego ciężaru reformy gospodarczej na "siłę roboczą". Przypisują pracownika do zakładu, pozbawiając go jednocześnie ochrony przed założonymi w ramach reformy bankructwem, likwidacją, reorganizacją przedsiębiorstwa lub przed zmianą warunków pracy. Obciążają finansowo pracowników w przypadku zakłóceń procesu produkcji z powodu niedostatków materiałów, maszyn i organizacji pracy. Zwiększają instrumentarium represji i kar, zarazem zaś nakładają na kierowników obowiązek bezwzględnego ich stosowania. Minimalizują uprawnienia ochronne związków zawodowych i samorządów pracowniczych, a jednocześnie przyznają administracji gospodarczej nieznane wcześniej uprawnienia do dysponowania "zasobami kadrowymi". Jest to cofnięcie do poziomu dziewiętnastowiecznych unormowań prawnych i do praktyk gospodarki wojennej.

Oczywiście w podanym, miesięcznym terminie żadna konsultacja społeczna nie odbyła się. OPZZ ogłosił stanowisko na początku sierpnia, odrzucając "założenia" w całości jako nie nadające się do żadnej dyskusji; posłużył się przy tym argumentacją zbieżną z krytyką przeprowadzoną wcześniej przez Solidarność /zob.np. artykuł Henryka Wujca w "TN" nr 214 z 3 czerwca/. Kzecznik rządu podtrzymał mimo to propozycje zawarte w "założeniach zmian w kodeksie pracy" jako podstawę "dalszych konsultacji społecznych" /konferencja prasowa 18 sierpnia/.

#### RES PUBLICA

Pisma nie ocenia się po pierwszym numerze. Zwłaszcza gdy ródziło się tak długo i z takimi komplikacjami, jak Res Publica. Dobrze, że jest. Powstawaniu tego pisma towarzyszyła pewna tajemniczość; zezwolenie wykluczało się w toku negocjacji i pertraktacji, o których opinia publiczna dowiadywała się z niepełnych, ale wyłącznie tendencyjnych wiadomości. Towarzyszył mu również szmer /bo nie aż hałas/ ocen, rzadko aprobatywnych, częściej krytycznych. Ale w końcu jest: pierwsze pismo powstałe jako podziemne rozpoczyna swój żywot oficjalny. W tym momencie oceny genezy tego nowego wcielenia czasopisma nie powinny mieszać się z ocenami jego zawartości.

Spełnienie tej dyrektywy jest jednak o tyle trudne, że autorzy pierwszego numeru, przepełnionego programowymi artykułami, o genezie zapomnieć nie pozwalają. Nawet nie przez to, co w owych programowych wypowiedziach zawierają, ale przez natrętną, chciałoby się wierzyć, że tylko przez niezręczność zastosowaną, frazeologię. Otóż w dwóch kluczowych, jak się wydaje, tekstach numeru, autorstwa Damiana Kalbarczyka i Marcina Króla, dominuje metaforyka "teatralna". Marcin Król domaga się "odrządzenia anachronicznych kostiumów i ról". Damian Kalbarczyk całemu życiu umysłowemu ostatnich lat zarzuca "strojenie się w dziewiętnastowieczne ko-

stiumy i wykonywanie historycznych dziś jedynie, narodowych arii" "przywdziewanie charakterystycznych masek i odgrywanie jeszcze raz komedii dell'arte alla polacca". Wolę kłaść to na karb niezręczności, bo jeśli nie, to albo jest to opinia skrajnie niesprawiedliwa, albo też autorzy nie zauważają, że wobec tego sami również wzięli i nadal biorą udział w tej samej komedii dell'arte, właśnie alla polacca, gdzie wszak figura światowca, europejczyka obowiązkowo występuje.

Res Publica nie jest jedynym nowym czasopiśmie. Odnowił się po dwuletniej przerwie Ład, pismo stworzone przez Janusza Zabłockiego i po usunięciu twórcy i jego grupy z PZKS-u Zabłockiemu ukradzione i doprowadzone do zupełnej degrengolady. Nowy Ład zaznacza odrębność od ukradzionego pisma w numeracji, więcej zaś nawet w treści /drukował np. pełne teksty przemówień papieskich, opublikował - co my uczyniliśmy w poprzednim numerze "21" - głośny raport Polskiego Towarzystwa Socjologicznego "Próba diagnozy stanu świadomości społecznej"/ i w doborze współpracowników /powrót "starej" redakcji wraz z "asystentem kościelnym", powierzenie stałej rubryki Jackowi Maziarskiemu/. Szydł niezależności ma też jakoby przysługiwać formowanemu od pewnego czasu dwutygodnikowi "Kraj" oraz nienazwanemu jeszcze czasopiśmu przydzielonemu Grupie Dialogowej "Consensus", obydwa tytuły mają też - jak wieść niesie -, otworzyć łamy dla autorów "niezweryfikowanych" w stanie wojennym.

#### PARTNERZY JAK NOWI

Józef Czyrek określił spotkanie 11 lipca z władzami Klubów Inteligencji Katolickiej i redaktorami naczelnymi "Znaku", "Więzi" i "Tygodnika Powszechnego" jako "bezprecedensowe". KIK-i istniejej ponad trzydzieci lat. "Więź" tyleż, "Znak" i "Tygodnik Powszechny" ponad czterdzieści lat. Środowiska zgromadzone wokół tych instytucji miały reprezentację parlamentarną przez kilka kadencji Sejmu. Miewały i kontakty polityczne. na podobnym szczeblu a bywało, że i na wyższym.

"Celem spotkania było poszerzenie i pogłębienie dialogu" napisano w "Życiu Warszawy". Skąd wiedział o tym autor notatki, skoro uczestnicy spotkania ze strony katolickiej nie mogli się dopytać celu przedtem, ani rozeznac w trakcie dyskusji? Nie załatwiano żadnej konkretnej sprawy, nie negocjowano, strona katolicka nie zносиła postulatów do władz ani nawet nie wystąpiła z żadnym wspólnym oświadczeniem a dyskutanci przemawiali wyłącznie we własnym imieniu. Czyrek zaś /poza nim głos zabierał tylko prof. Sylwester Zawadzki, dwaj pozostali delegaci: Andrzej Goula, kierownik wydziału społeczno-prawnego KC i Zdzisław Pijewski, dyrektor w Urzędzie ds. Wyznań, nie odzywali się/ nie powiedział nic takiego, co uzasadniałoby konieczność bezpośredniego kontaktu. Nie uzgodniono przesztą ani terminu następnego spotkania ani nawet potrzeby ponownego zebrania /jeśli nie uwzględniać pojedynczych wyrazów zadowolenia przedstawicieli KIK-ów, że oto spotykają się z czynnikami politycznymi zamiast - jak zwykle - z policyjnymi/.

Komunikatu o tym spotkaniu miało nie być, informacje w państwowych środkach przekazu podano z trzydniowym opóźnieniem a na sprawozdanie w Przegładzie Katolickim pozwolono po tygodniowej zwłoce, spowodowanej namysłem w cenzurze.

Wiadomo mniej więcej co powiedziano podczas pięciodobowego spotkania, nie wiadomo po co. Nie można by utrzymywać, że nie takiego się nie stało 11 lipca, ale co się stało - też powiedzieć nie sposób.

## TROPY ZBRODNI

W lasach koło wsi Giby na Suwalszczyźnie odkryte zostały na początku lipca br. zbiorowe mogiły. Mieszkańcy okolicznych miejscowości wysunęli domniemanie, że mogą one kryć prochy ich bliskich, zaginionych bez wieści w lipcu 1945 r. po masowych aresztowaniach dokonanych na tym terenie przez wojska radzieckie. Na konferencji prasowej rzecznika rządu prokurator Waldemar Monkiewicz z okręgowej komisji badania zbrodni hitlerowskich w Białostoku przedstawił przypuszczenie, że chodzi tu o wojskowy cmentarz niemiecki.

Raport prok. Monkiewicza został oparty na częściowej tylko eksploracji cmentarzyska w Gibach i udokumentowany bardzo pobieżnie zanalizowanymi dowodami. Zapowiedziano kontynuowanie badań. Wyjaśnieniom towarzyszyła jednak niepokojąca tendencja. Prokurator został mianowicie zaproszony po to, by obalić domniemanie mieszkańców Suwalszczyzny, rozpowszechnione przez prasę zachodnią. Skoro więc pierwsze wyniki badań wskazują, że są tam groby niemieckich żołnierzy a nie poszukiwanych Polaków, to sprawa nie wydaje się specjalnie ważna. Poszukiwania, a nie tylko badanie dokonane już znaleziska, powinny zostać doprowadzone do końca a ich wyniki opublikowane w postaci w pełni udokumentowanego raportu.

Jeszcze bardziej niepokojąca wydaje się tendencja wyjaśnień rzecznika rządu, wskazująca na niechęć władz do podjęcia problemu zaginionych w lipcu 1945 r., a więc po ustaniu działań wojennych, osób cywilnych. "Na Suwalszczyźnie w 1945 roku, pod koniec wojny i po jej zakończeniu działały w lasach zbrojne oddziały walczące z władzą ludową w Polsce. I były one zbrojnie zwalczane./.../. Oczywiście konsekwencją walk są zabici, są aresztowani".

2 sierpnia w Suwałkach zawiązał się Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w lipcu 1945 r., który ogłosił następujące oświadczenie.

"W lipcu 1945 r. na polskich ziemiach przygranicznych Suwalszczyzny, pomiędzy Puńskiem a Dąbrówą Białostocką wojskowe władze radzieckie przeprowadziły wśród ludności polskiej masową akcję zatrzymań. Objęła ona wiele setek osób. Zabieranym z domów wyjaśniano, że po sprawdzeniu dokumentów zostaną uwolnieni. Los tych ludzi nie jest do dziś znany - nikt z nich nie powrócił ani nie dał znaku życia. Podejmowane przez rodziny próby poszukiwań nie dały rezultatów. W lipcu 1987 r. na uroczysku Wielki Bór, przy drodze Rygol - Giby odkryto masowe groby. Wzbudziło to poruszenie w wielu rodzinach. Zapytany w dniu 21 lipca 1987 r. o los zaginionej ludności Suwalszczyzny rzecznik prasowy rządu uchylił się od odpowiedzi. Pragnąc dopomóc rodzinom w poszukiwaniach, w staraniach o powrót zaginionych lub ustalenie ich losu, w przekonaniu, że wyjaśnienie białych plam w historii stosunków polsko-radzieckich leży w interesie obu krajów, powołujemy Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w lipcu 1945 r. Komitet będzie dążył do ułożenia kompletnej listy zaginionych, ustalenia ich losów i umożliwienia powrotu do domów. Komitet apeluje o pomoc do władz PRL i ZSRR, Kościoła, Czerwonego Krzyża, wyspecjalizowanych instytucji polskich i międzynarodowych oraz wszystkich ludzi dobrej woli. Prosimy o przekazywanie informacji na ręce: Piotra Bajera, 16-400 Suwałki, ul. Reja 76 m.2, tel. 620-05; Mirosława Basiewiczza, 16-509 Pogorzelec, wieś Białogóry; Stanisława Kowalczyka, 16-400 Suwałki, ul. Szymanowskiego 6 m.13.

W pierwszym komunikacie podano 39 nazwisk mieszkańców czterech wsi, uprowadzonych przez funkcjonariuszy wojskowych władz radzieckich 12-14 lipca 1945 r.



## FUNDUSZ SOCJALNY

W połowie lipca br. Kongres Stanów Zjednoczonych przyjął uchwałę o wyasygnowaniu sumy jednego miliona dolarów na cele, które określił NSZZ Solidarność - odbiorca i dysponent tego daru dla społeczeństwa polskiego.

## Oświadczenie

Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił pomoc finansową dla Polski w postaci poparcia inicjatywy Episkopatu Polski na rzecz rolnictwa, wyposażenia szpitala im. Clementa Zablocky'ego oraz także wyasygnowanie 1 miliona dolarów na rzecz NSZZ "Solidarność". W liście do Kongresu stwierdziłem, że decyzję tę witamy z wdzięcznością, widząc w niej wyraz więzi między naszymi narodami, a także świadectwo uznania dla roli naszego związku w pracy dla kraju. Sumę tę przeznaczamy w całości na pomoc socjalną, a zwłaszcza medyczną, dla ludzi pracy w naszym kraju, nawiązując w ten sposób do inicjatywy Funduszu Socjalnego, z którą wystąpiliśmy w 1981 r. Realizacją tej decyzji zajmie się powołany w tym celu zespół roboczy, złożony z osób kompetentnych i ofiarnych, który w odpowiednim czasie przedstawi publicznie szczegółowe sprawozdanie o rozdziale środków.

Zwracam się do TKK i TR, do ogniw regionalnych i zakładowych, do biur zagranicznych naszego związku o przyjęcie z pomocą tej inicjatywie, o wysuwanie propozycji, aby środki te zostały użyte z największym pożytkiem.  
Gdańsk, 11 sierpnia 1987 r.

/-/ Lech Wałęsa

Do Kongresu Stanów Zjednoczonych  
Waszyngton DC

Decyzja Kongresu Stanów Zjednoczonych przyznania pomocy finansowej Polsce jest wyrazem głębokich i tradycyjnych więzi przyjaźni między naszymi narodami. Wyrażam wdzięczność za to, że obok pomocy dla inicjatywy Episkopatu Polski na rzecz rolnictwa naszego kraju oraz dla szpitala im. Clementa Zablocky'ego Kongres uchwalił wyasygnowanie sumy 1 miliona dolarów dla NSZZ "Solidarność". Widzę w tej decyzji wyraz uznania dla pozytywnej roli, jaką polski niezależny ruch związkowy spełniał i spełnia dla naszego kraju. Dziękuję za tę decyzję w imieniu milionów ludzi, którzy w istnieniu "Solidarności" pokładają nadzieję na realizację swoich aspiracji na rzecz niezależności, swobód demokratycznych i sprawiedliwego ładu gospodarczego w swojej ojczyźnie.

Kraj nasz znajduje się w trudnej sytuacji gospodarczej i społecznej. Jedyną drogą przezwyciężenia tych trudności jest ustanowienie uczciwego dialogu między władzą a społeczeństwem. "Solidarność" widzi możliwość takiego dialogu w duchu Porozumienia Gdańskiego z sierpnia 1980 r. W decyzji Kongresu dostrzegam potwierdzenie nadziei Polaków, że gdyby dialog taki został ustanowiony, kraj nasz mógłby liczyć na pomoc gospodarczą Stanów Zjednoczonych.

NSZZ "Solidarność" głosił zawsze filozofię służby dla swojego kraju i dobro kraju stawia zawsze ponad wszelkimi interesami partykularnymi. Działamy obecnie w trudnych warunkach, gdy odmawia się nam prawa do legalnego istnienia i czyni się nas przedmiotem represji. Na miarę naszych skromnych środków i korzystając z pomocy związków zawodowych z innych krajów stawiamy czoła naszym potrzebom organizacyjnym. Przyszłość naszego związku, jego siła w zakładach pracy, w fabrykach czy szkołach, podobnie jak siła bratnich związków rolników, rzemieślników czy studentów, możliwość pracy na rzecz wolności i dla godnego życia polskich rodzin zależy od społecznego poparcia naszych działań. Poparcie

to mamy wówczas, gdy skutecznie bronimy interesów ludzi pracy i gdy pomagamy ludziom w ich trudnym życiu. Mamy potrzeby ogromne w zakresie wzmacnienia naszych struktur organizacyjnych, ale na dzień dzisiejszy główną sprawą jest obrona tkanki biologicznej narodu. Jednym z bolesnych problemów życia polskiego jest brzość opieki medycznej, szpitali, medycyny pracy, zapotrzebienie w leki. W 1981 r. "Solidarność" podjęła inicjatywę stworzenia Funduszu Socjalnego, który działałby na rzecz poprawy sytuacji w tej dziedzinie, ale wprowadzenie stanu wojennego nie pozwoliło nam jej zrealizować. Podejmujemy ją teraz ponownie: postanowiliśmy sone uchwalona przez Kongres Stanów Zjednoczonych przeznaczyć w całości w chwili obecnej na cele socjalne. Wyrażam głęboką wdzięczność narodowi amerykańskiemu za to, że uzyskaliśmy możliwość podjęcia tych działań dla dobra Polski.

Gdańsk, 11 sierpnia 1987

Przewodniczący NSZZ "Solidarność"  
/-/ Lech Wałęsa

Minister Urban przed podaniem tych oświadczeń do wiadomości publicznej zdążył już oskarżyć Solidarność o "przejście na cudzy żołądek", itp. rzeczy, co nieraz zresztą czynił. Następnie, gdy teksty były już znane, wyjaśnił dziennikarzom, że są one zapewne rezultatem jego ataków i wywołanych nimi spóźnionych wyrzutów sumienia obdarowanych "agentów" itp. Nie jest to zbyt wyrafinowany chwyt propagandowy. Z pewnością natomiast władze Solidarności nie zasłużyły na laurkę za skandaliczne opóźnienie podania do wiadomości publicznej treści gotowych już dokumentów. Zrobiono sporo, aby ułatwić Urbanowi niełatwą pracę.

#### UREGULOWANE ZAGADNIENIE

Towarzystwo Pomocy im. Adama Chmielowskiego /Bł. Brata Alberta/ jest organizacją zarejestrowaną z prawem tworzenia oddziałów terenowych. Towarzystwo zajmuje się - zgodnie z ideą albertyńską - niesieniem pomocy bezdomnym. W ciągu kilkuletniej działalności osiągnęło wyniki godne uznania, zwłaszcza we Wrocławiu, gdzie powstał pierwszy oddział tej organizacji charytatywnej.

14 stycznia 1986 r. powstało Koło Towarzystwa w Łodzi. Zgodnie ze statutem i procedurą administracyjną wystąpiło ono do Urzędu Miasta w Łodzi o wyrażenie zgody na podjęcie działalności. Jest to właściwie czynność formalna, którą ma raczej charakter powiadomienia władz niżli podania, na które można odpowiedzieć zezwoleniem albo zakazem. Towarzystwo działa na obszarze niczym, potrzeba opieki nad bezdomnymi, porzuconymi, samotnymi ludźmi nie może podlegać żadnej wątpliwości. A jednak Wydział Społeczno-Administracyjny Łódzkiego Urzędu Miejskiego odmówił rejestracji oddziału. Odmownie zostało rozpatrzone również odwołanie od tej decyzji, złożone zarówno przez zarząd oddziału jak i przez zarząd główny Towarzystwa w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Niesamowicie brzmi uzasadnienie odmowy. "Obecnie na terenie miasta Łodzi uregulowane zostało zagadnienie bieżącego zaspokajania potrzeb w zakresie niesienia pomocy osobom potrzebującym". "Powstanie i działalność Koła w Łodzi Towarzystwa Pomocy im. Adama Chmielowskiego doprowadziłoby do wkroczenia w sferę działania organów państwowych i wymiennych, istniejących już organizacji społecznych, co w konsekwencji mogłoby spowodować zagrożenie porządku publicznego".

opracował: Leon Bober

Dotychczas nakładem Oficyny Wydawniczej  
ukazały się następujące pozycje:



- |                     |   |
|---------------------|---|
| xxx                 | - IV rozbiór Polski   |
| Grzegorz Przemek    | - Syn a może sen  |
| Aleksander Zinowiew | - Poatepy sowietyzacji  |
| Paweł Reszke        | - Chleb a socjalizm   |
| Jerzy Kozakiewicz   | - Po wojnie...  |
| Jerzy Wileńczyk     | - Pierwsza nowoczesna organizacja<br>niepodległościowa /SOS nr 2/ |
| Paweł Pożarski      | - Afganistan  |
| Władimir Bukowski   | - Pacyfiści kontra pokój  |
| Warłam Szalamow     | - Opowiadania kołymskie   |
| Milton Friedman     | - Wolni wobec wyboru  |
| Milton Friedman     | - Wolność ekonomiczna<br>Wolność polityczna                       |
| Krystyna Kersten    | - Historia polityczna Polaki<br>1944-1956 /zeszyt I/              |
| Krystyna Kersten    | - Historia polityczna Polski<br>1944-1956 /zeszyt II/             |
| Janusz Anderman     | - Brak tchu   |
| Paweł Pożarski      | - Bajka "O złym królu Wojcieszku<br>i dzielnym rybaku Leszku"     |
| Paweł Pożarski      | - Bajka "O królowie Snieżce<br>i 10 milionach krasnoludków"       |
| Behdan Cywiński     | - Doświadczenie Polski  |
| xxx                 | - Konferencja jałtańska w polskiej<br>perspektywie /ZEN/          |
| xxx                 | - Wybory - Kto na to zarabia?                                     |
| Józef Lewald        | - Armia Krajowa /SOS nr 3/  |
| Jerzy Holzer        | - List do I sekretarza KPZR                                       |
| Mikołaj Kowalski    | - Mikołajek w szkole PRL  |
| xxx                 | - kwartalnik "21" nr 2  |
| Leonard Schapiro    | - Totalitaryzm  |
| xxx                 | - kwartalnik "21" nr 3  |
| xxx                 | - kwartalnik "21" nr 4  |

ponadto nakładem Oficyny Wydawniczej



ukazują się

- specjalne emisje znaczków, prasa zakładowa, ulotki, plakaty,  
itp.

CENA 520

---

---

OFICyna  
WYDAWNICZA

